Marzec — 1859.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

X.

JASKÓŁKA OKNÓWKA.

Jakież pióro zdoła opisać ruch panujący w kolonii jaskółek gnieżdżących się? kto tego życia niewidział, wyobrazić go sobie nie może. Co żyje, pracuje od rana do nocy i pewnie żadna budowa w naszéj Europie nie ma w stosunku tyle, tak pracowitych i skrzętnych robotniczek co gniazda jaskółek. Tu przylepiona do lepianki jaskółka kończy już chałupkę, głaszcze dzióbkiem otwór aby kształtnie wypadł; — tam inne młode z bryłkami świeżego błota w dzióbkach biedują niepospolicie nad fundamentem gniazda, który niewiedzą jak założyć; — z innego gniazda już ukończonego wyłazi samiczka zwalana i obłocona, bo tam w środku wylepiała ściany i gładziła; zaświergotała rozkosznie na znak że już dzieło jéj ukończone i usiada na gzymsie lub dachu muskać

Patrz zeszyt lutowy.

pierze dzióbkiem, *bo ptak zdrowy żadnéj nieczystości na sobie znieść nie może;* muska więc i czyści aby się narzeczonemu przedstawić w całéj swéj kształtnéj i wdzięcznéj postaci; co można było wybrać kurzu i bryłeczek, to wybrała a resztę trzeba zostawić rosie i wodzie, a szczególniéj wilgoci która w powietrzu się znajduje, a gdzie moja luba ptaszyna się kąpie dzień cały; śpieszy się samiczka, bo kawaler nadlecić może i zastanie nieporządek; zrywa się i leci świdrując powietrze; tu podrodze złapie muszkę, tam motylka lub komara; przy spotkaniu drugiéj zawsze ją grzecznie pozdrowi, sąsiadka jéj odpowie krótkiem zaświstaniem, bo w porze lęgu ani jednéj chwilki stracić nie można; leci i leci daléj, coraz szybciéj, cóż to za pośpiech niepospolity każdy zapyta, a ona na nic niezważa i pruje daléj powietrze, leci bowiem do kąpieli, aby pławiąc w locie brzuszek, resztkę nieczystości w wodzie zostawić i wrócić z alabastrowo białym brzuszkiem i nadogoniem; pośpiech nie ustał, ledwie razy kilka dotknęła powierzchni wody już znowu pilno do domu a kawałek drogi, i *on* może tam już czeka z niecierpliwością; nareszcie przybija jak parowiec do portu, siada i skrzętnie się do ukończenia toalety zabiera; brzuszek mokry, tu i owdzie ogonek i skrzydełka się zamaczały, więc to trzeba dzióbkiem ociągnąć i wypomadować.— Już wszystko gotowe w ubraniu panny młodéj, obejrzała się do koła, poleciała zajrzeć do gniazda czy tam oczekiwanego niema i znowu siada nad gniazdem, z cicha nucąc śpiew miłości, czeka *jak tyle ich czeka*, które świat cały zamknięty w jednem głębokiem uczuciu, główką kręci, topiąc wzrok w niezgłębionéj przestrzeni, znowu nuci i potrząsa pierzem; zapłakałaby pewnie, gdyby ją była Opatrzność uposażyła pęcherzykiem łez, ale bo cóż to za męka czekać, — czekać długo z uczuciem w sercu, co zawsze draźni i niecierpliwi, — czekać i posądzać że to obo-

jętność spóźnienie sprowadziła! Słyszę w powietrzu krótkie świergotanie, i jak z obłoków spuszcza się druga jaskółka, siada koło naszéj samiczki jeszcze smutnéj, bo przebolała chwil kilka, a rozkosz nie jest w stanie zaraz zdmuchnąć boleści serca, lecz to samiczka i samiczka, która kocha, więc już samczykowi przebaczyła i główkę ku niemu zwraca, on podskakuje i przerywanym głosem, to piśnie, to zaszczebiocze, oczywiście się tłómaczy, rozmowa trwa momencik, już się porozumieli, czuła zgoda nastąpiła, zrywają się obydwie jaskółki pokrążyły nieco, jedna za drugą goni, ta ucieka w wytężonym locie, druga szyje powietrze aby nie zostać w tyle, pierwsza zwalnia lot, jak okręt zwijający żagle, druga ją skrzydełkiem dotyka, stają chwilkę w powietrzu jak na wypoczynek i znowu bujają jak zaręczeni na balu wirując w kółko. Już i tego dosyć, pierwsza okrążyła znaczne koło i jak strzała zręcznie z łuku puszczona, trafia do małego otworu w lepiance i niknie mi z oczów, lecz i druga nie traci czasu, równie lotna i zgrabna za nią goni w ślady i w jednéj sekundzie są znowu razem. Tak tam mały otwór w lepiance, że nic zobaczyć nie mogę i przestać muszę opisu a ścigać wzrokiem inne towarzyszki naszéj ruchliwéj kolonii.

Daléj widzimy szereg jaskółek lecących i powracających; jedne niosą już lepki materyał w dzióbku, drugie do kałuży śpieszą przy domie, kilka robotniczek przylepionych do gniazda poprawiają przyłożony materyał; tu znowu widzę jaskółkę, któréj bryłka błota wypadła z dzióbka w chwili w któréj ją przylepić miała, — rzuca się za nią ku ziemi, zręcznie chwyta, w powietrzu podnosi i z tryumfem leci ją przylepić na przeznaczonem miejscu; innéj spadła bryłeczka na ziemię, mniéj rzutna jak jéj towarzyszka nie umiała jéj na czas podchwycić, trzepocze nad nią, nie śmie siąść, bo z ziemi jéj trudno znowu podlecić, więc po chwili namysłu po-

dnosi się i leci za świeżą gliną. Przy dalszych gniazdach widzę pojedyncze ptaki, które ku otworowi gniazda nadlatują, wesoło zaśpiewają na pozdrowienie samiczki i daléj gonią, to znowu samczyki świergotające przed wejściem jak gdyby wywoływały kogo ze środka i tak jest istotnie; samiczka wychyla główkę odbiera przyniesiony owad i niknie w głębi lepianki; to są już gniazda w których samiczki jajka wysiadują a samczyki żywność nieustannie donoszą. Pomału ucisza się wrzawa, samiczki wszystkie przyjęły związki, i nie postrzegamy tylko jaskółki płci męzkiéj, które bez przerwy gonią za lotnemi owadami; na prędce część pożerają w powietrzu resztę wdzięcznie śpiewając, wybranym w dzióbek kładą. Ten spokój, ta cisza trwa 14 do 20 dni, czas procederu lęgu, potem czasie wzmaga się liczba jaskółek, jak gdyby się były pomnożyły, a to pochodzi z tego że samiczki mając już wykłute pisklęta, latają dzień cały aby nienasyconych pasibrzuchów nakarmić, które to poświęcenie uwieńczone niepospolitym skutkiem, bo małe tłuste jak kluski i rzecz szczególna, — a udowodniona, *że piskle w gniezdzie więcéj waży jak doskonała jaskółka z pierzem i skrzydłami.* Tłuste piskle, że się ledwie ruszać może, a ustawicznie zgłodniałe, piszczy o jadło; otwór zapełniony 4ma lub 5ma główkami młodych jaskólcząt; ten ruchliwy bukiet jak najdziwniejsze sprawia wrażenie; wszystkie kładą dzióbki na krawędzi gniazda te dzióbki są jeszcze otoczone żółtą oblamką, piszcząc zaś otwierają paszcze i ukazują różowy kolor, istne ruchome żółto różowe kwiateczki. Co tam pisku, i hałasu, co szturchania i spychania, nim się pasibrzuchy tak wygodnie umieszczą, aby przylatujące ptaki szybko im owad w dziób wsadzić mogły. Od wschodu słońca do zachodu z wyciągniętemi szyjami patrzą chciwie za uganiającemi rodzicami; ci co kilka minut przylatują i karmią za każdym razem jedno i tak kolejno wszystkie,

nigdy się nie myląc obdzielają, a mimo tego porządku, za każdem przybyciem wszystkie paszcze otwierają; — ku południowi żarłoki nasyceni i położywszy dzióbki na krawędzi lepianki drzymią czas krótki, potem znowu jeść wołają. Z tego powodu że pisklęta są nienasyconemi pasibrzuchami zdarza się nie w jednym roku, iż przy nastaniu zimnéj słoty, w którym to czasie owady się kryją, ani pół dnia postu wytrzymać nie mogą i w lepiance cała drobna rodzina z głodu i zimna ginie. O wtedy rodzice w rozpaczy uganiają po powietrzu, zaglądają do otworu i gdy się przekonują, że tam bez nadziei śmierć rozpostarła swe czarne skrzydła, opuszczają tę lepiankę i daleko od niéj drugą lepią, to zaś jak zarazą zatrute mieszkanie pustką stoi, dopóki czas pomału budowy niezdezoluje, nawet nasz wróbel stroni od tego schronienia, pełnego wspomnień głodowéj śmierci.

Znowu po upływie 14tu do 20tu dni nowe życie się objawia, pasibrzuchy wykształcone, pierzem zupełnie okryte, siedzą spokojnie i o wylocie ani myśleć niechcą, rodzice je głodem do niepodległéj wolności przymuszają, kusząc je zręcznie owadami złowionemi a trzymanemi w dzióbkach przed otworem gniazda. Stało się nareszcie, cała rodzina buja po powietrzu i pisklęta, które chwil kilka jak niedołęgi w gnieździe siedziały przy pierwszem ruszeniu skrzydłami już są doskonałemi latawcami! Zaiste z pokorą wypada podziwiać głęboką doskonałość w całéj przyrodzie; ta jaskółka n. p. ledwie się pierzem okryła, już bez żadnéj wprawy i nauki hula jak stara; kaczka mchem okryta jeszcze mokra wilgocią jajka, toczy się do wody i pływając goni za matką; a rybka z ikry wyślizgnięta ledwie linią długości mająca świdruje po wodzie, nieznana rodziców i niepotrzebuje ich pomocy, sama się żywi, od przyjścia pierwszego na świat aż do śmierci. Gdy te żyjątka

przyrody porównamy z ich panem, — z człowiekiem, jakże ten król natury i stworzeń wszystkich niedołężnym nam się wydaje; jakież on ma trudności w przyjściu na świat, ile boleści sprawia, ile czasu przeżyje w postaci pełzającego się ślimaka, ile miesięcy nim zacznie się jak robak czołgać po ziemi, skrzeczy, piszczy, narzeka i mazgai, prosząc o pomoc i opiekę, bo nieczuje żadnéj siły i władzy, co trosków i niepokoi sprowadza, nim żyć zacznie o swéj własnéj mocy i przestanie żyć życiem wegetującem! Powiedzą mi na to, że wykształca się powoli jak dąb i jak to olbrzymie drzewo w potężnéj sile przeżyje kilka dziesiątek lat. A któż może zaprzeczyć wiek łabędzi, kruków i papug, które setnych lat dożyją, orłów, sępów i innych drapieżnych ptaków równie człowiekowi, doczekujących się sędziwéj starości. Czy siła wyrosłego człowieka jest zastósowaną do powolnego jego wykształcenia? Pewnie nie! Czy siła człowieka fizyczna może być porównaną, do siły zwierza, równie nie! zwierze jest w swéj sile olbrzymem, człowiek pigmejczykiem, który pomału się wykształca, jak gdyby wieki miał przeżyć, a tu każde mocniejsze uczucie, każdy grom niebios uderzający na serce jego, każda choroba mimo wysileń ludzkiego rozumu na wyszukanie ratunku w sztuce lekarskiéj,— goni go do grobu. Wykształcenie tak wolne fizyczności w człowieku, uczy nas głębokiéj pokory; uznania naszéj niemocy, *silny człowiek przy łasce Bożéj rozumem*, nikczemny ciałem w porównaniu strworzeń bez duszy!

Przytoczę tu ciekawe zdarzenie za którego autentyczność ręczę. W roku 1842 mieszkałem w polskiéj Szwajcaryi, w bliskości uroczéj doliny Prądnika i tam z całą namiętnością badacza przyrody, podziwiałem Stwórcę w dziełach Jego, dnie całe spędzałem na skałach podsłuchując szelestu tajemnic natury; duszę topi-

łem w tych pięknościach cudnych i serce radowałem, że to wszystko jest na naszéj ziemi, że niepotrzeba włóczyć się po zagranicy aby codzienną estetyką napełniać swą całą istotę! Z jakąż bo wdzięcznością dla Pana Zastępów korzyłem się gdy odkryłem nieznane żyjątko dotąd, często zupełnie,— a czasem znane lecz w innych krajach, a nam biednym i opuszczonym nieprzyznane, bo już to tak się dzieje, że co my odkryjemy to nam rabują, co my mamy dobrego, to widzieć niechcą, a nasz kraj przecie tyle bogactw, tyle piękności mieści, tyle szczytnych i malowniczych ma okolic, których człowiek jeszcze swą wszystko przekształcającą ręką niedotknął i które stoją w téj dziewiczéj piękności bez pyłku od człowieka rzuconego, stoją w téj postaci jaką im nadało ostatnie wstrząśnienie ziemi naszéj. Przyznacie że piękność szczytna, piękność nieporównana jest ta którą Bóg stworzył; a człowiek swą ręką nieprzerobił, ta piękność wznosi duszę i do ogromu wdzięczności pobudza, człowieka pokornym, dobrym i czułym robi; ta piękność nie znosi krytyki, Boski ma ona puklerz którego krytyczny rozum nieprzebije; piękność która człowieka jest dziełem wzbudza zadziwienie i pochwała z ust płynie, rozum się raduje i duma rośnie, zdziałał on wielkie rzeczy, lecz nigdy doskonałości,— jego dzieło podziwienie sprowadza, lecz serce tych wzruszeń, które wyżej wymieniłem nigdy niedozna. W tych ślicznotach przyrody, odkrywałem wiele i uczyłem się na tych odwiecznych księgach chwalić Boga w Jego dziełach i przy Jego łasce zdarłem z nie jednéj tajemnicy zasłonę, nie jedno żyjątko jak na świat przychodzi, jak żyje, jak ginie, jak czuje, jak kocha, jak pamięta i jak myślą w życiu się kieruje opisałem. Jedne odkrycie uznali uczeni za prawdziwe, drugie przypuszczali za możebne, a wiele okrzyczeli za płody poetycznéj wyobraźni młodego badacza, wszystko

zaś do późniejszeego sprawdzenia na niemieckiéj ziemi Niepomni że tam niemal cała przyroda przerobiona przez człowieka, że się tam rozum silił aby zdmuchnąć piękność, a zaszczepić pożytek, za którym chciwie gonią ludzie ciała i materyi, których dusza nieśmiertelna i rozum skryły się w ciasne kółko i tam zaprzęgniete do laboratorium, pracują wyłącznie nad wynalezieniem zysku, a po osiągnieniu, którego ciało domaga się używania; niepomni że z ich postępowéj ojczyzny siekiera wygoniła mieszkańce lasów, zysk wypłoszył ptaki wód i bagien, a dymy fabryczne spiewaków, które by ochrypły zamieszkując Anglią, Belgią i Niemiec wiekszą część. Macie wy bogactwa, macie postęp, dopięliście celu rozumem waszym, lecz nie macie już dziewiczéj przyrody z tą jéj wonią anielską, z tą swobodą stworzeń, które się tak przeludnienia i chciwości boją, a my ją jeszcze mamy; my mamy jeszcze ten skarb w duszy, skarb natchnień i poezyi, które w was materyalizm swemi wyziewami zadusił; my jeszcze lata długie zdzierać będziemy zasłony z tajemnic przyrody i wam donosić o zadziwiających odkryciach w przyrodzie; Wy zaś uczeni postępowego świata ślęczyć będziecie nad księgami, sprawdzając je, a nie mając do tego podstawy, lub też wybrani badacze zwrócicie zdolności wasze ku przemysłowi, bo w was przyroda przestaje być przyrodą stworzoną i jest przeobrażona na sztuczną przyrodę; a gdy wasze siły rozumu w téj odchłani przemysłów już użytemi nie będą być mogły, wytężać będziecie potęgę waszego umysłu nad teoryami marzeń, — mających przekształcić ludzkość i zabezpieczyć wszystkiém szczęście; i jak w dawnych wiekach tysiące alchemików ślęczało życie całe nad alembikami mającemi wydać złoto uszczęśliwiające, tak wy ślęczyć będziecie nad wypędem myśli przeobrażających ludzkość; jad płynąć będzie z ust waszych w imię miłości

bliźniego, potoki trucizny ludzkość zalewać będą, a wydziwić się będziecie że przy najlepszych chęciach, katusze uczniom sprowadzacie? Człowiek w największéj potędze swego rozumu szczęścia ludzkości zabezpieczyć nie może, bo ono pochodzi z nadziemskiéj sfery a im daléj brnie w wymysłach uszczęśllwienia świata, tem więcéj się cofa od możności. Nieszczęsny ten, który pnie się ku Boskim atrybucyom, spali się jak spalił skrzydła Ikariusz promieniami słońca. Badacze przyrody, *a żatem badacze ludzkości*, wy chcecie wszystkich uczynić niepodległemi wszyskich tak samoistnie postawić, aby jeden bez drugiego żyć mógł, i aby nikt pomocą i kosztem drugich nie żył? Rzućcie okiem na cały świat żyjątek i zgłębcie ich życie bez zarozumienia i sumiennie, a wszędzie zobaczycie silnych i słabych, potrzebujących i nasyconych, w całéj przyrodzie jedni drugimi żyją, jedni umierają i przez śmierć innym życie dają, silny żywi się słabym, słaby jeszcze słabszym; a najsłabszy w innéj sferze kryje się i zabezpiecza żywot. Lew i tygrys tysiące ssących zwierząt rocznie pożera; orzeł, sęp i jastrząb w szponach dusi nie mało pożytecznych ptaków i zwierząt; myszy i różne drobne zwierzątka i ptaszki żyją kosztem człowieka i z jego pracy korzystają; szczupak, łosoś, pstrąg i wiele innych ryb żywią się wyłącznie rybami tego samego gatunku; — Kret pruje ziemię szuka glist; robaczki pożerają robaczki; pszczoły wycinają nieużyteczne już trutnie aby darmojadów nie żywić; wszędzie widziemy ofiary i zwycięzców, wszędzie radość i boleści, wszędzie krzywdę i nierówność, wszędzie nareszcie życie i śmierć.

Jedne żyjątka z łatwością dostarczają sobie obfite pożywienie, prawie igrając wyżywiają się, innym ciężko przychodzi życie zapewnić, te swobodnie bujają według upodobania i kaprysu, tamte mozolnie przenoszą się z miejsca na miejsce; wieleż takich jest co rok

cały i długi pracują zawsze chude jak szczypy, i znowu równie tyle tłustych i oblanych w wygodnym i łatwym życiu. A cóż powiecie na te ptaki i robaki, które skazane są czekać na śmierć, aby z téj śmierci drugiego czerpać swój żywot; i takie znowu co towarzyszą obcym gatunkom i pozostawionemi resztkami życie sobie zapewniają. Mówią i piszą, każde stworzenie ma swoją ojczyznę, — o nie, trzeba powiedzieć że każde ma rodzinne miejsce swe, lecz nie ojczyznę, są tułacze i w świecie żyjątek, chociaż ich mało, tułacze z tym zarodkiem niespokojności, który pędzi stworzenie naprzód i pędzi ciągle; wszędzie zle, więc znowu daléj i daléj i tak dostatniéj chwili życia, nigdy spokoju, nigdzie bezpieczeństwa, a zawsze towarzysząca obawa, zaiste życie na oko zatrute, a one żyją bo takie jest ich przeznaczenie. Patrzmy na te ptaki co z łatwością przenoszą się z miejsca na miejsce według woli i w jednéj chwili; to bogaci, nie daleko widzimy znaczne gromady zmuszone do ustawicznych ruchów a nie uposażone do lotu potrzebnemi przyborami; to biedniejsi, — a mimo trudności odbywają długie, mozolne i niebezpieczne podróże. Zaprawdę, setki stronnic by zapisał badacz porównywając świat ludzi do świata żyjątek, a wiele by nauczył, tych co szczerze przejrzeć pragną, a cóż dopiero za ogrom myśli tłoczy się do pióra spojrzawszy na powierzchnię ziemi pod jéj pierwszą warstwę, co tam nierówności, ofiar i męczeństwa!

Przecie ten sam Bóg stworzył wszystkie stworzenia i całą przyrodę postawił na równych podwalinach, cały świat oparł na równowadze wynikającéj z życia i śmierci, z szczęścia i nieszczęścia, z krzywdy i nagrody; wszędzie widzimy uśmiech rozkoszny przy perlących się łzach, wszędzie żyją jedni przez drugich lub przy drugich i kosztem bliźniego, a wy badacze chcecie te podwaliny wyjąć i podstawić wasze i nieboicie się spro-

wadzić runięcia Boskiego gmachu. Mniemacie że kiedy wszystkie stworzenia żyją kosztem drugich, wy wynajdziecie dla ludzkości szczęście niezmienne i uszczęśliwicie człowieka jak gdyby był na ten świat rzucony aby nie pragnąć, nie tęsknić nie spodziewać się; — pragnienie więc z życia wykreślacie i człowieka usiłujecie zrobić przesyconem stworzeniem, nie wznoszącym wźroku duszy ku niebiosom? Szczere wam posełam życzenie abyście szukali krain dziewiczéj natury, tam znajdziecie pole nieprzejrzane do badań, głębie rozumem niezmierzone; zajmiecie wszystkie władze umysłowe, życie całe strawicie na badaniu a gdy was śmierć zaskoczy, przekażecie dalsze badanie synom, a ci znowu wnukom i t. d. i ciągle badać będziecie do skończenia świata, pokrzepiać umysł odkryciami, świadczyć dobrodziejstwa ludzkości; w obec czystéj przyrody coraz się lepszemi staniecie, a gdy Bóg każe ludzkości odegrać ostatni akt tego dziwnego i niepojętego dramatu, oni, ci ostatni badacze ku nam przystąpią do świata urzeczywistnionych nadziei i zeznają że jeszcze wiele tajemnic tajemnicami pozostały, a Bóg nas oświeci i zedrze ostatnią zasłonę. Tymczasem badacze ludzkości, mianujący się jéj dobroczyńcami, nie bawcie się w Boga i zaniechajcie uszczęśliwiać wszystkich, zostawcie to Stwórcy, który świat cały od stworzenia jego prowadzi i nim kieruje, zseła boleści i krzyże, pociechy i radości, każe cierpieć na téj kuli ziemskiéj, bo cierpienie dla duszy jest tak czyszczące jak ogień dla złota, i póki na osi obracać się będzie ten olbrzymi świat nasz cały, dopóty wszyscy cierpieć będą musieli, wszyscy pragnąć, wszyscy się męczyć, aby przez dobroczynne męczeństwo sięgnąć po wiekuistą koronę prawdziwego szczęścia!

Nim przejrzą niech marzą i próbują, niech zastosówują teorye chorowite do ich współbraci, jak początku-

jący lekarze po szpitalach, niewprawne ręce uzbrojone skalpelem topią w ranach cierpiących, tak oni napawać będą łatwowiernych sączącemi się kroplami trucizny z alembiku swych marzeń, i dziwić się będą że zamiast błogiego skutku lekarstwa, chorzy sobą miotają, niespokojni, pełni żądz i namiętności, wiją się jak szatany, otwierając już paszcze z narzekaniem aby pochłonąć fałszywych dobroczyńców, a gdy się tym przewrotnym apostołom uda strącić który odwieczny filar, z zadziwieniem ujrzą że przygotowany na to miejsce filar jest szklanny, dźwięknie on i runie, a runąwszy w gruzach zasypie apostołów i uczniów! My nie spieszmy naprzód krokiem podwójnym za obcemi, bo szybki krok do zbłądzenia prowadzi *i rozwagę mija*, nie idźmy rączo nim uporządkujemy wszystko, nim zatrzemy co złego było w przeszłości, nim się ozdobiemy tem co było szczytnem, a co niestety w zapomnienie poszło, zbadajmy nasze siły, czy dostateczne do wytrwania postępu, czyśmy dojrzeli aby kroczyć śmiało naprzód, a przedewszystkim niezapatrujmy się na obcych, nie pijmy tego zatrutego napoju który nam w czarze z zachodu podają, a za którą jak wszyscy w nieszczęściu chciwie chwytamy, bo tonący się brzytwy chwyta, *nie tońmy w obczyźnie która nam matkę otruła*, a pewnie cierpieniem oczyszczeni, odżyjem dla lepszych czasów. Jakże ma badacz przyrody sądzić o ludziach, krajach i przyszłości, jeżeli nie ze swego stanowiska wiary niezłomnéj w miłosierdzie i w sprawiedliwość boską, w nieskończoną jego mądrość, jakże ma inaczéj sądzić, gdy przejęty ogromem miłości, korny we wdzięczności bez granic, podziwia tę olbrzymią maszynę nakręcaną ręką Bożą, tę archę w któréj zgromadzone są wszystkie stworzenia, w któréj żyć mają do skończenia świata, widząc dla najmniejszego żyjątka mikroskopicznego uregulowaną teraźniejszość, zabezpieczoną przyszłość, byle pozostało w karbach swego prze-

znaczenia, a to jest dla nas najwyższą nauką, aby my sami sobą zostali, a nie pracowali nad tem aby obczyznę przyjmować! Bajka nam trafnie mówi o żabie która pękła gdy chciała dorosnąć wołu, tak człowiek zginie który przybiera obczyznę, tak samo naród przeobrażający się w mięszańca, depcze zuchwale nogami odwieczne fundamenta swojéj samoistności a bez nich naraża swą przyszłość. Niech twierdzą nieprzyjaźni teoretycy że w nas natchnienia niema, że nieszczęście wyrobiło chorowity stan umysłu, niezdatnego już do rzeczywistości, że my naukę obcą przeżuwamy tylko jak bydło strawę, a własnemi siłami, własnym rozumem nie badamy, nieodkrywamy i niezgłębiamy nic, niech głoszą, głusząc siebie samych, że my spruchniały las, toczony robakami, nie mający żadnéj przyszłości, niech nam z historyi zabierają znakomitych mężów i niech ich sobie przywłaszczają, niech przekręcają dzieje nasze i wydzierają kartki rażące ich, my przecie chociaż nogą w grobie wołać będziemy że my mamy wszystko co zdobi narod, że na stronnicach naszych wybite są szczytne i głęboko nauczające myśli, i to udowodnić możemy przeszłością i teraźniejszością, a jeżeli doświadczenie nie pójdzie w las i my strzedz skarbów naszych potrafimy i przekonamy się że trzeba sobą samym pozostać, aby mieć właściwą cechę samoistności, wtedy i przyszłość nam się uśmiechnie. Jakże ja badacz miłujący przyrodę, mogę wierzyć w zagładę tylu stworzeń z nieśmiertelną duszą, patrząc codzień na troskliwą opiekę Opatrzności nad swemi żyjątkami, w któréj to opiece tyle przezornéj troskliwości widzę. Gdy czasem w pospiechu płochości, niebaczna samiczka uściele gniazdeczko nieschronione przed burzą i słotą, wtedy widzę jak ręką niewidzianą gałązka nieznacznie się nachyla i chroni zniesienie jajek przed zniszczeniem; gdy znowu uściele na skale lub ziemi a usiadłszy widzi z prze-

strachem swe bezbronne położenie, wyrasta paproć lub lepiocha i szerokiemi liściami zasłania od Opatrzności protegowaną ptaszynę; a gdy już nic wyrosnąć nie może, w téj na pozór ograniczonéj ptaszynie, odkrywa się instynkt pożyteczny, przewyższający nieraz ogromem praktyczności rozum nasz! I tak widziałem nie raz jak słowiki, skowronki, kurki wodne, łyski i kaczki z trawek, liści, trzciny i szuwarów wiążą chroniące baldachimy nad sobą i zakrywają siebie i rodzinę przed drapieżnym ptakiem! I wszystkie żyją, wszystkie nie podległe, wszystkie w jedności i miłości węzeł silny wiążą i tym węzłem przyszłość zapewniają!

Mają pewnie przyszłość o tyle o ile kaczka kaczką, wrona wroną, słowik słowikiem, żaba żabą zostają i pozostać pragną; lecz jak się kawka pawiemi piórkami stroi, puchacz w dzień latać usiłuje, bocian drapieżnego ptaka naśladuje, a żaba się nadyma, aby przyjąć kształty wołu, to pewnie zginą! Mogą przeczyć że każdy kawałek ziemi naszéj posiada więcéj ptaków i owadów jak ojczyzny badaczy zagranicznych, mogą przeczyć że my odkrycia robimy i postępujemy ciągle, gdy przeciwnie oni żyją w przeszłości, i badania przyrody odbywają między ścianami; mogą opisy życia ptaków uważać za mrzonki chorowitéj fantazyi i materyalizm stawiać przeciw poezyi ubarwiającéj całą naturę, mogą zaprzeczać ptakom czucie, rozum i pamięć, i w nich nic innego dojrzeć, jak pożytek lub szkodę; my zaś daléj badać będziemy te zadziwiające tajemnice i posełać im opisy naszéj przyrody tak bogatéj, tak woniącéj, taką uroczą ciszą osłoniętéj; my szanować będziemy te stworzenia które nam są nie koniecznie potrzebnemi; oni co żyje tępić będą i pożerać a tak migracye ptaków jak dotąd odbywane, daléj odbywać się będą szukając u nas w zaciszu schronienia. Niech przeczą że my zajrzeli głębiéj pod zasłonę tajemnic przyrody jak oni, a my słu-

chać będziem śpiewu rozkosznych śpiewaków, będziem się uczyć zgody i miłości, przejmiemy się organizacyą dziwnie rozumną ptaków, w któréj solidarność i wzajemna pomoc są podstawami, a oni tymczasem niech słuchają śpiewu nieograniczonego postępu, śpiewu hamerni, pieców i młotów, szumu dymu wznoszącego się i pisku pary ulatującéj; niech się spychają wzajemnie na ciasnéj przestrzeni, niech ziemię i jéj płody wydzierają żyjątkom, my jeszcze długie lata, *może zawsze* na ziemi naszéj znajdziemy pomieszczenie dla wszystkich i wyżywienie. My rolnicy, z nami w zgodzie świat żyjątek pożytecznych i miłych, z nami niech będzie miłość zgoda i szczera praca w ziemi, bo nas tak uczy natura, a gdy dopiero w dalekiéj przyszłości ziemi zabraknie może, wtedy człowiek człowieka spychać będzie, lecz to w tak oddalonéj przyszłości że ani my ani ptaszki jeszcze teraz niepokoić się nie mamy czego!

Olejów 10 stycznia 1859.

Kazimierz Wodzicki.

DWÓR JANA III.

w 1688 i 1689 roku.

W roku upłynionym zaczęła wychodzić w Paryżu w języku francuzkim Biblioteka rosyjska i polska.— W pierwszych dwóch tomach wydano: Opis podróży do Moskwy Augustyna barona Mayerberga. W trzecim ukazała się podróż do Polski w r. 1688 i 1689 odbyta, i nigdy jeszcze nieogłoszona drukiem; rękopis bowiem zachowany w Bibliotece Mazaryńskiéj w Paryżu (pod Nr. 2701) po raz pierwszy wychodzi na widok. Wydawcy oświadczają w przedmowie, że niepodobna im było, pomimo starannych poszukiwań, odkryć nazwiska autora podróży, który tylko początkowemi głoskami tytuł swój podał. Z tem wszystkiem honory okazywane mu od gubernatorów miast leżą-

cych na jego drodze, osobliwsze względy jakiemi zaszczycali go panujący książęta gdy zapraszając do swoich zamków przywozili go i odwozili szumnie sześciokonnemi karetami, wszystko to pozwala domyślać się że ksiądz F. de S. należał do znakomitéj rodziny, i niebył bez osobistych przymiotów. O ile można wnosić z krótkiéj wzmianki, podróż ta musiała mieć niejaki cel dyplomatyczny, i to szczególniéj odnoszący się do Maryi Kazimiry. Podróżny bowiem u niéj ma pierwsze posłuchanie, a nawet dworzanin królowéj zajmuje się wynalezieniem mu kwatery i opatrzeniem. Dziennik téj podróży aczkolwiek mniéj bogaty w szczegóły, niż podróż kawalera de Beaujeu odbyta w latach 1679-1682, i pamiętniki Daleyraca — wszelako w opisach dworu i obyczajów, oraz w charakterystyce rodziny królewskiéj, daje kilka ciekawych i trafnych rysów — lubo z drugiéj strony nieopuszcza go lekkość francuska, mianowicie gdy biorąc miarę z nędznych chałup wiejskich, wyobraża sobie największą w nich nędzę, i najdzikszy obyczaj barbarzyński. Nic dziwnego. Cudzoziemcy i dziś jeszcze niezawsze są w stanie zrozumieć cywilizacyę naszego ludu, biorąc prostotę, za nędzę, poważną ociężałość Słowianina, za barbarzyństwo; chociaż za czasów Sobieskiego był tam i czystszy obyczaj, i wychowanie religijne nieskażone tak jak dziś, zepsuciem. Szanowny abuś niemusiał zapewne zaglądać do żadnéj chaty, ani rozmawiać z żadnym chłopem, gdy sąd swój na zewnętrznem wrażeniu opiera; przeciwnie kawaler de Beaujeu dowiódł trafnego zmysłu obserwacyi, bo w taki sposób

opisuje stan naszych włościan: »Chłop w chacie swojéj, aczkolwiek napozór lichéj, lepiéj mieszka i wygodniéj żyje, niż chłopi w innych krajach. Obuwa się dobrze, żyje po niczemu, drzewa ma dostatek; w ogrodach pełno warzywa, na podwórzu huk drobiu, a przy ognisku zawsze pięć lub sześć garnków; wieśniak żadnych prawie podatków niepłaci, prócz małéj daniny dziedzicowi, i kilkudniowéj pańszczyzny, którą odrabia. Rozszerzyłem się nadtém — mówi daléj — ażeby zbić fałszywe mniemanie cudzoziemców, że chłopi w Polsce są niewolnikami. Jeżeli się trafi że pan tyranizuje chłopa, uważam to za nadużycie, które nawet i w bardzo cywilizowanych krajach zdarza się; przecież w Czechach daleko gorzéj, gdyż pan sprzedaje chłopów i mienia jak bydło« *).

W ogóle co do kraju i mieszkańców postrzeżenia księdza F. de S. nieodznaczają się ani bystrością poglądu, ani trafnością, — widać że niewychylał głowy po za atmosferę królewskiego dworu — za to osoby królewskiéj rodziny sportretował przedziwnie, a przytem podał nie jeden rys tyczący się króla bohatyra co pod murami Wiednia dokonał zwycięstwa zaczętego pod Lepantem i zgotował upadek potędze Tureckiéj, z którego się już nigdy niepodniosła. Możnaby mu zarzucić, że tytułem rodaka zbyt pochlebny kreśli obraz Maryi Kazimiry — lecz niema czemu się dziwić; uprzejmie od niéj traktowany, przytem niesły-

---

*) Memoires du Chevalier de Beaujeu i t. d. Paris 1698 roku.

szący innéj opinii, tylko opinię dworskiego otoczenia, niemógł wiedzieć o jéj intrygach i przedajności, zapisanych na kartach historyi; chociaż głos publiczny obarczający ją tylą winami niezawsze był z prawdą, jak o tem świadczy między innemi wiarygodny Jan Stanisłw Jabłonowski, gdy mówi: »Dom królewski Sobieskich na elekcyi ostatniéj strącono z tronu polskiego rozsianemi bajkami, że królowa Kazimira związała związek Baranowskiego, a ona na jego rozwiązanie pięćdziesiąt tysięcy talarów bitych przyjacielowi domu swego, hetmanowi Jabłonowskiemu do rąk oddała; na którego to głowę ten związek *aemuli* hetmana byli związali o to, że taż królowa spraktykowała czambuł tatarski, w którym jéj główne dwa starostwa: stryjskie i kałuskie spalono i wybrano i lubo ustawiczne bywały czambuły, a przecie tym bajkom prosta szlachta uwierzyła i te fałszywe wymysły, bujne dyskursy, scysyą elekcyi uczyniły, i taką w Polsce rewolucyę którą potém krwią i mieczem gasić było potrzeba.« Te i tym podobne bajki rozsiane w narodzie sprowadzały nieraz smutne następstwa a oraz zostawiały niezasłużone plamy na osobach powołanych do ważniejszéj roli— obowiązek też pobudzać powinien bezstronnych badaczów do rozświecenia tych cieniów fałszywéj, bo namiętnéj opinii. Podobnież i Marya Kazimira, lubo mniéj szlachetna i bezinteresowna jak Marya Ludowika; niebyła w zabiegach swoich tak występną, jak ją ogłoszono, a jeżeli wywierała przeważny, choć często szkodliwy wpływ na męża, był to dowód ener-

gii charakteru, który pozbawiony męzkiego kierunku, wpadał na bezdroże. — Królowa ta miała kilka chwil pięknych, w których dusza jéj nastrajała się wyższym tonem, jak między innemi w owym liście pisanym do Radziwiłła po uwięzieniu jéj synów. Monografie podobnych figur z przeważnym wpływem niezmiernie są potrzebne — potrzebniejsze, niż monografie osób, których przymioty i położonie spółeczne zawsze było podrzędniejsze; napróżno historyk będzie im ważności użyczał, podnosił ich znaczenie domysłami — nic nienadadzą te szczudła, kiedy klucz najgłówniejszych sytuacyi zostawał w inném ręku, a oni byli tylko wykonawcami silniejszéj woli.

Lecz przechodzę z tych uwag, do saméj podróży na dwór Sobieskiego, którą to relacyę podaję tu w sposób skrócony, wymijając miejsca zapełnione niepotrzebną gadaniną, lub też zawierające rzeczy powszednie, znane nam lepiéj niż francuzkiemu księdzu.

Niewiadomy nam cel podróży księdza F. D. S. do Polski; powiada tylko na wstępie, że powodem do przedsięwzięcia téj drogi było kilka ważnych i tak naglących spraw, że ją odbył pocztą we dwadzieścia dni, jadąc na Strasburg, Bawaryę, Wiedeń. W Lublińcu przejechał granicę Rzeczypospolitéj i nagadawszy się o nędzy i nieporządku naszych wiosek i miasteczek, przybył do Warszawy wytrzymawszy wprzód burzę gradową która zniszczyła zboża, połamała drzewa i powywracała chaty.

Stało się to 13 lipca 1688 r. o czwartéj z południa w którym to właśnie dniu stanął w stolicy około 8 wieczorem. „Królowa (Marya Kazimira) wyjeżdżała z powrotem do Wilanowa, który jest niby Wersalem królewskim; niema ona zwyczaju nocować w Warszawie, chyba w wilią wielkich uroczystości i wtenczas zwykle zajeżdża do Panien Sakramentek założonych przez nią. Jeden z jéj dworzan poznał mię; był to niejaki pan Krogulecki koniuszy królowéj. Zbliżył się do mnie a powitawszy, dał koniowi ostrogę i pobiegł uwiadomić swą panię o mojem przybyciu; poczem znowu wrócił i z rozkazu królowéj wskazał mi kwaterę gdzieśmy wieczerzali razem. Po francuzku źle się wyrażał, lecz sztukował łaciną. Od niego dowiedziałem się że królowa niecierpliwie mię wygląda. Nazajutrz pojechałem z nim do Wilanowa; w czasie drogi znowu nas taka burza napadła, że zdawało się iż wicher wywróci sześciokonną karetę w któréj jechałem. Trzeba aż było zatrzymać się w polu i czekać póki burza nieprzejdzie.

„Oddałem czołobitność królowéj Jéjmości w chwili gdy szła na mszę do swojéj kaplicy; wiele okazała mi ukontentowania z powodu mego przyjazdu. Gdy zaś król Jegomość był tego dnia na polowaniu, tedy niemogłem go powitać prędzéj aż wieczór. Przyjął mię z równą uprzejmością i raczył wypytywać o nowiny z Francyi i o naszym niezwyciężonym panu (Ludwiku XIV). Przez cały miesiąc bawiłem w Wilanowie.

„Wilanów jest to wioska o 3 mile francuzkie od Warszawy; a należy do dzisiejszego króla który tam wystawił pałac. Zazwyczaj rezyduje w tym swoim Wersalu, pięknym jak małe cacko. Pokoje są ładne i bardzo bogato umeblowane. Jest tam mnóstwo drogich osobliwości które otrzymał z różnych darów. Zewnętrznie gmach ten ustrojony posągami i płaskorzeźbami gipsowemi, ma tylko sam dół bez piętra. Zamieszkuje go król, królowa

i dzieci ich. Gdyby był skończony i miał jeszcze jedno piętro, należałby do najwspanialszych pałaców w Polsce. Ogrody są niewielkie i nieozdobne; pełno w nich tarasów i sadzawek; niema krytych szpalerów. Na wielkim tarasie po obu rogach stoją małe dwa pawilony w kształcie latarni, bardzo piękne. Tam król Jegomość ma zwyczaj ubierać się w lecie, i wszystko co się dzieje w ogrodzie widzieć, niebędąc widzianym. Najdokuczliwszą plagą tych ogrodów czasu lata są muchy i komary, którym się trudno opędzić. Tamże znajdują się przepyszne sady pełne drzew owocowych, co jest rzadkością w Polsce z powodu zimnego klimatu. Na dziedzińcu pałacowym chowają ułaskawione wilki które razem z psami chodzą na polowanie, i żyją ze sobą w najlepszéj zgodzie, chociaż zawsze chcą nad psami mieć górę. Trzymają także i niedźwiedzie łaskawe; dwónastoletni chłopak wyprowadza je w pole i na miasto. Kraj ten pełen niedźwiedzi; przesiadują one w lasach i zobaczywszy człowieka uciekają od niego.

„Wilanów niema nad 30 dymów; domy licho pobudowane; kościół fundowany przez króla, ubożuchny, pleban ledwo ma dochodu 200 liwrów francuzkich. Razem z dworem wyruszyłem na Ruś Czerwoną (nie na Czarną, jak wszędzie pisze), która jest rodzinną prowincyą królewską, i bawiliśmy tam aż do wszystkich Świętych. Wyjechawszy z Wilanowa o pierwszéj z południa nocowaliśmy w Górze. Góra jest to niby miasteczko o pięć mil (franc.), własność najstarszego królewicza Jakóba(?). Mówię niby miasteczko, bo dość obszerne, ma wiele domów i mieszkańców, nieotoczone żadnym murem. Założyciel Góry biskup poznański umarł wprzód, nim je zdołał do zupełnego porządku przyprowadzić. Umierając przed ośmią laty zapisał je królewiczowi Jakóbowi *).

*) Byłto Stefan Wierzbowski biskup poznański założyciel Kalwaryi w Górze. Opis tego miejsca humorystyczny znany z listów Krasickiego.

Pałac tu bardzo obszerny i okazały, z pięknym dziedzińcem, zbudowany na grzbiecie wzgórza u brzegu Wisły. Piękność miasteczka stanowią szerokie ulice. W obrębie jego stoi najmniéj dwadzieścia kaplic poświęconych tajemnicom ukrzyżowania i męki Pańskiéj które są wyobrażone w wypukło-rzeźbach malowanych i złoconych wielkości naturalnéj. Kaplice pokryte są dachówką. Gdyby to miasto obwiedziono murem, miałoby obwodu najmniéj 2 mile fran. Kaplice tak są oddalone że trzeba trzy kwadranse żeby się dostać z jednéj do drugiéj. Biskup ten wystawił tam piękny kościół farny i sześć klasztorów tak męzkich jak żeńskich. Błota tu niema, tylko szczery piasek. Pałac dla wysokiego położenia niema ogrodu. Wisła otacza go z jednéj, a miasto z drugiéj strony. Z Góry pojechaliśmy do Żółkwi, będącéj własnością dzisiejszego króla po matce. Na polskie miasto dosyć obszerne. Przepyszny tu kościół, najładniejszy na Rusi tak co do budowy jak co do ozdób. W chórze ma dwa obrazy największe jakie egzystują, przedstawiające zwycięztwo Sobieskiego odniesione nad niewiernymi wprzód nim królem został. Ojciec jego i matka leżą w téj świątyni pod nagrobkiem z czarnego marmuru z wyzłacanemi ozdobami, również spoczywają tu inni krewni królewscy. Kanonicy odprawiają nabożeństwo w téj kolegiacie. Pałac królewski bardzo piękny z kamienia i cegły. Na czterech rogach widać cztery kopuły w smaku tureckim, pokryte blachą z chorągiewkami o herbach króla. Jest też i ogród ale mały na tak wielki zamek; dość ładny; rzeczka środkiem przechodzi i ożywia go; na rzece zbudowane łazienki w pośród ogrodu; wewnątrz i zewnątrz wyłożone kaflami. Idzie się do nich mostem drewnianym, w którego połowie tworzą one pół księżyca. U stóp ogrodu spadzista góra; na szczycie stoi latarnia czy baszta trzypiątrowa, zkąd widok czarowny na okolicę. W miejscu tem król często

wieczerza w towarzystwie osób zaszczyconych jego zaufaniem. Margrabia de Bethune, poseł francuzki, królewski szwagier często używa tego zaszczytu. Na tych ucztach jedzą wiele a piją jeszcze więcéj. Król kazał zrobić gościniec aby mógł karetą wjeżdżać do miasta. Domy są budowane z drzewa. Klasztór Dominikanów z pięknym kościołem pełnym złoceń i malowideł; cerkiew syzmatycka i Monaster zakonnic syzmatyckich u bram miasta; również synagoga najludniejsza w Polsce. Trzeba bowiem wiedzieć że w tem królestwie trzecia część żydów..... Zresztą czy zimą czy latem leży warstwa błota na niebrukowanych ulicach; bruk bowiem rzadki w Polsce. Zwierzyniec zamkowy bardzo obszerny, leży za miastem, chociaż sam zamek znajduje się w obrębie jego murów. W oparkanionym zwierzyńcu pełno zwierzyny, jak jelenie, sarny itp. W ogóle okolica Żółkwi wielce przyjemna; woda wyborna, co się rzadko zdarza w Polsce(?). Zapomniałem powiedzieć iż w każdem miasteczku polskiem znajduje się kwadratowy rynek, co sprawia że wszystkie do siebie podobne; zazwyczaj otoczone są drewnianą palisadą wyjąwszy Żółkiew i inne miasta mające mury z kamienia lub cegły. Warszawa i Kraków zamknięte są kamiennym murem.

„Z Żółkwi puściliśmy się do Jaworowa. Jest to miasteczko w rodzaju poprzedniego; a oraz starostwo darowane królowi na wieczne czasy w dziedzictwo dla potomków w linii prostéj. Po wygaśnięciu rodu Sobieskich wraca do Rzeczypospolitéj. Ma jedną ubogą, szczupłą farę, bez ozdób, zapuszczoną i drewnianą. Są w niéj jednak organy, bez jakich niema żadnego w Polsce kościoła. Zamek królewski chociaż z drzewa, ładnie wygląda na zewnątrz i w środku. Obszerny a nawet obronny przeciw Tatarom; przylega doń ogród najregularniejszy ze wszystkich jakie tam widziałem. Łazienki stoją na wielkiéj szybie wody; idzie się do nich po dre-

wnianym moście. Zwykłe to mieszkanie królewicza Jakóba jeżeli towarzyszy dworowi. Jest tam bardzo piękna grota, mnóstwo wodotrysków, sadzawek, prześliczne wirydarze, ulice dziwnéj długości, sady, szkółki owocowe, szpalery, i rodzaj samotrzasku na moście, tak że kogo się chce, można w wodzie skąpać; przytem ogrody warzywne i tarasy. Do ogrodu przytyka staw niesłychanéj wielkości, mający najmniéj trzy mile francuzkie obwodu, przytem bardzo rybny; czyni królowi rocznego dochodu 12 tysięcy liwrów. Na samym środku stawu widać kępę zarosłą lasem na któréj zbudowano wieżyczkę. Jest ona tak odległą od brzegu że ledwo ją można dojrzeć, co pokazuje wielkość stawu zasilanego trzema rzekami. Żydzi go arendują i robią połów co trzy lata. W czasie mojéj bytności łowiono w nim i wyciągnięto ryby niesłychanéj miary. Znajduje się także w tem mieście klasztor Dominikanów nieosobliwy, synagoga bardzo piękna jeżeli będzie skończoną i niezgorsza cerkiew syzmatycka; cerkwie te wszystkie podobne do siebie; każda ma trzy kopuły. W pierwszéj od wnijścia siedzą kobiety oddzielone balustradą; w drugiéj śpiewacy i mężczyźni, w trzeciéj jest cyboryum zamknięte przegrodą w któréj troje wrót nierównego rozmiaru; środkowe wrota dość duże, łuczaste, podwójne; po prawéj stronie niskie, czworograniaste. Przez środkowe widać popa. W cerkwiach pełno złocenia i malowań, a nigdzie płaskorzeźb. Co się o jednéj cerkwi mówi, odnosi się do wszystkich.

„Ztąd pojechaliśmy do Wysocka. Niewielka to wioska, sławna swoim zamkiem obszernym, zbudowanym z kamienia i wyłożonym wewnątrz i zewnątrz kaflami; przy nim piękny ogród przypierający do lasu. Jest tam mały kościołek katolicki i cerkiew unicka. Majątek ten należy do królowéj. Jarosław ztąd niedaleko, królowa

po nieboszczyku pierwszym swym mężu Zamojskim *) ma zapis na Jarosławiu, i pobiera z niego dochody. Mieszkając w Wysocku nastraszono nas o dziewiątéj godzinie w nocy, że dwa tysiące Tatarów pokazało się o milę, co tem większe sprawiło przerażenie że król był wyjechał o dwadzieścia mil, a straż królowéj składała się z dwódziestu żołnierzy, z kilku oficerów i ze stu osób obojéj płci. Królowa pełna odwagi niechciała uchodzić z zamku aby się schronić do Jarosławia. Przez całą noc jedni odbywali pilną straż, a drudzy niezdatni do obrony siedzieli w kaplicy zamkowéj równie obszernéj, jak ozdobnéj. W zamku i we wsi panowało niesłychane zamięszanie; jedni zbierali swoje kosztowności i zakopywali, inni wynosili się w lasy; owi lamentowali wzywając boskiego miłosierdzia; a byli i tacy co umierali ze strachu. Jedna tylko królowa niestraciła ducha i uspakajała' wszystkich, przykazując zachować spokojność i czekać pomocy z Nieba, która nas niezawiodła w skutek modłów cnotliwéj królowéj. Przy wystawieniu Przenajświętszego Sakramentu w kaplicy, trwaliśmy na modlitwie całą noc. Szczęściem dla nas pohańcy puścili się innym szlakiem a nam dali pokój. Gdyby zaś byli napadli, porwaliby królowę, rodzinę królewską i nas wszystkich, zamek ten bowiem nie jest w stanie obronnym. Tatarowie mają zwyczaj zabudowania palić i rabować, a wziętych ludzi w jassyr przywiązywać nogami do grzbietu końskiego a prawą rękę do kuli; lewą zaś trzeba się dzierzyć siodła. Innych pędzą jak baranów nahajami; kto zaś iść niemoże, zostaje zabity.

„Będąc w Jarosławiu opiszę go. Domy są niezgorsze, zbudowane z kamienia, mury dobre mogą się oprzeć Tatarom. Sławne jarmarki przynoszą znaczny dochód królowéj. Są tu dwa klasztory Jezuickie, jeden osobli-

---

) Autor podróży nazwisko Zamojskiego tak pisze: *Le prince des Amoches.

wie bardzo wspaniały. W klasztorze żeńskim u Karmelitanek przepyszne antepedyum, i ozdoby kościelne pochodzące z darów królów i królowych. Choć miasto na wzgórzu, jednakowoż błotniste. Król zabawiwszy przez miesiąc w Wysocku, przyjechał tu za królową i we trzy dni potem całym dworem ruszyliśmy do Warszawy na sejm. Po drodze zatrzymaliśmy się w Jaworowie i Żółkwi. Mrozy dokuczały pora bowiem była spóźniona. Stanęliśmy w Warszawie 18 grudnia w dzień otwarcia sejmu.

„Właściwa Warszawa zwykła rezydencya królewska, wcale jest mała, i lichym murem obwiedziona, mieszkają tu same kupcy. Kościoły są zewnątrz i wewnątrz, wyjąwszy kościoła Dominikanów, Karmelitów i Jezuitów małéj wagi. Inne kościoły w liczbie 22 leżą za murami. Zamek królewski dotyka murów miejskich. Rzeczywiście dwa są miasta, jedno stare, drugie nowe, w tem ostatniem nieopasanem murami są Dominikanie, Komandorya i klasztór panien Sakramentek, gdzie zakonnice francuzkie sprowadzane przez królowę. Kościół ich jeszcze nieskończony, będzie miał kopulę. W czasie mego pobytu w Warszawie poznałem się z dwoma kapucynami rodem z Francyi, jednemu było ojciec Franciszek Stigmata, a drugiemu brat Anioł, oba paryżanie. Dowiedziałem się jako brat Anioł przed 12 laty był już w Polsce gdzie wyleczył królowę z niebezpiecznéj choroby, teraz zaś gdy się uczuła zagrożoną nową słabością, napisała doń list tak uprzejmie zapraszający że niemógł się wymówić od drugiéj podróży do Polski. W całym Paryżu używa on głośnéj sławy od lat trzydziestu z cudownych leków dokonanych na osobach możnych i ubogich; lecz druga ta podróż do Polski powiększyła tylko jego sławę, albowiem zupełnie wyleczył królowę, i powróciwszy do Paryża, pokazywał mi jéj listy pełne wynurzeń wdzięczności za skuteczną pomoc.

Ojciec Anioł pełen świata, zastanowienia, przykładny w życiu, nigdy nienarażający zdrowia swych pacyentów, a hojny dla ubóstwa, miernego jest wzrostu i może mieć koło 60 lat. Najwięcéj żyłem z nim i z jego towarzyszem ojcem Franciszkiem Stygmatą. Że zaś mię zdziwiło to nazwisko, pytałem zkąd pochodzi? Na co on dał mi takie tłumaczenie. Nieboszczka księżna Vandome małżonka Cezara Vandome będąc obecną gdy obłóczył sukienkę zakonną, w klasztorze Kapucynów na przedmieściu ś. Jakuba, dała mu nazwisko święta obchodzonego w dniu tym przez kościół, to jest Stygmatów ś. Franciszka. Człowiek to rozumny, czterdziestoletni, słodki w rozmowie i dobry kaznodzieja. Słyszałem go kążącego w Warszawie w dzień Oczyszczenia N. P. u Sakramentek, podczas obłóczyn sześciu nowicyuszek francuzkich.

„Królestwo Ichmość, rodzina królewska, książęta, wojewodowie, senatorowie i żony ich oraz wszyscy panowie Rzeczypospolitéj byli obecni temu obrzędowi i słuchali jego kazania. Był to bezwątpienia najszczęśliwszy moment dla kaznodziei, kiedy mógł przemawiać do najpierwszych osób; sejm bowiem zebrał się w pełności, co się niezdarza w innym czasie, gdy panowie zazwyczaj siedzą w swoich majątkach. Wskazał on w kazaniu tę ofiarę jaką N. Panna zrobiła w tym dniu i zastósował do tych młodych dziewic ofiarujących się za jéj przykładem na usługę kościoła; w domówieniu zaś zrobił zwrot do króla i królowéj, ale tak piękny żem nigdy nic trafniejszego niesłyszał. Po tym komplemencie król zdjąwszy czapkę trzy razy skłonił mu się, również królowa, a inni panowie gdy schodził z ambony obsypali go grzecznościami. Uważałem że kiedy mowca dotknął był odsieczy Wiednia, łzy poszły z ócz królewskich, niewiem z jakiego powodu; może z radości....

„Wróćmy do opisu Warszawy.

„Najprzedniejszy kościół jest pod wezwaniem S. Jana Chrzciciela, gdzie dniem i nocą śpiewają *Laus perennis*. Jest to kapituła mająca dziekanem biskupa którego nazwiska niepamiętam *). Kościół ten przypiera do murów miasta; tuż leżący Zamek królewski łączy się z nim krytą obszerną galeryą. Gmach zamkowy przestrony, lecz nieregularny. Na dziedzińcu może się zmieścić najmniéj 60 karet sześcio-konnych, i mnóstwo ludu. Widok z zamku prześliczny, gdyż stoi nad brzegiem Wisły. Apartamenta królewskie i rodziny królewskiéj niezgorsze, tak pod względem złoceń, malowideł jak rzeźb w starożytnym smaku. Szpalery, czyli obicia należą do najbogatszych i najpiękniejszych w świecie. Polacy kupili je w Anglii po Kromwelu. Wielka sala z galeryą, obrócona na teatr, liczy się do największych w Europie. (?) Ozdób w niéj nie ma żadnych; a scena podobniejsza do teatrzyków Nowego mostu (w Paryżu) niż do teatru królewskiego Luwru. Aktorowie włosi grają sztuki tejże wartości co teatr; ale Polacy mają to za wielką rzecz. Na dziedziniec zamkowy prowadzą trzy bramy będące największą ozdobą. Jest inny jeszcze dziedziniec mniejszy i szpetny gdzie są mieszkania dworskich. Nie ma się czemu dziwić że Warszawa jest tak małą, albowiem cała jéj wielkość w przedmieściach długich na ćwierć mili. Tam to mieszkają wielcy panowie w przepysznych pałacach; a tym sposobem złączywszy przedmieście z miastem, zrobiłoby się miasto większe niż Lugdun. Pięknych kościołów niebrak w stolicy, jak Bernardynów, Franciszkanów, Augustyanów, Karmelitów, Bonifratrów, Piarów i parafii Ś. Krzyża. Jest także klasztor w rodzaju Jakobinów (Dominikanów) który nazywają Moskiewskim, z tego powodu że Car moskiewski wzięty do niewoli przez Polaków, siedział

*) Najpewniéj Dąbski biskup Płocki.

tu w więzieniu do śmierci, spowodowanéj chorobą — zwłoki jego spoczywają tamże. Jest także nowy gmach Kapucynów sprowadzonych przez dzisiejszego króla z Genui; kościół ich piękny lecz klasztor jeszcze nieskończony; Zakonnicy mają obszerny i ładny ogród. Król opatrzył to własnemi funduszami, chciał im nawet dobra darować, ale oni nieprzyjęli, przysiągłszy na ubóstwo ewanieliczne. Na jednem z przedmieść stoi Pałac Kazimierowski, który dzisiejszemu królowi dostał się po nieboszcze królowéj Maryi Ludowice; najpiękniejszy on ze wszystkich znajdujących się w mieście; lecz królowa nie lubi w nim mieszkać, ponieważ tam umarła królowa Ludowika; ogród piękny i dobrze utrzymany. — Całe miasto z przedmieściami tak błotniste czasu zimy, że niepodobno puszczać się na piechotę. Polacy niedbają o to, bo choć zabłocą skórzane buty, to je myją przyszedłszy do domu.

„Teraz pomówmy o Jego królewskiéj Mości.

„Panujący dziś monarcha nazywa się Jan III z sławnego domu Sobieskich. Nim został królem był wielkim marszałkiem, i wielkim hetmanem koronnym. Koronował się d. 2 lut. 1675 r. Wié cała Europa że osobista zasługa wyniosła go na stopnie tronu. Jego dzieła rycerskie tak zgubne dla Turków i Tatarów, jego zwycięzstwo Chocimskie, gdzie własną ręką zabił Baszę Solimana jednego z dwóch wodzów tureckich — dostatecznie mówiły za nim, chociaż i Francya niemało przyczyniła się do jego elekcyi.

„Nie mogę przemilczeć rysu wspaniałości jakiéj dał dowód w dniu swojéj elekcyi. Pewny że ma więcéj głosów niż potrzebował aby zostać królem a wiedząc przytem że większość Litwinów niebyła zadowoloną z jego wyniesienia, odezwał się głośno w obec zebranego rycerstwa, że całemu zgromadzeniu dziękuje za zaszczyt wybrania go na króla, że niezasłużył na ta-

kowy, albowiem wiele jest umysłów przeciwnych temu obiorowi, on zaś dopóty nieprzyjmie korony, dopóki nienastąpi zgodność głosów. Zawieszono więc wota do dnia jutrzejszego; a nazajutrz umysły tak były zjednane, że jednogłośnie obwołanym został. — Odsiecz Wiednia zrobiła mu sławę Europejską — 200,000 Turków pierszchło na samą wieść że się zbliża król polski. Pan ten liczy się do najpiękniejszych mężczyzn jakich znałem, słuszny wzrostem, silnéj budowy, i otyły; otyłość jest właściwa wielu Polakom. Cery na twarzy białéj, okraszonéj rumieńcem; oczy w ślicznéj oprawie, nos orli, usta wdzięczne, zęby zdrowe, przytem wielce uprzejmy, wspaniały, sprawiedliwość lubiący, pełen roztropności i gorącego nabożeństwa. Dowcipu niepospolitego, zawołany teolog, filozof, matematyk i historyk. Anielską posiada pamięć, mówi wybornie po łacinie, po polsku, francuzku, włosku, niemiecku, po turecku i tatarsku; z resztą prędko roztrzygający drobne sprawy, lecz w ważnych bardzo rozważny. Kocha się w pieniądzach, i z tego powodu mają go z skąpego. Można powiedzieć że król ma najlepszą głowę w Rzeczypospolitéj; brakuje mu tylko powagi. Temperament jego silny i wytrzymały na trudy. Dzisiaj tak jest ciężki że niemoże już dosiąść konia. Lubi przestawać z osobami uczonemi i dowcipnemi; sam wiele czyta, a z natury jest wesoły i żartobliwy. Na dzień raz tylko jada obiad trwający od 1széj do 4téj godziny. Wiele jé i pije, a śpi krótko; zazwyczaj wstaje między szóstą a siódmą, chociaż późno spać idzie. Jest kawalerem orderu Ś. Ducha i nosi niebieską wstęgę.

„Nasz niezwyciężony Monarcha Ludwik XIV posłał mu był wstęgę i krzyż przez Margrabiego de Bethune szwagra królewskiego i posła przy dworze polskim. Krzyż diamentowy wartuje najmniéj 50,000 talarów; ozdoba ta bardzo mu do twarzy. Zazwyczaj nosi on

żupan ze złotogłowu z pasem diamentami wysadzanym; na wierzch żupana wdziéwa kontusz (contouche) albo rodzaj sukni podbitéj sobolami, cenionéj na tysiąc ludwików, na niéj wyhaftowany srebrem krzyż Ś. Ducha. Śpinka diamentowa utrzymuje tę suknię pod szyją. Na głowę kładzie czapkę polską obłożoną sobolami z wielkim węzłem drogich kamieni nad czołem; u boku ma szablę kameryzowaną, a w ręku obuch (haubouc) również wysadzany kamieniami. Słowem ma na sobie diamentów więcéj niż za 200,000 talarów. Wszyscy z resztą Polacy są ubrani i uzbrojeni w ten sposób, stosownie do swego stanu i możności.

„Król kocha bardzo swą małżonkę i dzieci, z tych najbardziéj dwóch młodszych synów, a nadewszystko córkę. Do najstarszego królewicza wcale niema skłonności, o czem w swojem miejscu opowiem. Oto jest obraz doskonałych przymiotów i obyczajów tego pana. Wprzód nim został królem nazywano go wielkim Sobieskim, najbogatszy to pan w Rzeczypospolitéj. Skarbiec jego wynoszący dwadzieścia milionów, złożony w Malborgu; większa część czerwonéj Rusi, zkąd jest rodem, do niego należy.

„Winienem tu zrobić uwagę, że skoro król zostaje obranym, niewolno mu odtąd kupować żadnych dóbr, nawet i morga ziemi.

„Opowiem także o pięknym czynie Sobieskiego przed jego obiorem na króla.

„Onego czasu gdy Sobieski stoczył wielką bitwę z tatarskim Chanem panującym dziś jeszcze, wziął go był do niewoli i trzymał w jednym z swych zamków na Rusi. Stało się że nieznacznie zawiązała się między nimi ścisła przyjaźń. Chan rzekł do niego pewnego razu: Co chcesz za mój okup? — Na to odrzekł Sobieski że mu da odpowiedź za kilka dni, które gdy minęły, przyszedł doń i rzekł: Wiesz o tem panie jakom robił wszystko

co w mojéj mocy aby smutek twój umilić i uczynić ci niewolę znośniejszą. Dziś więc chcę ci okazać jak wysoko cię cenię. Oto masz cztery tysiące żołnierza który cię odprowadzi do ojczyzny; idź w pokoju i bądź mi przyjacielem. Wielki Chan tak odpowiedział: nigdy z pamięci mojéj niewyjdzie dowód téj wspaniałości; a dopóki będę na tronie, wdzięcznym być nieprzestanę. Jeżelibyś kiedy popadł w moc moją, jak ja dziś w twoją popadłem, oddam ci wet za wet. Co więcéj, przyrzekam wojskami memi nietrapić nigdy twoich posiadłości. Jakoż dochował święcie tego przyrzeczenia; gdyż Tatarowie nigdy nienapadają na majątki Sobieskich; jeżeli zaś co się podobnego zdarzy, natenczas dzieje się to za zezwoleniem Sobieskiego, aby uspokoić Polaków, sarkających że z innych majątków uprowadzają Tatarzy po kilkadziesiąt tysięcy luda, owoż na dobra Sobieskich robią pozorny czambuł i porwawszy 30 lub 40 osób, puszczają głos że kilka tysięcy uprowadzili *).

Następnie opowiada o Tatarach, o sposobie ich wojowania i zwyczajach — w krótkiéj téj relacyi nieminął się z prawdą — lecz znaną rzecz, opuszczam.

Podczas jednego sejmu zdarzył się wypadek bardzo ważny, który króla dotyczył.

„Jego Królewska Mość przejąwszy listy dwóch najznaczniejszych panów Rzeczpospolitéj, które pisali do Niemiec w zamiarze zrzucenia go z tronu, i obrania innego króla, przejął także i odpowiedzi z Niemiec w liczbie pięciu lub sześciu listów; co mając w rękach kazał

*) Jest to jakaś bajeczka zmyślona; chociaż w części pokazuje że taka opinia krążyła w narodzie — nieraz Sobieskiemu robiono wyrzuty że umyślnie sprowadzał Tatarów aby pustoszyli majątki szlacheckie. Bohater ten odpowiadał na te potwarze zwycięztwami. W téj myśli jeździli do niego komisarze z pod Gołębia i mieli go oskarżać o zdradę. — Sobieski wskazał im pola Kułuskie zasłane trupami ordyńców — i oskarżyciele leżeli u nóg jego.

tak dobrze naśladować odpowiedzi, że zatrzymawszy u siebie oryginały, nieobudził w spiskowych podejrzenią aby ich praktyki wyjść na jaw mogły. Tylko król i królowa wiedzieli o prowadzonym przeciw nim spisku. Pewnego dnia w Senacie zapytał król przez kanclerza wszystkich senatorów i wojewodów, na jaką karę zasługują ci co chcą swego króla, bez żadnéj przyczyny pozbawić tronu? Wszyscy powstali, i odrzekli, że tacy zasługują na najsroższe męki jako zdrajcy ojczyzny. Poczem kanclerz odczytał przejęte listy i wymienił ich autorów. Prawda jest, że ci obwinieni panowie zmięszali się okropnie, a padając do nóg królewskich, błagali przebaczenia. Król odpowiedział im, że sprawę tę da pod rozstrzygnienie senatu. Wszyscy powstali z krzeseł, albowiem król pełen gniewu opuścił Izbę. Tegoż wieczora ci dwaj panowie upadli do nóg królowéj prosząc aby się wstawiła za nimi do swego małżonka. Nazajutrz w porannéj godzinie wprowadziła ich królowa do komnaty królewskiéj, a oni błagając go najpokorniéj o przebaczenie, otrzymali takowe. We trzy dni potem panowie ci podejmowali u siebie króla, królowę i całą ich rodzinę, i przywrócili dawną zgodę. Postępowanie podobne nigdyby niemogło wziąść takiego obrotu we Francyi *).

Przejdźmy teraz do królowéj:

„Pani ta mająca teraz około lat pięćdziesiąt, wcale jeszcze pięknie wygląda, wzrostu średniego nie otyła

---

*) Autor podróży zasłyszał pewnie o sprawie Morsztynowskiéj na Sejmie 1683. Morsztyn pracował nad zerwaniem układającego się przymierza z domem Rakuskim i dla tego do Francyi, a nie do Niemiec pisywał cyfrowane listy, które Sobieski przejmował za pomocą margrabi Brandeburskiego. Zgoda bynajmniéj nienastąpiła między królem i Morsztynem, gdyż ten ostatni, musiał z kraju uchodzić do Francyi, gdzie miał już znaczne dobra, i tam życia dokonał.

nie szczupła, cery białéj i rumianéj; oczu czarnych w ślicznéj oprawie, nosa orlego, ust małych świeżych; a chociaż zębów nienajszczególniejszych, jednak równych; przytem bardzo rozumna, cnotliwa, dobra, hojna, wspaniała, miłosierna aż do zbytku, szczególniéj dla klasztorów, szpitalów i ubogich. Jest tak przyciągającą, że dość kiedy na kogo spojrzy przychylnie, to już trudno oprzeć się jéj wejrzeniu; lecz z drugiéj strony kiedy się postawi przeciw komu, najsmielszego z tonu zbije. Największe ma nabożeństwo do Przenajśw. Ciała i Krwi Pańskiéj, do Najśw. Panny i do Stego Antoniego Padewskiego. Zazwyczaj budzi się około 10 z. rana; przez pół godziny w łóżku odmawia pacierze, poczem niewstając przyjmuje odwiedziny swoich domowników i dworzan. O jedenastéj wstaje i na mszę idzie do kaplicy zamkowéj przekąsiwszy cokolwiek — następnie ubiera się i siada do obiadu o godzinie drugiéj. Po południu przyjmuje wizyty, niekiedy gra w lombra; a czasu lata wychodzi na przechadzkę około 9téj wieczorem; ma w tém wielką przyjemność żeby ją deszcz zmoczył, choćby była w najparadniejszym stroju. Pamiętam jak pewnego dnia hrabia de Teil, radzca Parlamentu Paryskiego przysłany do Polski ze strony króla angielskiego (Stuarta) był zaproszony przez królowę aby jéj w ulewny deszcz towarzyszył na spacer; gdy tenże nieśmiał odmówić, podał jéj rękę, a że miał bardzo piękną perukę, którą deszcz zaczął moczyć, więc rzekł: Naj. Pani przemokniesz do nitki. -- Na co królowa — Nie o mnie WPanu idzie ale o jego pyszną perukę — i tak została na deszczu przez dobre pół godziny.

„Właściwie ona rządzi państwem; rada bowiem królewska złożoną jest z króla, królowéj i z jednej dworskiéj damy, która ani przymiotami ani urodzeniem niewznosi się wyżéj nad pokojówkę. Pani ta, jest rodem francuzką. Wieczorem królowa bywa na komedyi, którą

możnaby nazwać krotochwilą w guście Jodeleta. Komedyanci są Włosi. Kolacyą jada zazwyczaj około 1széj w nocy, potem modli się długo, i około drugiéj z północy idzie do łóżka, które stoi w bliskości królewskiego, pod pawilonem z karmazynowéj kitajki. Król sypia na twardéj pościeli, i dla tego może osobno że jest zbyt otyły, lub tez że niechce budzić królowéj wstające bardzo rano, chociaż tylko o godzinę wcześniéj spać się kładzie niż ona. O ile Pani ta kocha swego najstarszego syna, o tyle król okazuje się dla niego obojętnym. Orszak jéj składa się z dwónastu panien honorowych będących córkami pierwszych dygnitarzów Rzeczypospolitéj. Podlegają ochmistrzyni, która ma dozór nad niémi. Panienki te, są wzorem cnoty. Oprócz tego jest dwanaście pokojówek i w téj liczbie jedenaście francuzek, a jedna polka. Królowa ma także damę honorową, która jest księżną, podkomorzego, podskarbiego, marszałka dworu, sześciu paziów, tyluż lokajów, dwudziestu gwardzistów i kucharza francuza gotującego dla niéj, a drugiego polaka dla pań dworskich.— Gdy kilku biskupów znajdzie się u dworu, ci zwykle prowadzą królowę pod ręce; gdy zaś ich niema, są dwaj szlachcice co pełnią ten obowiązek. Większa część dworskich wymienionych wyżéj składa się powiększéj części z francuzów, wyjąwszy panien honorowych, paziów, lokajow i gwardzistów złożonych z polaków i niemców. Stajnie i powozy królowéj bardzo są liczne. Mówi ona lepiéj po polsku niż same polki (?) bo tyle delikatnych brzmień umie wydobywać z tego języka, wcale nie delikatnie brzmiącego że aż podziwienie wzbudza. Będąc od dziewiątego roku w Polsce, mogła się go nauczyć. Wiadomo że gdy księżniczka Marya Ludowika wybraną była na małżonkę króla polskiego, przybyli po nią posłowie. Panna d'Arquin znana osobiście téj nowéj królowéj, i lubiona przez nią dla urody i rozumu, znalazła

się na drodze fortuny, albowiem Marya Ludowika pytała jéj ojca pana d'Arquin czy życzy sobie aby z nią pojechała do Polski; na co tenże z ochotą przystał. Królowa przybywszy do Warszawy zrobiła ją panną honorową; w krótce też wdziękami i dowcipem zwróciła na siebie oczy najprzedniejszych panów. Szczególniéj marszałek koronny Sobieski upodobał ją sobie, a widując często, powziął więcéj niż zwykły szacunek, w skutek czego prosił królowéj o jéj rękę. Jednakowoż czy zbytnia władza Sobieskiego czyniła go królowéj podejrzanym, czy też jaki inny tajemny wzgląd obudził dla niego nieprzychylność, dość, że odpowiedziała iż panna d'Arquin zbyt młoda i może jeszcze zaczekać, a tymczasem wydała ją za Zamojskiego wojewodę sandomirskiego bogatego i przystojnego człowieka, lecz z nadwerężonem zdrowiem przez miłostki i libacye. Gdy wszakże królowa robiła wszystko, aby o tym związku niedowiedział się przed czasem Sobieski, — tajemnica nieukryła się, bo tenże stanął przed panną d'Arquin i zalewając się łzami i padając na kolana, zawołał: Pani! kto inny nie ja, ma otrzymać twoją rękę; o jedno tylko błagam, abyś mi zachowała te uczucia przyjaźni, jakie okazywałaś mi nieraz; albowiem poprzysiągłem kochać cię wiecznie. Chceszli abym uwierzył w szczerość twego przywiązania, zróbmy ze sobą układ następujący: jeżeli przeżyjesz swego małżonka nikomu innemu nie oddasz ręki tylko mnie; ja zaś daję ci słowo, że tylko z tobą się ożenię. Wzajemna ugoda stanęła. Sobieski w rospaczy że kto inny wziął mu pannę, miał, jak mówią złe języki, przez zemstę, wydać Turkom najmocniejszą twierdzę w królestwie.“

Autor daléj rospowiada bajkę, mieszając późniejsze wypadki zaszłe pod panowaniem króla Michała, gdy zgromadzona pod Gołębiem Szlachta wzywała Sobieskiego do tłomaczenia się. Już wtedy królowa Ludowika

nie żyła, a więc i zemsta Sobieskiego byłaby nie wczesną, zwłaszcza że pani Zamojska została już r. 1665 jego żoną, — i to za staraniem królowéj Ludowiki sprzyjającéj Sobieskiemu, który był z jéj partyi. Daléj tak pisze: „Panna d'Arquin żyła siedm lat z Zamojskim, i powiła mu kilkoro dzieci, które się nie uchowały. O śmierci Zamojskiego doniesiono zaraz Sobieskiemu, który rzekł: że jedzie po wdowę natychmiast; jakoż wziąwszy dwieście koni udał się do przyszłéj małżonki. Wiadomo jak potem za pomocą Francyi panna d'Arquin z pani Zamojskiéj, z wielkiéj marszałkowéj i w. hetmanowéj koronnéj została królową Polską. Polacy nie lubią ani króla, ani królowéj; pierwszego dla skąpstwa, drugiéj dla dumy; mimo tego szanują ich bardzo.

„Książe Jakób królewicz urodził się był w Paryżu wtenczas, kiedy ojciec jego był tylko marszałkiem w. koronnym. Ludwik XIV nasz niezwyciężony monarcha trzymał go do chrztu — dziś ma lat 24. W pierwszych latach dzieciństwa dawał o sobie piękne nadzieje; lecz ich nie ziścił w dojrzalszych. Drobny wzrostem, cienki, chudy, szpetnéj twarzy, ułomny, piskliwego głosu, nie na wodza wojsk, chociaż mówią że zna sie na wojskowości; słowem bardzo jest delikatny i zniewieściały. W teologii, filozofii i historyi dobrze ćwiczony, zgrabnie tańczy, niezgorzéj śpiewa, humoru kapryśnego, melancholik odpychający, prowadzi żywot nieodpowiedny swéj kondycyi mając szczupły dwór i mało pieniędzy. Król go nie kocha dla tego że jest francuzikiem zepsutym przez płeć piękną, i niezdolnym do stanu rycerskiego. Ubiera się z francuzka wspaniale, na co królowa nakłada kochająca go bardzo. Dawniéj jeszcze chciał go król posadzić przy sobie na tronie; lecz na to niechcieli przystać senatorowie; odtąd ze wstydem nie pokazuje się na tem miejscu.

„Powszechnie utrzymują że nie nastąpi po ojcu; po-

lacy bowiem nieszanują go i nielubią, królewicz nawzajem nie ma dla nich skłonności, przytém nie będąc bogatym nie wydaje biesiad, a zatem i nikt mu nie nadskakuje. W jedzeniu i piciu skromny; ma przy sobie lekarza, dwóch pokojowych, dwóch hajduków, kuchmistrza i jednę karetę sześciokonną, przytem kilka wozów pod rzeczy. Pobożność jego nie wielka.

„Królewna polska *) pierwszeństwo ma przed dwoma młodszemi braćmi, Aleksandrem i Konstantym. Dziś ma lat 14; małego wzrostu, nigdy wyższą nie będzie bo już całkiem uformowana; dobréj tuszy, płci nie najbielszéj lecz gładkiéj, oczu i nosa przecudnych, ust dość ładnych, zębów brzydkich, — twarz ma więcéj długą jak szeroką, kibić piękną, tańcuje cudownie, śpiewa wdzięcznie; obdarzona rozumem mówi dobrze po łacinie, i nieźle po francuzku; pyszna i skąpa aż do brudoty, uparta, szydząca, i przedrzeźniająca osoby których nie lubi. Do francuzów ma wstręt największy. Pewnego razu powiedziała mi: kocham cię bardzo mój książe, ale jeszcze więcéj kochałabym ciebie, żebyś na nieszczęście niebył francuzem. Do króla ma wielkie przywiązanie, do królowéj żadnego. Szkoda że ta osoba odebrała złe wychowanie, bo wesoła, i łatwo zyskać jéj łaskę, najmniéjszą przysługą.

„Król kocha ją bardzo i nie może bez niéj wytrzymać. Gdyby usłuchano życzeń królewny pewnie przebrałaby się po polsku, ma bowiem wstręt do mód francuzkich. Ubior jéj bardzo wspaniały; ochmistrzynią jéj jakaś wojewodzina, a podochmistrzynią zacna szlachcianka, cały zaś orszak składa się ze czterech pokojowien i dworzan. Jada sama z ochmistrzynią potrawy sporządzone po polsku. Gdyby ta księżniczka wychowaną była

*) Teresa Kunegunda miała w tenczas 13ty rok wydana za Maksymiliana Emanuela kurfirszta i księcia Bawarskiego r. 1695. — Król dał za nią 500,000 talarów posagu.

we Francyi, byłaby najznakomitszą osob, miła jest bowiem i pełna rozumu. Pewnego razu zdarzył się jéj przypadek, którego byłem świadkiem. Ksiądz francuski dający jéj lekcye francuzkiego śpiewu wszedł do jéj pokoju; ona zobaczywszy go rzekła: Mój Abusiu daj mi cukierków — i poczęła szukać mu po kieszeniach, a znalazłszy kilka pastylków fiołkowych, dała je swoim pannom i sama jeden zjadła. Wtéj chwili zaś gdy go połknęła, oczy jéj w słup stanęły, konwulsyjnie wykrzywiły się usta i z krzykiem zawołała: Och niegodziwy księże, cóż ci zawiniłam? Otrułeś mię, precz z moich oczu, niech cię więcéj nie widzę! — Poczem rzuciła się na jednę z swych kobiet i poszarpała na niéj czepek i kołnierzyk. Przypadek ten niemiał innych skutków, ale biedny Abuś wypędzony był z dworu, choć zresztą zacny człowiek. Dwie owe pokojowe co jadły pastylki nie chorowały bynajmniéj; księżniczka zaś cierpiała przez dwa tygodnie. Odtąd byłem ostrożniejszy i już nie dawałem karmelków księżniczce, bojąc się aby mię nie spotkało to samo.

„Książe Aleksander może się liczyć do najładniejszych dzieci w Europie, ma teraz lat 12. Na wiek swój, słuszny, białéj cery, twarzy długiéj, oczu błękitnych, nosa i ust do malowania, zębów nieosobliwych, lica rumianego, z oblicza podobien do ojca, dowcipny, lubi nauki, mówi trochę po francuzku, humoru na pozór pysznego, lecz w gruncie dobry i miłosierny dla biednych; postać ma taką, że go szanować i bać się trzeba. Dla naszego narodu obojętny, może ztąd że mało mówi po francusku. Ojciec go bardzo kocha i polacy również. Jeżeli berło nie wyjdzie z domu Sobieskich, najpewniéj jemu się dostanie. Młody ten pan nie kocha królewicza Jakóba, i tamten go nawzajem. Dworu jeszcze nie ma równie jak młodszy brat Konstanty. Ma ochmistrza, trzech pokojowców, a dworzanie królewscy jemu służą. Lubi ćwiczenia

ciała, i jest silny; lubi także podarunki ale odbierać, nie dawać. Nadzieje na nim wielkie.

„Książe Konstanty najmłodszy z rodziny; ma lat 9; choć nie bardzo ładny, jest przyjemny, dowcipny, mały na swój wiek. Oblicza pełnego i okrągłego, cery ni białéj ni smagłéj, oczu błękitnych, miernego nosa, małych ust. Hojny do zbytku; a choć nic nie ma, lubi robić dobrze. Mówi nieco po francusku, bardzo pobożny i porządny, prawdziwy benjaminek królewski; ojciec we wszystkiem mu dogadza. Przypominam sobie jak król darował mu parę pistoletów kameryzowanych. Książe Aleksander zazdroszcząc mu tego podarunku postanowił sobie, znając humor Kostusia pokłócić się z nim i wydrwić od niego pistolety. Po kilku przykrych słowach usłyszanych od brata, że jest gorączka, uniósł się i wyciął mu policzek. Aleksander rad z tego, zaczął płakać i odgrażać się że pójdzie na skargę do ojca. Idź, idź — mówił Kostuś — nie boję się niczego. Gdy zaś Aleksander prosto szedł do komnat królewskich, Kostuś pomiarkował że może być bieda i rzekł: trzeba zagodzić mego brata, ale jakim sposobem? Zawołajcie Olesia! — Zawołano go — a on przystępując doń rzekł: Widzę na coś zakroił — chcesz wydrze mi pistolety? — Uspokójże się i nasyć swoje łakomstwo; to mię tylko robi wyższym nad ciebie, że kiedy ja wszystko oddam, ty nigdy nic nie dasz nikomu. Równie jak ich siostra i oni odbierają złe wychowanie; w Polsce bowiem takich rzeczy pozwalają dzieciom, jakich niepozwolonoby nigdy we Francyi.

„Otóż i w krótkości wizerunek rodziny królewskiéj; o innych dzieciach nie wspominam, królowa miała ich siedmnaścioro, — lecz te powiększéj części pomarły w niemowlęctwie.

„Najbardziéj jednak niepodobał mi się dwór polski z tego, że łotrom wybornie się tam powodzi, kiedy lu-

dzie przyzwoici nie są ani lepiéj przyjmowani ani nagradzani“.

Tu Autor przystępuje do ogólnych uwag o Rzeczypospolitéj, to zaś co mówi o składzie jéj rządu, należy do rzeczy powszechnie i lepiéj znanych. Jednakowoż niektóre szczegóły godne zanotowania. Posiedzenie sejmowe tak opisuje: Po obu stronach króla siedzą w krzesłach senatorowie świeccy i duchowni podług swoich godności, i tworzą czworobok próżny we środku. Koronni zajmują prawą, litewscy lewą stronę Za nimi siedzą posłowie na ławach pokrytych tureckiemi kobiercami.

Opowiedziawszy jakie są atrybucye Prymasa, przedstawia jego wizytę u króla. — „Jeżeli Prymas przychodzi do króla, natenczas Naj. Pan posyła swego podkomorzego, który go wita u stopni schodów; sam zaś przyjmuje go u drzwi przedpokoju“. — Wyliczywszy atrybucye królewskie, dziwi się niegodziwéj polityce narodu, który pozwala jednemu posłowi choćby bez żadnéj przyczyny sejm zerwać. „Widziałem żywy przykład — mówi daléj — czasu mojéj bytności w Warszawie. Ostatniego dnia konkluzyi sejmu, w piątek przed kwietnią niedzielą, zgromadzenie przeciągnęło sessyę aż do drugiéj po północy. Co jest rzeczą niepraktykowaną; albowiem od wielu lat stanęła ustawa zabraniająca wnosić świece do senatu. Gdy zaś to był ostatni dzień sejmu, przeto weszło do izby dwónastu paziów z pochodniami. Wtenczas jeden poseł litewski przekupiony przez dwór rakuski aby sejm zerwał, powstał i poczyniwszy różne zarzuty, miał tyle zuchwałości że pełnoj obelg namiotał królowi w oczy, nazywając go skąpcem niegodnym panowania. Jeden biskup z partyi królewskiéj, siedząc niedaleko tego posła domagał się ukarania mowcy za obelgę majestatu — lecz ów poseł dał mu kułaka w brzuch i zaraz porwał się do szabli. Król widząc na co się za-

nosi, powstał z tronu, dobył szabli, i krzyknął na straż przyboczną, która weszła do izby mającéj postać zbuntowanego tłumu, nie zaś zgromadzenia narodu. W zgiełku tym poseł ów głośno zapowiedział że zrywa obrady, poczem korzystając z ciemności nocy umknał z izby. Puszczono się za nim, lecz on kazał był sobie przygotować łódkę na Wiśle, któréj dopadłszy przeprawił się na drugi brzeg. Tym sposobem sejm został zerwany; wszystkie kościoły pozamykano przez sobotę z powodu obelgi wyrządzonéj biskupowi; jednakże klątwę dopiero w kwietnią niedzielę zdjęto, aby nieprzeszkadzać w obrzędach wielkotygodniowych".

Następnie mówi o szlachcie polskiéj i kreśli potworny jéj stosnnek do ludu, lecz w sposób tak przesadzony jak zwykle cudzoziemcy o nas przesadzali, biorąc pojedyncze, wyjątkowe przypadki, za regułę powszechną, za panujący obyczaj. Były nadużycia, bo gdzież ich niebyło? Ale stosunek patryarchalny jakże mocno był łagodzony uczuciem religijnem, i obyczajem słowiańskim który w sobie mieści tyle stron wysoko ludzkich. Kreśląc obraz szlachty, ma jednakże niektóre trafne rysy, między innemi, gdy powiada iż Polacy lubią bardzo pieniądze; lecz niema przyjemności pożyczać im, albowiem rzadko lub nigdy nieoddają co winni. Można im tylko na zastaw pożyczać; inaczéj upominając się o swoje, grożą batami. Szlachta bardzo jest hojna i wspaniałą dla cudzoziemców przybywających do ich domu, dają im wygodę i najlepsze przyjęcie. Wielcy panowie bywają wspaniali a stroić się lubią okazale; mają futra wartujące po 600 pistolów. Tak bogaci jak ubodzy noszą buty z żelaznemi podkówkami w kształcie półksiężyca; kiedy się przechadzają po ogrodzie wyciskają takie znaki podkówkami, że zdawałoby się że przechodziło stado baranów. Wielu ubiera się po francuzku. Daléj idzie pocieszne postrzeżenie że

Polacy zazwyczaj kładą słomę do butów, słomę co nienajlepszą woń rozszerza. Pokazuje się że co widział u chłopów, to do całego narodu zastósował. Włosy noszą obcięte wyżej uszu, zostawując tylko wierzch głowy pokryty czubem; twarz golą, krom długich wąsów spadających na usta.

„Wszystkie kobiety czy szlachcianki czy z miejskiego stanu ubierają się na sposób francuzki, a nawet chłopki. Kochają się w bogatych strojach i przepadają za najnowszą modą francuzką. Kiedy pani jaka ma się udać do kościoła, choćby tenże był o kilkanaście kroków, jedzie zawsze karetą sześciokonną. Panowie robią toż samo. Nikt tu niema zwyczaju jeździć parą końmi, tylko czterema, sześcią, lecz nigdy ośmią. Damy wyższego towarzystwa bardzo dobrze się prowadzą, nienadużywają wolności danéj im przez małżonków, która to wolność większa nierównie niż we Francyi. Przeciwnie prosty lud więcéj jest zepsuty. Choć bardzo zimno w tym kraju, wszelako Polacy zawsze kąpią się w publicznych łaźniach. Wielcy panowie mają je u siebie, i przynajmniéj co dwa tygodnie biorą kąpiel. Postrzegłem jedną rzecz bardzo chwalebną między Polakami, a to jest, że z wielką stałością umysłu znoszą straty majątkowe i przykre koleje losu; ale nawzajem nieumieją się litować nad nieszczęściem drugich(?). Niemają publicznych akademiów gdzieby się uczyli jeździć konno, lub tańczyć, lub fechtować; każdy sam się tego uczy.“ Kończy ten obrazek kołtunem zwalając tę chorobę na nieochędóstwo prostego ludu.

Mówiąc o bogactwie krajowem, twierdzi, iż lud jest ubogi, szlachta również, lecz są przytem ogromne magnackie fortuny. „Dochody królewskie wynoszą milion liwrów pobieranych od Rzeczypospolitéj; za to muszą opatrywać potrzeby dworu; gwardye zaś i dworzan opłaca skarb. Chociaż lud tak ubogi, jednakże żywi się bez

porównania lepiéj niż Francuzi; na obiad miewa trzy lub cztery potrawy, mięso, jarzyny lub kaszę itd., w chałupach meblów niema; trochę naczyń drewnianych lub glinianych, lichy tarczan, siennik i koc, dzieci spią na ławach około pieca, w którym także chleb pieką; że zaś nieużywają kominów całą izbę napełnia gęsty dym itd. Kobiety noszą się podobnie jak nasze wieśniaczki francuzkie, wyjąwszy że mają koszule krótkie niedochodzące do pasa, gdy więc się zegną widać na cztery cale gołe ciało między koszulą a spodnicą. Dziewczęta na Rusi za cały ubiór mają koszulę w każdéj porze, która po kolana zachodzi i opasane są fartuchem; z gołemi nogami i gołą głową, noszą włosy zaplatane wstążkami lub też w warkocze. Gdy na Rusi pełno lasów sosnowych, chowają mnóstwo pasiek, które wielki dochód dziedzicom czynią. Dalej opisuje przykrą operacyę plag i wykazuje różnicę że chłopa kładą na ziemi, a szlachcica na kobiercu tureckim. Tymże sposobem biją i studentów. „Za mojéj bytności w Warszawie powszechnie skarżono się na Ojców Jezuitów że zbyt surowo chłostali młodzież powierzoną ich wychowaniu.“

Pisząc o stanie religii w Polsce, przyznaje przodkom naszym gorliwość, jednakowoż uważa ich więcéj bacznemi na zewnątrzne niż wewnątrzne nabożeństwo. „Duchowni są w Polsce bardzo poważani, mianowicie zakonnicy, aczkolwiek tak jedni jak drudzy mało są skromni i źle się prowadzący: to im najwięcéj dogadza że choćby najgorzéj się prowadzili, to lud prosty nie gorszy się ich życiem. Mniemam iż rozwolnienie duchowieństwa pochodzi z winy Biskupów i przełożonych, którzy im pozwalają zbytkować jak sami chcą. Post u świeckich i zakonnych księży zależy na wstrzymaniu się od mięsa i masła; chociaż w postne dni jedzą doskonały obiad i kolacye; świeccy zaś cały boży dzień jedzą i piją. Mają to sobie za wielki skrupuł jeść z ma-

słem w piątek, i gorszą się widząc jedzących cudzoziemców. Duchowni świeccy mogą mieć dwa i więcéj probostw, i trzymać je przez całe życie. Dlatego to źle wywiązują się ze swoich obowiązków. Proboszcze w nauczaniu ludu wyręczają się zakonnikami; kanonicy nieraz po parę lat niepokazują się w kościołach, gdzie mają swoje beneficya itd. Polacy dużo dają na kościoły a ubogich zostawują na łasce sług. Na mszy podczas podniesienia biją się w policzki i czołem tłuką o ziemię co sprawia niemały łoskot; kobiety wszystkie całują ziemię i uderzają czołem, wchodząc zaś do kościoła rzucają się o ziem w postawie wcale nieprzyzwoitéj dla płci pięknéj. Kościoły w ogóle są piękne i ozdobne; w czasie mszy zawsze coś śpiewają po polsku. Daléj powiada że Polacy na mszę idą z szablami, że głowy nie schylają podczas podniesienia i inne tym podobne banialuki. O roratach tak opowiada: W sobotę przed pierwszą niedzielą adwentową, a raczéj z soboty na niedzielę, wychodzi msza o trzeciéj rano, co trwa codzień przez cały adwent; mszę tę nazywają Roraty. Kościół cały płonie w ogniu od mnóstwa lamp i świec, przyczem wspaniale bywa przyozdobiony wielki ołtarz i kaplica N. Panny. W środku kościoła zawieszają N. Pannę na sznurach do których poprzywięzywane lampy tworzą cudowny widok. Król, królowa i rodzina królewska, niemniéj wielcy panowie wszystko to idzie na tę mszę szczególnéj w pierwszym dniu, chociaż zimno bywa dokuczliwe. O wilii Bożego Narodzenia wspomina także, ale innego wrażenia niewyniósł, tylko że kilka godzin siedzą u stołu i dużo jedzą.

„W czasie wielkiego postu Prz. Sakrament wystawiony bywa w kościołach od popielcowéj środy do wielkiéj soboty. Procesye odbywają się ciągle; bractwa z zakapturzoną twarzą, ubrane w bieli, opasane czerwonym sznurkiem; również są tacy co noszą szare kapice, z dwoma

dziurami wyciętemi na oczy i jedną na usta. Idą one po parze do kościoła, poprzedzeni wielkim krzyżem któremu towarzyszą po bokach dwaj ze świecami; wszyscy zaś mają długie laski w kształcie pielgrzymiego kija ś. Jakuba; w kościele padają krzyżem; starszy zaś bractwa trzykroć laską stuka o ziemię, i naraz wszyscy klękają, i z tyłu zadzierając kapicę odkrywają nagie plecy po których chłoszczą się drucianą dyscypliną. Wybiczowawszy się porządnie, ów przełożony robiący toż samo, znowu trzykroć uderza laską, bractwo zapuszcza kapy, poczem śpiewa po polsku litanię do wszystkich świętych i do innego ciągnie kościoła. Ceremonia ta odbywa się o trzeciéj z południa. Zbiegowisko ciekawych bywa wielkie, a nawet kupcy zamykają kramy aby się przypatrywać tym biczownikom."

Opis ceremonii wielkotygodniowych niedokładny i nieinteresujący, dopiero szczegół następujący do ciekawszych należy. „Przed rozpoczęciem mszy w wielką sobotę, wszyscy zbrodniarze ktorzy się stali winnymi jakiego zabójstwa, przychodzą do drzwi kościelnych, i ubrani w kaptury jak owo bractwo biczowników, niosą tyle świec zapalonych ile osób pozbawili życia. Widziałem niektórych niosących po siedm świec. Biskup odprawujący mszę ś. daje im rozgrzeszenie, i zdejmuje z nich klątwę, oraz od kar doczesnych sprawiedliwości uwalnia. Poczem parami wstępują w progi kościelne i słuchają mszy ś., leżąc krzyżem i trzymając świece w prawéj ręce; idąc zaś do komunii niebiorą świéc ze sobą. Jeżeli mogą ustrzedz się i niepopaść w ręce sprawiedliwości przez cały rok aż do Wielkiéj Soboty, sprawiedliwość niema do nich żadnego prawa.

„Jest to polityka, którą pozostawiam do rozważania."

Szczegóły podane o wyznaniu Szyzmatyckiem i Unickiem niezawierają nic takiego czegobyśmy lepiéj niewiedzieli.

Obrzędy weselne i pogrzeby opisuje za to wiernie jak mu się przedstawiły. Są one, jak powiada, bardzo kosztowne. Wesela zwykle trwają przez trzy dni. „Kiedym był w Warszawie, król wydawał jedną pannę z dworu królowéj Jejmości za pewnego wojewodę; było to czasu sejmu. Król wyprawił gody przez dwa pierwsze dni w izbie senackiéj. Uważałem że zastawiono cztery długie stoły, a jeden w głębi; na rusztowaniu cztery stóp wysokiem stał królewski baldachin z aksamitu karmazynowego ze złotemi frendzlami. Król siedział pod baldachinem w środku stołu, królowę miał po lewéj, a dzieci po prawéj stronie. Królewicz Jakób nie był wtenczas w Warszawie. Pan narzeczony siedział blisko nich, a narzeczona po królewnie. Dwa inne stoły szły wzdłuż ścian po obu bokach sali; po prawéj ręce siedziały znakomitsze panie. Dwa te stoły miały 80 nakryć. Niepodobna mi wyliczyć mnóstwa półmisków z mięsiwem i z wetami; niektóre półmiski były tak ogromne, że czterech je niosło; również widziałem tam stosy owoców i cukierków. Mięsiwa podają naraz wszystkie; potrawki zazwyczaj są robione z mięsa i ryżu, przyprawne sosem śliwkowym, szafranowym, z pieprzem, imbirem, cynamonem i muszkatołową gałką. Niebrakowało też i starych win węgierskich; zwłaszcza że Polacy równie majętni jak ubodzy, nigdy niepiją wody, tylko wino i piwo. Rzadko jadają zupę; potém idą wety, niezrównane przepychem; były bowiem ogromne półmiski cukrów i ciast na cztery stopy wysokie. — Niemałe to zadanie dźwigać takie piramidy. Na środku sali ustawiono czwarty stół dla składania półmisków już obniesionych; należą one do paziów, którzy jedzą to, co schodzi z pańskiego stołu. Muzyka przegrywała w ciągu biesiady trwającéj całe sześć godzin. Po skończonym festynie wynoszą stoły, i rozciągają na podłodze kobierzec z czer-

wonego sukna nadzwyczajnéj wielkości, który pokrywa salę; na tym kobiercu rozpoczynają się tańce i trwają od jedenastéj do szóstéj rano. Król bierze rękę królowéj, i nim taniec rozpocznie obchodzi całe zgromadzenie stojące pod ścianą i wszystkim piękny ukłon oddaje, co jest bardzo nudny widok; poczem idą w taniec przy dźwięku muzyki. Z początku myślałbyś że tylko sobie spacerują. Za przykładem króla i królowéj biorą się za ręce narzeczeni, księżniczka i książęta, i to samo robią co królestwo Ichmość, posuwając się i kłaniając. Na końcu kiedy wszyscy pójdą w tany, sprawia to wcale przyjemny widok, zwłaszcza, że coraz więcéj zapalają się i już nie spacerują, ale czwałują; przyczem szczególniéj mnóstwo brylantów w stroju damskim wydaje się okazale; niektóre mają na sobie za milion klejnotów. W ich muzyce bywają zawsze używane organy. Drugiego dnia dzieje się to samo. Co zaś jest najosobliwszego, że wszyscy panowie i panie znaczne robią prezenta narzeczonej i to w obecności królowéj. Na trzeci dzień odprawia się właściwy ślub. Około czwartéj z południa najznaczniejsi panowie dosiadają przepysznych rumaków i udają się do mieszkania pana młodego; a zabrawszy go ze sobą, prowadzą do królewskiego zamku uszykowawszy się w szeregi po cztery konie w każdym, a wszyscy w paradnych strojach. Pan młody jedzie na samym końcu, w atłasowym żupanie białym przerabianym złotem, okryty klejnotami, i tak cały ten orszak wjeżdża na dziedziniec zamkowy przy odgłosie trębaczy, bębnistów, fletnistów, oboistów poumieszczanych na galeryach, a objechawszy trzykroć dziedziniec zesiada z rumaków i prowadzi pana młodego na pokoje królewskie, gdzie tenże Naj. Pana grzecznie ułożonym komplementem prosi o rękę narzeczonéj, poczem król go prowadzi do królowéj, która mu oddaje narzeczoną. Biskup czekający w kaplicy ze ślubem, łączy państwa młodych

w obecności króla i królowéj. Ceremonia ta odbyła się około piątéj z południa. Po ukończeniu jéj królestwo Ichmość z całym dworem odprowadzają nowożeńców do mieszkania pana młodego, który wyprawia wspaniały festyn gościom weselnym, tyle kosztujący, że nieraz porządnie nadszarpnie majątku. Tańce trwają do rana podobnym trybem jak u króla. O świcie rozjeżdża się towarzystwo, a rodzice panny młodéj zabierają ją ze sobą. Jest bowiem w obyczaju, żeby nowożeńcy dopiéro po trzech dniach od ślubu mieszkali ze sobą.

„Teraz przechodzę z obrzędów weselnych do pogrzebów.

„Pogrzeby u Polaków wydają się raczéj na tryumf żyjącego, niż pogrzeb nieboszczyka. Widziałem jak chowano wdowę wojewody Malborskiego *), która umarła przy połogu w dwódziestym szóstym roku życia. Była to osoba bardzo piękna, i bardzo kochana od męża. Ciało jéj stało na katafalku przez pięć dni; leżała na stole nakrytym kobiercem tureckim dzianym złotem; w przepysznem ubraniu, w klejnotach, miała ręce skrzyżowane na piersiach; na głowie czepiec koronkowy, wygorsowana, z muszkami na twarzy, z pudrem we włosach, i upstrzona bujnemi fontaziami. Głowa jéj spoczywała na aksamitnem bogato haftowanem wezgłowiu; trzewiki ozdobione djamentami, rękawiczki złotem haftowane; chustka do nosa obszyta koronką, i tak rozłożona jakby dopiero jéj używała. Dziecię jéj, dziewczynka, co umarła po ochrzczeniu, leżała ubrana w karmazynowy złotogłów, cała w dyamentach, w rękawiczkach z białego atłasu, i w takichże trzewiczkach. Spoczywała obok matki na małym katafalku pokrytym kobiercem, na którym podesłano kawał czerwonego aksamitu haftowanego złotem;— mnóstwo świec gorzało około nich. Dwóch księży na klęczkach odprawiało modły przy zwłokach. Pokój obity był przepysznemi gobelinami —

*) Wojewodą Malborskim był Ernest Denhoff.

okna otwarte. Ciało nieboszczki nienabalsamowane włożono do ołowianéj trumny, którą zamknięto w inną drewnianą obitą morą czerwoną, i złotemi galonami przybitemi goździami srebrnemi. Na obu końcach trumny były srebrne blachy przedstawiające jéj herby i inne dostojeństwa. Trumnę włożono na karawan ciągniony sześcią końmi w kapach czarnych. Karawan pokryty był całunem z czarnego aksamitu z czerwonym krzyżem. Sześciu sług w żałobie, mnóstwo księży i zakonników poprzedzało karawan, otoczony tłumem świec jarzących niesionych przez domowników i poddanych w czerni. Trumna dziecięcia była podobną. Zaprowadzono je do kościoła Ś. Krzyża miejsca spoczynku ich zwłoków. Obrządek odbył się około dziesiątéj zrana. Cały kościół gorzał od świateł.

Pogrzeb wielkiego pana bywa całkiem inny.

„Książe Radziwiłł siostrzeniec królewski umarł także w dobrach swoich. Najjaś. Pan kazał odprawić po nim nabożeństwo żałobne w kościele Ś. Jana w Warszawie.— Książe ten miał lat 21 kiedy żyć przestał. Często miałem zaszczyt rozmawiać z nim, wyrażał się bardzo dobrze po francuzku; był to pan wielkich nadziei. Ożeniony z pewną księżniczką niemiecką, któréj nazwiska zapomniałem, zostawił ją wdową i bezdzietną. Po jego śmierci wróciła do Niemiec; — wyznania jest protestanckiego *).

„Oto są szczegóły które nieuszły uwagi mojéj na pogrzebie tego księcia. Kościołów niemają tu w zwyczaju obciągać kirem, jak u nas we Francyi, tylko okna za-

---

*) **Jerzy Radziwiłł książe na Ołyce i Nieświeżu, Podczaszy litew. syn Michała podkanclerzego i hetmana pol. litew. i Katarzyny Sobieskiéj siostry rodzonéj króla Jana umarł roku 1689, mając zostać wojewodą trockim. Połączony z księżniczką Anhaldzką Maryą Eleonorą córką Jana Jerzego księcia Anhalt-Dessau — niezostawił z niéj żadnego potomstwa.**

krywają kobiercami, wielki ołtarz ozdabiają malowaną na płótnie dekoracyą, przedstawiającą Ojca wszechmocnego jak duszę wydobywa z czysca; widać tam jeszcze cnoty teologiczne i kardynalne i wiele innych pięknych rzeczy — co wszystko oświetlone tysiącem lamp i świec wspaniały przedstawia widok. Pośrodku kościoła wznosiło się mauzoleum przepyszne otoczone niezliczoną liczbą gromnic, mnóstwem figur wielkości naturalnéj, i różnych ozdób malowanych na biało i złoconych. Ośmiu biskupów odprawiało nabożeństwo trwające najmniéj pięć godzin; przy mszy śpiewało kilka chórów. Jest tu zwyczaj trzy razy w czasie mszy robić ofertoryum na początku, w środku i na końcu. Można sobie wyobrazić jaki tłum towarzyszył téj ceremonii. Po skończonéj mszy wpadło do kościoła trzech rycerzy jeden za drugim, uzbrojonych od stóp do głów i siedzących na najpiękniejszych rumakach. Pierwszy rycerz niesie szablę zmarłego, drugi buławę, a trzeci kopię. Wpadają wszyscy trzej cwałem do kościoła i łamią te bronie o trumnę. Ostatni z rycerzy niosący kopię, skruszywszy ją, zesuwa się lekko z rumaka jakby nieżywy; a w téj chwili księża chwytają rumaka, i trzymają go za uzdę dopóki rycerz niewykupi go za cenę jego wartości (?) — Potem rozrzucają srebrne pieniądze, które każdy schwycić pragnie. Obrządek ten sprawia tak nadzwycznajne zamieszanie, że wielu duchownych, biskupów i senatorów zostaje powalonych na ziemię. Porządku żadnego, tylko tumult okropny. Na końcu bywa okazała stypa dla księży, gdzie węgrzyn potokami się leje. Mężczyźni taką samą żałobę wdziewają jak we Francyi; lecz panie zwykle ubierają się w suknie z grubego kiru, a bieliznę mają jak najgrubszą; im która większa pani, tem cięższą przywdziewa żałobę. Uważałem to na księżniczce ciotecznéj siostrze zmarłego Radziwiłła. Materya i bielizna jéj była tak grubą, że aż strach patrzeć. Je-

dnakowoż wcale ten ubiór bywa do twarzy osobom pięknym z natury.

„Otoż jest wszystko, com widział i zauważał podczas mego pobytu w Polsce, gdzie przepędziłem rok cały na dworze Jego królewskiéj Mości. Po skończonym roku postanowiłem powrócić do Francyi, i życzenie moje objawiłem królowéj Jejmości.

„Mogę zapewnić, że wiele bardzo trudności doznałem, aby otrzymać od Naj. Państwa zezwolenie na mój powrót. Kazali mi na to czekać przez trzy miesiące; lecz przekonawszy się że postanowienie miałem niezmienne wyjazdu, i że zmartwienie z tego powodu przyprawiło mię w ciężką i tak niebezpieczną chorobę, ze brat Anioł mający mię w swojéj kuracyi, wyznał przedemną iż od lat trzydziestu jak się nauką lekarską zajmuje, niespotkał się z równie przykrą, jak dziwną chorobą. Nakoniec przecie wydano mi paszport w imieniu królewskiem i drugi od posła austryackiego barona Żerowskiego (nie markiza). Oprócz tego wyznaczono pewnego szlachcica który mi towarzyszyć miał do samego Paryża, ponieważ zostawiłem tego który ze mną przyjechał. Owoż orszak mój składał się z pomienionego szlachcica, i pewnego niemca, oraz z furmana i dwóch lokai: do bardzo porządnego powozu dano mi sześć tęgich polskich koni.

„Wyjechałem 1go lipca 1689 r. z Warszawy do Krakowa; — miejsca przez które przejeżdżałem tak małéj są wagi, że niewarto pamiętać o nich, ponieważ spotyka się same tylko wioski gdzie zaledwo dostanie pożywienia dla ludzi i dla koni. Dla tego opuszczam je. Stanąłem w Krakowie w sobotę około południa i zabawiłem w tem mieście przez dwa dni.

„Kraków jest bardzo pięknem i wielkiem miastem; Wisła przechodzi środkiem; wielki most drewniany łączy dwie jego części tak wielkie że mogą tworzyć każde

osobne miasto. Jedno nazywa się Krakowem drugie Kazimierzem. Właściwy Kraków obwiedziony jest lichym murem i lichszą fosą. Ulice szerokie i proste z pięknemi kamienicami, pomalowanemi na zewnątrz. Dużo tu kramów kupieckich. W środku piękny i obszerny rynek, z wychodzącą nań fasadą przepysznéj architektury kościoła którego nazwiska niepamiętam *). Kamienice w rynku wszystkie podparte są arkadami sklepionemi, gdzie przedają co tylko potrzeba do życia. Miasto zawsze bywa błotniste. Do najpiękniejszych gmachów należą kościoły; Ojców Jezuitów, a mianowicie Dominikański, któremu równego niema bezwątpienia cały ich zakon. W téj to wspaniałéj świątyni spoczywają zwłoki: Ś. Jacka zakonnika tego klasztoru. Są inne dość piękne kościoły, jak Św. Szczepana, Franciszkański i Marków. Część miasta Kazimierzem zwana otoczona jest dobrym murem ulice piękne i budowle również. Na zewnątrz bardzo wspaniale wydaje się ratusz Kazimierski; niewidziałem go w środku. Są tam piękne kościoły, jak: Bożego Ciała, Augustyanów, których klasztor prześlicznéj budowy; i innych wiele których niepamiętam. Miasto ma obszerne przedmieścia zapełnione rozkosznymi pałacykami. Sam zamek przepyszny, wielki i warowny; leży na górze — obwód jego rozległy; panuje całemu miastu. U wstępu widziałem kościół katedralny pod wezwaniem Św. Stanisława (raczéj Wacława). Pod wszelkim względem osobliwéj piękności. Są w nim relikwie Ś. Stanisława.

Tutaj się odbywa obrzęd koronacyi królów; tutaj w skarbcu przechowują wszystkie insygnia używane przy tym obrządku; tutaj chowają się także ciała królów. W mnóstwie pięknych kaplic, z kopułami pokrytemi złoconą miedzią stoi wiele przepysznych grobowców

*) Panny Maryi.

marmurowych z posągami monarchów. Zamek gdzie królowie rezydują w czasie swéj koronacyi przypiera do katedry: dziedziniec w nim nie kwadratowy, lecz cokolwiek dłuższy jak szerszy; dokoła idą trzy galerye jedne nad drugiemi, utrzymywane słupami z czerwonego marmuru. Lamperye w pokojach okryte rzeźbami, malowidłami i złotem. Sprzęty odpowiadają wcale tym ozdobom. Dziedziniec zamkowy zdobią oprócz tego marmurowe posągi i herby wszystkich królów polskich, z trofeami zwycięstw odniesionych na nieprzyjaciołach Rzeczypospolitéj. — Kraków jest stolicą Małopolski. Wyjechałem z tamtąd we wtorek o jedenastéj rano puszczając się do Wiednia, i robiłem tę samą drogę jaką jechałem z Wiednia do Warszawy. Są to najszkaradniejsze pod słońcem drogi z powodu lasów, gór i wylewów wód spowodowanych ulewnemi deszczami, tak dalece, iż trzy razy miałem pół stopy wody wyżej nad tylne koła powozu. Słowem jest to kraj najnędzniejszy, nawet za pieniądze niemożna w nim znaleść pożywienia dla siebie i dla koni. Co zaś najwięcéj mi dokuczało; to owa ostrożność po małych miasteczkach, kiedy straż zatrzymywała mię u bramy, i kazała mi czekać po pół godziny za nim wyexpedyowano moje paszporty w ratuszu. Przyczyną tych ostrożności była naprzód wojna z Francyą, a potem spalenie wielu miast cesarstwa przez francuzów, jak złośliwie puszczają pogłoski. — Wszystko to sprawiło że podróżni byli zatrzymywani aby się wywiedzieć czy między niemi niema jakiego podpalacza; dzięki Bogu szczęśliwie przebyłem te przeszkody.

„Zapomniałem jeszcze powiedzieć że o jakie 5 mil (francuzkich) od Krakowa można oglądać prawdziwy cud natury i opatrzności; jest to studnia z któréj wydobywają wszystką sól dla polskiego kraju, co wielki przychód daje królowéj. Sól wydobywana z tamtąd jest kamienna i czarniawa podobna do ciosu. Otwór téj stu-

dni ma najmniéj trzydzieści stóp średnicy; pokryty jest sklepieniem z dachówki tak obszerném, że nietylko służy do ochrony studni, lecz także na skład brył solnych wydobywanych z kopalni. W głąb studni spuszczać się można za pomocą grubéj liny nawiniętéj na walcu, zupełnie jak w naszych kopalniach Francuskich. Kto chce się spuszczać nadół przyczepia powróz do liny za pomocą żelaznego haka, na drugim zaś końcu powrozu jest albo ławeczka, albo kawałek drążka na którym siada się jak na koniu, drugi człowiek może siąść na kolanach pierwszego i trzymać się liny rękami. Wtenczas obraca się walec parę razy, a gdy tamci w głąb pójdą, druga para robi to samo, aż tym sposobem bywa niekiedy pięćdziesiąt osób przyczepionych do liny, która pomaleńku spuszcza się do głębi. Od chwili jak światło dzienne znika, wszyscy zaczynają śpiewać *Salve Regina* polecając się Panu Bogu i Najświętszéj Pannie, i w mały pół kwadransik znajdują się na pierwszem piętrze kopalni, gdzie jest źródło wody słodkiéj. Jest trzy takie piętra; aby stanąć na ostatniem potrzeba pół godziny. W tych podziemiach widać kurytarze w kształcie sypialni po klasztorach żeńskich, i mnóstwo małych pokoików podobnych do cel klasztornych. Na każdem piętrze jest kaplica dla pięciuset ludzi pracujących oskardami do wyłamania brył solnych. Kopalnie te mają ćwierć mili głębokości i rozciągłości. W najniższym szybie mieszkają złoczyńcy skazani na stracenie; każdy ma lampę przy któréj pracuje; nigdy oni niewychodzą na świat, wyjąwszy tych co nie są na śmierć skazani; jedni też wychodzą raz, drudzy więcéj razy na tydzień stósownie jak ich zbrodnie były większe lub mniejsze. Zwiedziwszy te kopalnie uczepić się trzeba liny i tak samo dostać się na górę jak się zeszło na dół; wczasie windowania śpiewają Litanię do Najświęt. Panny. W podziemiach tych wilgoć panuje niesłychana (?); lu-

dzie tam mieszkający podobniejsi do wskrzeszonych nieboszczyków niż do żyjących. Dzisiejszy król i królowa zwiedzali raz te kopalnie; i kazali robić schody. Bez tych kopalń, polacy musieliby się obchodzić bez soli *) gdyż byłaby bardzo drogą; a teraz za 15 liwrów francuskich jedna rodzina może zaopatrzyć się w ten artykuł na dwa lata. Sól ta wygotowana w wodzie, staje się białą i słońszą niż nasza, lecz mniéj dobrą. Słonina posolona nią żółknieje i nabiera nieprzyjemnego smaku. Do potraw użyta zupełnie nie różni się smakiem od francuskiéj.“ — Widzimy z tego opisu żup Wielickich, że zarozumiały Abuś nawet naszéj soli nieprzyznawał żadnych zalet, chociaż wiadomo że francuska sól niemoże z naszą porównania wytrzymać. Nakoniec — mówi daléj — przybyłem do pysznéj stolicy — do Wiednia. Skoro mię postrzegła straż na moście, podniesiono zwodzony most i zamknięto bramę. Czterech strzelców i dwóch celników zapytało mię po łacinie jakiego jestem narodu i zkąd jadę? Odpowiedziałem żem francuz, wracam z Polski do Francyi; jeden z nich wzgardliwie wzruszył ramionami. Czekałem długo nie wiedząc co zemną zrobią. Nakoniec znudzony, powiedziałem im, że nie powinni mię zatrzymywać, ponieważ mam dobre pasporty jeden króla polskiego ich sprzymierzeńca, a drugi ich posła Barona Żerowskiego. Żaden z tych panów nie chciał i spojrzeć na nie; wszakże jeden się znalazł może litościwszy, może mniéj nieprzyjazny francuzom, który kazał przyzwać dyrektora komory. — Gdy przyszedł poskarżyłem się że mimo dobrych paszportów zatrzymano mię u bram stolicy, i że nazwisko francuskie ściąga mi te nieprzyjemności. Dyrektor otworzył moje paszporty, a rzuciwszy tylko

*) Autor pokazuje grubą nieznajomość naszego kraju; gdy jak wiadomo wzdłuż łańcucha Karpat ciągną się liczne kopalnie soli.

okiem na paszport króla polskiego, pocałował z uszanowaniem jego podpis, i zwracając się do strażników, rzekł: dla czegoż nie puszczacie z tak dobremi paszportami? możesz pan jechać i nieobawiać się niczego.

Przejechał tedy i zabawiwszy pięć dni w stolicy Rakuskiéj puścił się do Wenecyi dokąd pietnaście dni jechał. — Reszta podróży mniéj nas interesować może, zwłaszcza że zarozumiały francuz nieumie nawet dobrze obserwować, jak to widzieliśmy w jego opisie Polski. Możnaby powiedzieć, że jeśli znajduje co inaczéj jak we Francyi, tego już pojąć nie może, i z góry gani. Tacy uprzedzeni wojażerowie niepowinniby nigdy wyjeżdżać za granice swego kraju.

Lucyan Siemieński.

O TRYLOGII „PROMETEJA“ ESCHYLOSA.

(nie przed r. 2 Olimp. 75 napisanéj).

I. *Prometeusz w okowach* (δεσμώτης) i *Prometeusz wybawiony* (λυόμενος) stanowią dwie części tragicznéj trylogii, którą na wzór Orestei Prometeją nazwać można. Wspominają starożytni o *Prometeuszu ogniokradzcy* l. *ogniobiercy* (πυρφόρος) *), i ten to dramat był niewątpliwie pierwszym aktem trylogii, lubo w spisie starożytnym ostatnie podobno zabiera miejsce **). Zachował się po nim jeden wiersz tylko ***). Bywają wprawdzie jeszcze dwa inne przytaczane, lecz bez dosadnych dowodów na to, że rzeczywiście do tego dramatu odnieść je należy. Wszakże polegając głównie na świadectwie

*) Gellius, Altic. noctes, XIII, 18.

**) Welcker: die äschylische Trilogie; wstęp.

***) U Gelliusza: „gdzie trzeba, milcząc — mówiąc zasię, co ku rzeczy“. Inny wiersz przytacza Hermann Aesch. trag. I., 362, „bo milczeć korzyść niesie wielu śmiertelnikom“.

Cycerona *) wnosić wolno, że osnowany był na podaniu o *kradzieży Lemnijskiéj*.

Rzecz działa się na północnym brzegu wyspy Lemnos, kędy wypalony już za czasów przed-Chrystusowych krater wulkanu Mozychlos w górę sterczył; u którego stóp leżało miasto Hefajstias.

Osobami w dramacie tym występującemi były: pierwszą i główną sam *Prometeusz*, odważnie i zręcznie, jak tego domyśleć się należy, iskrę z kuźni *Hefajstosa*, drugiéj osoby dramatu, wykradający i w rodzaju krzesiwa, w kłączkach zapaliczki przenoszący. Odważnie i zręcznie tego czynu dokonać musiał, gdyż według fragmentu, przypisywanego Eschylosowi, nawet nieśmiertelnik lękać się był powinien, aby zbliżywszy się do krateru, nie spalić się niby komar **) Hefajstosa, który według Eschylosa samego w Sycylii „żelazo kuje, siedząc na wulkanu szczycie", w podobnéj sytuacyi i w Lemnos wyobrazić sobie trzeba. Pomocnikowi zaś jego, oraz niemymi niezawodnie świadkami akcyi nie byli jak zwykle *Cyklopowie* lecz trzéj *Kabirowie* t. j. synowie Hefajstosa i Kabiry.

Jakie osoby chór składały i jaka była treść trzeciéj głównéj sceny w tym dramacie, wolno domyśleć się ze słów *Okeanidów* w Prometeuszu w okowach, gdzie w koń-

---

*) Cic. Tusc. Disp. II, 10. „Niechże wystąpi Eschylos . . . Jakże u niego Prometeusz znosi ból, którego doznaje z powodu kradzieży Lemnijskiéj,

zkąd ogień, jak wieść, śmiertelnym skrycie
dostał się, gdy go mądry Prometej
podstępnie wykradł, za co niestety!
skarcon od Zeusa położył życie.

**) Że Prometej ogień, który podług wieści rozpowszechnionéj pomiędzy Grekami, Zeusowi kradnie, z wulkanu na wyspie Lemnos, najpierwéj znanego Hellenom, bierze — nie jest wynalazkiem lub nowatorstwem Eschylosa, lecz miejscowem podaniem, które w obrządku Lemnijsko-kabirowym początek wzięło.

cu smutnéj pieśni, jaką obecnie nucą, przypominają sobie śpiew wcale innego rodzaju, *Hymenajos*, śpiewany przez nie przy kąpieli i łożnicy Prometeuszowi, kiedy sobie ich siostrę *Hezyonę* poślubił.

Zaczem osoby dramatu według wszelkiego prawdopodobieństwa były następne: Prometeusz, Hefajstos z trzema Kabirami, Hezyone, chór Okeanidów.

Rozpoczynał się dramat ogniokradztwem, sceną ożywioną niewątpliwie śpiewem chóru i dyalogiem, zawiązanym między tymże a Prometeuszem. W środku gdzie zwykle w dramatach Eschylosa wszelka akcya ustaje, może Hefajstos z przybyszem, który dla niego w samotności i odosobnieniu był zjawiskiem pożądanem, zapuszcza się w rozmowę o tyranii Zeusa; o ludziach; o sztukach, jakie Hefajstos między bogami wykonywał a Prometej pomiędzy śmiertelnikami chciał zaszczepić i rozkrzewić; mówiono daléj o istocie sztuki a w proroczem przeczuciu o ich wpływie, rozwoju i losie pomiędzy Hellenami.

Ostatnią scenę zapewne zapełniło połączenie się Prometeusza z Hezyoną: uroczystość, która w Lemnos się odbyła, aby nie rozrywać jedności miejsca. Lemnos nawet wcale stósownem było miejscem do tego obrządku, gdyż Hefajstos, nie mając aż do téj chwili żadnego polecenia od Zeusa a naturą z Prometeuszem spokrewniony nie miał powodu temu związkowi się opierać. I tak tedy w przytomności Hefajstosa, Kabirów i Okeanidów, opiewających po dokonanym szczęśliwie zamyśle niezawodnie istotę i siłę ognia, tudzież skutki, jakie ogień wywrze na śmiertelników, wielbiących ostatecznie Hefajstosa i Tetidę, lub inne tych dwóch żywiołów wzajemne stosunki, Prometeusz łączy się z Hezyoną, otrzymując ją niby w nagrodzie za czyn bohaterski — czyli *kojarzy się ogień z wodą.*

Co dotycze charakteru Prometeusza w tym dramacie, wystąpił on tu w zupełnym blasku męztwa bohaterskiego, zasługi i szczęścia. Podstęp, przebiegłość, chytrość; przymioty, któremi dawniejsze mity nacechowały charakter jego, pominięto — ; zostawił mu Eschylos jedynie wielkość i głębokość myślenia, których przymiotów i mity owe nie odmawiają bohaterowi temu.

II. *Prometeusz w okowach.* Straszna otchłań rozwarta pomiędzy końcem Prometeusza ogniokradzcy a początkiem Prometeusza w okowach. Nie dziw przeto, że pieśń chóru na wcale inną nastrojona nutę. Tam dobrodziéj śmiertelników za czyn świetny świetną otrzymuje nagrodę: z Hezyoną węzłem małżeńskim się łączy; tu gwałciciel zakonu Zeusa chłostę srogą odbiera: psy skrzydlate króla bogów, jak Eschylos w Agamemnonie sępy zowie, szarpią wnętrzności odrastające przykutego do skały dzikiéj Prometeusza. Tu też Zeus w téj tragedyi zupełnie jest innym niż zwykle go przedstawiano; jakkolwiek i tu nie naruszono charakteru jego, w Theogonii wyraźnie nakreślonego. Nie ma Zeus więcéj boskości, jeno więcéj potęgi od Prometeusza. Jest to tyran, co gwałtem i przemocą dobił się tronu i rządów nad światem. Prometeusz zaś wolnością oddycha, nieustraszony bohater, przekonany o szlachetności, dążności i czynów, hardy opór Zeusowi stawia. Pod tym względem obadwaj zupełnie równi są sobie, że nad nimi od wieków wydane, mądre i sprawiedliwe wyroki przeznaczenia zawisły. W 511 wierszu (podług edycyi Hermanna) odzywa się chór do Prometeusza.

Mam błogą tę nadzieję, że okowów zbywszy
potęgą jeszcze kiedyś Zeusa ty dorównasz.

Poczem następująca zawięzuje się rozmowa:

Prometeusz.

Nie *tak* to uskutecznić losy nieochybne
postanowiły! Bólem i bezlikiem cierpień
złamany, z tych nareszcie więzów się uwolnię.
Bezsilną wcale sztuka w obec konieczności.

Chór.

Któż konieczności sterem włada i kieruje?

Prometeusz.

Mojr trójca i Erinye niezapamiętliwe.

Chór.

Potęga Zeusa żaliż korzy się przed niemi?

Prometeusz.

Nie ujdzie on wyroków, iście, przeznaczenia.

Wiadomo, w jakich czasach występował Eschylos, i prawie wątpić nie podobna, że kreśląc obraz ten samodziercy świata, na myśli miał króla perskiego i jego władzę nieograniczoną niczem ziomkom swoim republikanckim przedstawić zamierzył. A samodzierca ten boski okrutniejszym jest od dwóch swoich poprzedników; surowy, rządzi podług własnych praw, zniósłszy lub pogwałciwszy dawniejsze.

„Czyż z téj wysokości (mówi Prometeusz w 960).
tyranów dwóch strąconych z tronu jam nie widział?
Trzeciego rządzącego światem teraz ujrzę,
jak runie najhaniebniéj wkrótce.....
Zeusa gniew nieprzebłagany.
Surowy i okrutny każdy nowy władzca; (twierdzi
Hefajstos w. 34.)

Okeanos sędziwy, chcąc przełamać zgubny upór Prometeusza, rzecze (w w. 309.):

Prometeuszu! widzę i najlepszą radę

dać myślę tobie, chociaż sam zaradczym jesteś.
Wnijdź w siebie, zmień i przyjmij nowe obyczaje,
bo i bogami rządzi nowy teraz władzca.
Gdy słów dotkliwych miotać nie przestaniesz, wnet cię
usłyszy Zeus, na wyższym choćby zasiadł tronie;
a iście, wtenczas bóle, jakich w skutek gniewu
doznajesz teraz, żartem tobie się wydadzą.

W innem miejscu (w. 188) mówi znów Prometeusz:

Surowy Zeus sam prawa stanowi.
Wżdy kiedyś zmiękłszy zgoła się zmieni,
gdy bieda skręci kark *uporowi.*
Otenczas *złość* on *nieczułą* złoży;
związku, przyjaźni godnym oceni
mnie — i chętnemu serce otworzy.

Przywtarza tym słowom męczennika śmiertelnych chór Okeanidów, śpiewając (w. 399. strof. 1.)

Ciężko boleję nad nieszczęściem twojem,
Prometeuszu, i niby dżdżu zdrojem,
kroplistym ściekiem z delikatnych oczu
łzawe potoki na lice się toczą.
Nieznośny bowiem obecny stan rzeczy;
Zeus się prawami swojemi bezpieczy,
na dawnych bogów w dumie swej nie zważa,
berłem przemocy jawnie się odgraża.

Aby dać zupełny obraz charakteru Zeusa, jak go Eschylos w dramacie tym tu i owdzie wyrazisto skreślił i cieniował, przytoczymy więcéj ustępów. Kiedy za przybyciem Hermesa Prometeusz z niepowściągliwą gwałtownością i zwykłą zawiścią wybucha przeciw Zeusowi, ów (w. 956) odzywa się do niego:

Widzisz bowiem,
że to postępowanie Zeusa *nie ugłaszcze.*

Chór Okeanidow, pełen litości i współczucia dla losu Prometeusza, kojąc skargą na Zeusa ból bohatera, śpiewa (w. 145. antistr. 1.): 3.

Widzę i chmury brzemienne łzami
źrenice moje trwożne zalały,
że marnie nikniesz, do dzikiéj skały
przykuty stali twardej pętami.
Bo pan w Olimpie nowy zasiada;
według praw nowych bezprawnie włada
Zeus teraz, a co miało znaczenie
przed laty, idzie na zatracenie.

Daléj Zeus sam tylko jest wolny, niczem nie skrępowany; inni bogowie jego są służalcami, i tem samem nienawidzą przeciwników Zeusa:

„Krom rządów nad bogami, wszystko ma przykrości,
Bo oprócz króla bogów, Zeusa, nikt nie wolen."

powiada Kratos, jeden z najwierniejszych i najzagorzalszych służalców tego nowego władzcy.

Prometeusz słysząc szelest, jaki córki Okeanosa, na skrzydlatym rydwanie przybywające, śpiewają, przywoływa istotę, ktokolwiekby była, do siebie i mówi: (w. 119).

Otom w okowach, ja nieszczęsny bóg,
Zeusa przeciwnik, wszystkim bogom wróg,
obmierzły, ilu z nich Kronidy gród
zwiedza — a miłość jaką ludzi ród
ja pokochałem zbytnie, przyczyną. . . .

Chór mieni Zeusa upornym, okrutnym, niedostępnym. Zdaniem chóru uciska syna bożego i pasie się jego niedolą: (159, str. 2.)

Z bogów któż tak zatwardziały,
aby radość mu sprawiały
twe nieszczęścia? Któż nad doli
twojéj nędzą nie zaboli?
Chyba jeden Zeus, co w łonie
zawsze strasznym gniewem płonie,
co przeznaczył na stracenie
Uranowe pokolenie;
on, co gnębić nie przestanie,
aż się żądzy zadość stanie,
lub ktoś berło mu obrotnie
z rąk wytrąci niepowrotnie.

Jakże samodzierca znieść by mógł istotę, pragnącą niezawisłości. Gardzi on rozumem, myśleniem, co stanowi istotę Prometeusza — i dla tego Okeanos sędziwy powiada w 387 w.:

„Najlepsza, mając rozum, nie mieć go rzekomo.“

Z tego usposobienia i charakteru samodziercy wynika naturalném następstwem, że Zeus zapomina z łatwością o wszystkich świadczonych mu dobrodziejstwach. Rady Prometeuszowe zawiodły go do zwycięstwa i na tron, ależ samodziercy nawet ufać przyjaciołom nie wolno. Posłuchajmy, co sam Prometej o tém wypowiada. Kiedy Okeanidy czułe pytają go, dla czego i za co znosi tak ciężkie kary, on im na to: (w. 199.)

Ból sprawia mi nieznośny, gdy mam mówić o tém.
Bolesno także milczeć. Zewsząd złe się wali.

Gdy w sercach nieśmiertelni gniew zaczęli warzyć
i dzikie między niemi wszczęły się niesnaski,
(bo ci Kronosa gwałtem z tronu zepchnąć radzi,
by Zeus panował nadal; owi znów się siłą,
na wieki Zeusa z rządów nad bogami wyzuć,)
otenczas ja, najlepsze poddawając rady,
nie mogłem wżdy przekonać i powolność wzbudzić
w Titanach, w Uranowéj i Chthonowéj dziatwie.

A w innném miejscu: (w. 306)

Patrz, oto widowisko! jak mnie, przyjaciela
niedawno, który na tron złączonemi siły
wyniosłem jego, teraz Zeus katuje dręczy,

Znów w w. 437.

Nie sądźcie, abym z dumy albo też z uporu
zaciskał usta. Serce ach! tą myślą żre się,
że w tak samotném jęczeć muszę poniżeniu.
A jednak nowym bogom któż, jeżeli nie ja,
któż inny porozdzielał wszystkie dostojeństwa?

i od w. 224.

Takiemi dobrodziejstwy bogów król obsypan
odemnie, ot tą hańbą on mi się wywdzięczył!
Bo już to słabość taka pono władzców wszystkich
się ima, nie zaufać nawet przyjaciołom.

Pomijając dalsze cieniowanie charakteru Zeusowego, który silniéj i dobitniéj okazuje się w skutkach widocznych potęgi przywłaszczonéj i w dziełach przez sługi za rozkazem pana dokonywanych, zastanówmy się nad przymiotami i istotą Prometeusza. Nieprzebrana zarad-

ność, mądrość, przezorność, niewzruszona wola, miłość do ludzi i niezawisłości pragnienie, oto cechy wydatne jego charakteru. Hefajstos w 18. w. odzywa się do niego:

Tetidy błogoradnéj wielkomyślny synu!

a 10 wierszy późniéj:

Toś zyskał za *twą miłość okazaną ludziom;*
bo gniewu bogów jako bog się nie lękając,
śmiertelnych więcéj, niźli słusza, ty uczciłeś.

Kratos zaś w 9 wierszu karci po dworacku:

Za takie przewinienie karzą go bogowie,
by się nauczył *Zeusa władzę uszanować*
i zarzekł się *miłości do śmiertelnych rodu.*

Tenże, nie czuły służalec, w 61. wierszu logikę służalczą mając na posługi, woła:

„Przykujże i *to* (dom. ramię) silnie, aby się przekonał,
że, acz przebiegły, tępszy przecie jest od Zeusa.“

W jaki sposób miłość swoją do ludzi, których Zeus wytępić zamierzył, aby nowy wskrzesić ród, Prometeusz okazał, sam opowiada od w. 230.

Zaledwie na ojcowskiéj rozsiadł się stolicy,
aliści między bogów dzieli dostojeństwa,
każdemu inne dając — i z kolei władze
stanowiąc w państwie. Li na biednych śmiertelników
Zeus nie ma względu. Owszem ludzi ród ze szczętem
wytępić się podoba i odchować nowy.

Nikt okrom mnie zamiarom tym się nie przeciwił.,
Jam jeden się odważył i śmiertelnych zbawił,
że zdruzgotanych w Hadu ciemni nie pogrążył.

Nie zaprzestał jednak Prometeusz na tém jednêm dobrodziejstwie. Dał ludziom ogień — zaczem rozum — niedojrzałemu; dał nadto ślepe nadzieje, aby ludzie śmierci przewidzieć nie mogli. — Kratos, wypełniwszy rozkaz mu dany, do przykutego do nagiego głazu męczennika odzywa się na pożegnanie (w. 82.):

Tu teraz bądź upartym, kradnij własność bogów
i daj ją dniowym tworom. Wżdy cóż? Czy śmiertelni
zdołają ciebie z więzów tych i mąk uwolnić?
Fałszywie *rozmyślnego* mianem ciebie zowią
niebianie; boć *rozmysłu* trzeba tobie na to
obecnie, jak z zadzierzgów tych ot się wywiniesz.

Jonie w 613. w. sam przedstawia się temi słowy:

„Prometeusza widzisz, ludzi ogniodawcę.

Hermes mianuje go ogniokradcą w 948 w., a obszerniéj o tém rozmawia sam z Okeanidami, litującemi się, jak zwykle, cierpień męczennika: (w. 248).

Prometeusz.

Zaiste, w przyjacielskich sercach litość wzbudzam.

Chór.

Wszak daléj, niż powiadasz, tyś się nie posunął?

Prometeusz.

Za moją sprawą ludziom życia kres zakryty.

Chór.

I jakiż na tę biedę wynalazłeś środek?

Prometeusz.

Nadzieje ślepe w piersiach ludzkich zaszczepiłem.

Chór.

Zaiste wielkie dobro udzieliłeś ludziom.

Prometeusz.

A nadto ogień także dałem im w podarku.

Chór.

Więc teraz ród śmiertelny ognia płomień dzierży?

Prometeusz.

Przez co do mnogich kunsztów droga im otwarta.

To też słusznie narzekają i płaczą nad upadkiem Prometeusza, nad upadkiem dobroczyńcy ludy w około, o czém chór śpiewa: (w. 407 Antistr. 1).

Już jęk po całéj rozlega się ziemi;
i opłakują szlochami rzewnemi
sędziwéj sławy pełne dostojeństwa
twoje i chwałę wraz twego krewieństwa.
Bo ilu w świętych siedzibach pobliską
Azyą zamieszka, twojego ucisku
dolegliwego płaczą bez różnicy
wszyscy pospołu biedni śmiertelnicy.

Strofa 2.

Tudzież ludy ziem Kolchidy;
dziewki w boju niezachwiane;
Skytów kosze rozsypane
koło morza Meotidy
na ostatnim świata krańcu;

Antistr. 2.

i rycerski kwiat Sarmatów,
co we wzniosłych grodach leże
mając bram Kaukazu strzeże,
a dzid ostrzem — zastęp chwatów —
gromko huczy w bitew tańcu.

Wszakże Prometeusza odwaga niezłomna, wola nieugięta; cierpliwie znosi wszystko—a okazuje cierpliwość w scenie pierwszéj milczeniem, późniéj obojętnością, gdy Okeanos rad mu udziela i na wzmiankę okróconego od Zeusa Atlasa. Mówi on do Okeanosa (w. 341.):

Coś rzekł„ ocenić umiem, nie zapomnę nigdy.
Przyjaźni bowiem z niczem ty się niezadłużysz;
lecz nie trudź się, bo próżna, bezskuteczna dla mnie
mozoła twa; nuż myślisz trudzić się w istocie.
Spokojnie się zachowaj, zostań na uboczy;
sam będąc nieszczęśliwym nie życzyłbym sobie
dla tego, aby wielu złe to ugodziło.
Ach! nie, boć rodzonego brata już niedola
Atlasa mię zasmuca, który na zachodzie
gdzieś stojąc na swych barkach dźwiga nieb i ziemi
filary, brzemię iście wcale niepomierne.
. . . .

a w. 377.

Wycierpię dolę moją przeznaczoną teraz,
aż serce srogie Zeusa z gniewu znów ochłonie.

Prometeusz nie trwoży sobą; wie, że nie umrze. Gardzi Zeusem i jego rządami, których koniec niedaleki. Z trzynastem pokoleniem wzrośnie jego wybawca. W rozmowie z Joną uchyla nieco zasłony, za którą przyszłość utajona, na co ta rzecze (w. 774).

Co mówisz? syn mój ciebie z klęski téj ocali?

Prometeusz.

Potomek trzeci z rodu po dziesięciu innych.

Z tego powodu z szyderstwem i pogardą słucha rozkazów Zeusa przez Hermesa oznajmionych; nie chce objawić losu królowi bogów grożącego i woli z tajemnicą śród grzmotów i piorunów runąć i zapaść się w ciemnicach Tartaru.

Pomiędzy służalcami Zeusa pośledniejsze zajmują miejsce *Kratos* wykonawca, i *Bia*, surowa siła; a przedniejsze *Hermes*. *Hefajstos* bowiem, ten bóg zlewający pomyślność i szerzący zbawienie, który, gdy głęboki pokój na ziemi na okół zalega, tworzy to, co piękne, wbrew zwykłéj dobroduszności, wszędzie na wierzch jak oliwa wychodzącéj, przymuszony jest być narzędziem Zeusowego okrucieństwa i okować w straszne pęta przyjaciela swojego. To też narzeka głośno nad dolą swoją i chciałby choć maluczką plamkę odkryć na duszy Prometeusza, aby sobie gorzką pracę ułatwić, bo (w. 39).

„ogniwem silnym spaja przyjaźń i krwi związek.

Lecz darmo; niepokalany jest w jego oczach Prometeusz i przeklinać mu przychodzi (w. 45) „znienawidzone z gruntu swoich rąk rzemiosło.“ — Kratos przeciwnie i Bia, sługi chętne, bezczułe, napędzają i naglą wzdragającego się i opór, acz daremny, stawiającego Hefajstosa.

Na odgłos młotem bicia budzą się i wypływają z toni morskiéj pokrewne Okeanidy, zbliżając się z szelestem do zatrwożonego bohatera, (w. 128 *πᾶν μοι φοβερὸν τὸ προςέρπον*. To też odzywają się do niego:

Nie bój się niczego! Pokrewna drużyna,
polotnych skrzydeł niesiona zawodem,
zmiękczywszy zaledwie za długim zachodem
rodzica serce, na twój głaz się wspina.

Wiatr silnym podmuchem mnie zionął. W méj jamie
młota szczęk odgłos powtórzył, że w zgrozie
wstyd z oczu uleciał, skromności méj znamię,
boso dopadłam w skrzydlatym ot wozie.

Postać i strój tych osób allegorycznych, stósownie do mowy, jakiéj używały, nie mogły być odrażającemi ani szpetnemi. Hefajstos zasię miał na sobie odzienie rzemieślnicze, staro-attyckie Dajdalidów. Hefajstyadów, i t. d. kiedy sztukę swoją zowie rzemiosłem (*κειρωναξία* w. 45). Hermesowi, który z góry się spuszcza za pomocą obuwia skrzydłatego, tytuł sofisty, którym wita Prometeusza, należy się daleko właściwiéj i zasłużenie. Jest to obrotny szermierz, broniący sofistycznie rozkazów Zeusa, dworzanin chytry i przebiegły, nadrabiający czelnością i matactwem. Jedynie idealne odzienie, jako dla boga przystoi, nie pozwala poczytywać go za prostego, podłego służalca jak go jednak Prometéj w słusznym gniewie swoim mianuje. Przytoczmy rozmowę w całości między posłannikiem a wrogiem Zeusa, która koniec tego średniego dramatu stanowi, a najlepiéj poznamy lisią naturę pośrednika króla bogów. (Od w. 948 do końca dramatu).

Hermes.

Do ciebie się odzywam, mędrcu arcycierpki,
coś bogom przewiniwszy dał znikomym tworom,
co najlepszego, ogień, skradłszy go tajemnie.
Zeus każe ci obwieścić śluby, które mają,
jak często się przechwalasz, rządów go pozbawić.
I tego nie odsłaniaj w sposób zagadkowy:
nie, jasno wszystko tłumacz, abyś mnie nie zmusił,
powtórnie, Prometeju, przybyć. Widzisz bowiem,
że *to* postępowanie Zeusa nie ugłaszcze.

Prometeusz.

Wyniosła mowa twoja butą tchnie wysoką;
tak bogów służalcowi godzi się przemawiać.
Władacie nowi nowym trybem i sądzicie,
że klęska gród wasz minie. Czyż z téj wysokości
tyranów dwóch strąconych z tronu jam nie widział?
Trzeciego, rządzącego światem teraz, ujrzę,
jak runie najhaniebniej wkrótce. Żaliż tuszysz,
że nowym bogom czołem będę bił strwożony?
Dalekim, nie — jam wolny wcale od téj trwogi.
Ty powróć jak najspieszniéj drogą, którąś przybył,
bo na mnie się nie wywiesz nic, o co mnie badasz.

Hermes.

Zaiste! już poprzednio takim to uporem
wtrąciłeś się do portu twego udręczenia.

Prometeusz.

Wiedz o tém i zawierzaj: tę niedolę moją
przenigdy za służalstwo twoje nie mieniałbym.
Odrabiać oto skale téj pańszczyznę wolę,
niż ojca Zeusa wiernym być w poselstwach sługą.
Tak płacę urąganiem za urągowisko.

Hermes.

Za błogie snać uważasz położenie swoje?

Prometeusz.

Za błogie? Ha! w tak błogim stanie nieprzyjaciół
chętniebym ujrzał — a i ciebie między nami.

Hermes.

Więc mnie niedoli swojéj także czynisz winnym?

Prometeusz.

Pokrótce powiem: wszystkich nienawidzę bogów,
co wbrew słuszności dręczą mnie za dobrodziejstwa.

Hermes.

Postrzegam, że w szaleństwo ciężkie już zapadłeś.

Prometeusz.

Szaleję, nuż szaleństwem, wrogów nienawidzieć.

Hermes.

Nieznośnym byłbyś, gdybyś zdrów miał być zupełnie.

Prometeusz.

Och!

Hermes.

Tego głosu, iście, Zeus nie słyszał nigdy.

Prometeusz.

Wszystkiego wżdy starzejąc czas nauczy zwolna.

Hermes.

Rozumu jednak dotąd tyś nie posiadł wcale.

Prometeusz.

Zaiste! bo z sługusem podłym niegadałbym.

Hermes.

Snać nie chcesz więc powiedzieć, czego Zeus wymaga.

Prometeusz.

Dłużnikiem będąc, czyż tak wywdzięczyłbym mu się?

Hermes.

Szyderstwem mię pozbywasz, niby dziecko jakie.

Prometeusz.

Czy ty nie dzieckiem jesteś? ha! nierozsądniejszym
od dziecka, jeżli myślisz ze mnie co wybadać.
Męczarni, ni podstępu nie wymyśli nigdy
Zeus, którymby mię zmusił to wyśpiewać jemu,
dopóki nie rozwiąże pęt tych obelżywych.
Niech runie na mnie z góry żar ognisty gromu,
w zamieci śnieżnych kosmów i podziemnym grzmocie
niech wszystko się pomięsza i pokłóci z sobą,
nic z tego mnie nie wzruszy, abym wypowiedział,
kto jego niegdyś strąci z królewskiego grodu.

Hermes.

Toć rozważ, czy dla ciebie będzie to zbawieniem.

Prometeusz.

Już rozważono dawno i postanowiono.

Hermes.

Szaleńcze! przewiedź wreszcie, przewiedź to na sobie,
stósownie do twéj doli powziąść myśl rozsądną.

Prometeusz.

Daremnie dręczysz; mówisz, jak do głuchéj fali.
Niech się nie przyśni tobie nigdy, abym Zeusa
uląkłszy się uchwały, kiedykolwiek stchórzył
i znienawidzonego boga miał zaklinać,
niewieścim obyczajem załamawszy ręce,
by pęta mi rozwiązał. To się niepokaże.

Hermes.

Przekładam pilnie, wszakże wszystko snać daremnie;
bo prośby moje serca twego nieporuszą,
nie zmiękczą; niby rumak, pierwszy raz w zaprzęgu,
wędzidło gryząc wspinasz się i zrywasz lejce.
Wżdy przywidzeniem wątłém dumnie się bezpieczysz!
Bo upór, gdy roztropność nim nie pokieruje,
sam przez się nic nie znaczy i najbezsilniejszy.
Zważ, jeżli mojéj rady nie usłuchasz, jaka
cię czeka nawałnica i jak straszna fala
klęsk nieuchronnych. Zeus bo najprzód szorstki
ten głaz śród huku grzmotu gromem piorunistym
rozwali i twe ciało w nocy ciemnéj zgrąży;
i ramię cię skaliste dźwigać będzie. —
A długich czasów rozmiar tam przebywszy, znowu
do światła dnia powrócisz. Wtenczas pies skrzydlaty,
krwiożerczy Zeusa orzeł, chciwie wielki kawał
pochłonie ciała twego — gość, co nieprzyzwany
przyczołga się codziennie i wątroby twojéj
zdobyczą czarną głód swój zawsze sycić będzie.
I nie tusz sobie końca męki się doczekać,
nim jaki bóg się zjawi, co w zastępstwie męki
twe przyjmie na się, gotów zejść do ponurego
Hadesu i w Tartaru głębie bezsłoneczne.
Zastanów się więc dobrze; nie zmyślona bowiem

ta groźba, lecz zaprawdę seryo wyrzeczona.
Bo kłamstwem kazić usta, tego nie rozumie
Zeus, owszem każde słowo jego się uiści.
Ty rozpatrz się i rozważ — i zarozumiałéj
krnąbrności nie ceń więcéj sobie niż roztropność.

Chór.

Nam słowa Hermesowe w porę powiedziane
się zdają. On nakłania cię zaniechać zwady
i pójść za zdrową radą trzeźwéj roztropności.
Usłuchaj. Błądzić bowiem robi wstyd mędrcowi.

Prometeusz.

Od dawna znana już była mi wieść
słyszana teraz; od wrogów wżdy znieść
bezprawia, nie hańbi to wroga.
Niech ogniogory, dwuzębny mię grot
ugodzi z niebios, przestwór skłóci grzmot
i wichrów gwałtownych waśń sroga —
niech do dna ziemię zachwieje huk burz,
w łoskotnym szumie pjaną fala mórz
niebieskich gwiazd tór niech pomiecie,
niech wichrów wściekłych pochwyci mię moc
i stąci na łeb w Tartarową noc —
ha! on nie uśmierci mię przecie.

Hermes.

Oto zamiary, zaiste, i słowa,
po których poznasz że kazi się głowa.
Czegoż bo zbywa mu do obłąkania,
kiedy do szału i w prośbach się skłania?
Dziewice, co wam lito jego nędzy,
uchódźcie z miejsc tych, uchodźcie czémprędzéj,
odurzy bowiem, nabawi zawrotu
was niewątpliwie ryk strasznego grzmotu.

Chór.

Daj inną radę; przemów do serca,
usłucham; — rozkaz bo nielitośny,

niewcześnie dany, mnie nie poruszy.
Toż to podłości żądasz nieznośnéj?
Nie — cobądź przyjdzie, z nim ścierpieć wolę;
pogardzam tymi, na których czole
jest zdrady piętno — i nie ma jadu,
którymbym tak się brzydziła, jak zdradą.

Hermes.

Nie zapomnijcie danéj wam przestrogi;
a doścignione klątwą Aty srogiéj
nie skarżcie na los, nie żalcie się kiedy,
że Zeus z nienacka was nabawił biedy.
Nie — z własnéj woli, same się gubicie.
Bo z wiedzą waszą, nie z nagła, nie skrycie
podstępem w Aty wniki nieprzebrnione
bez przynuki się wikłacie szalone.

(Hermes oddala się. Gwałtowny szum i łoskot w powietrzu, trzęsienie ziemi i t. d.)

Prometeusz.

Oto już w czyn się zamienia słowo:
Chwieje się ziemia — w dali ponury
ryk się odzywa grzmotu — a z chmury
strzelają błyski łuną ogniową.
Wiją się w kłęby kurzu tumany —
dmą wiatry społem — w waśni odmęcie
łamiąc się jeden z drugim zawzięcie —
a strop niebieski z morzem zmięszany.
Już więc nademną zwisłe wyroki
Zeusa zapadną jawnie, bez zwłoki.
Truchleję z trwogi. O matko droga
i świątobliwa! — i tego boga
wołam, co światło wszędzie rozplenia,
na me bezprawne baczcie cierpienia!

(Prometeusz zapada się wraz ze skałą).

Wrażenie daléj sprawia głębokie i nieprzemijające, tudzież oburza przeciw Zeusowéj potędze ukazanie się szalonéj i błędnéj Jony w téj odludnéj ustroni, na téj dzikiéj skale. Spotykają się bowiem dwie istoty, oskarżające jednego i tego samego swiatów tyrana. W ogóle scena, w któréj występuje prześladowana, nieboga Jo, bardzo jest ważna; dla sprzeczności i rozmaitości charakterów, okazuje się wyraźniéj i uwydatnia się więcéj stałość niczem niezachwiana Prometeusza obok rozpaczy Jony, a proroctwa, jakie jéj Prometeusz objawia, dowodzą, że nie upór lekkomyślny i nierozważny jego krokami kieruje. Nadto odsłoniwszy jéj ostatecznie przyszłość słowem ważnem, że daleki jéj potomek wybawi go z niedoli jarzma, zaostrza tem ciekawość, uwagę — i umysły do natężenia sił budzi.

Chór Okeanidów wreszcie występuje boso, zapewne prawie całkowicie nagi, jak go sztuka twórcza przedstawiała, na skrzydlatym i głośno skrzydłami szeleszczącym rydwanie; a za niemi w ślad bieży ojciec ich sędziwy Okeanos, na czworonożnym, lejcami nie kierowanym potworze unoszony (Pegazos), z którego zsiada natychmiast. Okeanidy nacechowane prawdziwie niewieścim, pięknym charakterem. Do łez porusza je widok cierpiącego bohatera; łzy lejąc rozpoczynają śpiew i z delikatną odzywają się przyganą, że nie chwycił się najskuteczniejszego środka do ocalenia siebie. Przestrzegają, że ochoczo pełniąc rozkazy zwierzchnika zażywałby wczasu błogiego, że niepotrzebnie ujmuje się tak upornie za śmiertelnikami, rodem sennym, nikłym. Wszakże krewniaka nie opuszczają mimo rady Hermesa i wolą z nim wycierpieć wszystko do końca; w skutek czego niebawem następujące wzburzenie natury jeszcze większe czyni wrażenie. W ogóle wpływ błogi zmian i sprzeczności, ciszy po burzy, powagi spokojnéj obok zapędliwości gwałtownéj, wszędzie w greckiéj tragedyi

uczuć się daje; — i jedynie dla tego, aby to przeciwieństwo między spokojnym i zacisznym wczasem a wrzawliwym wrzątkiem walki, między chropowatą surowością a słodką łagodnością więcéj uwydatnić, tak często składano chóry ze starców lub niewiast. Tak i tu stosownie wcale i skutecznie tkliwe Okeanidy otaczają żelaznego Prometeusza.

III. *Prometeusz wybawiony* (λοόμενος). W środkowym dramacie zapowiedziano upadek Zeusa: Zeus pojmie małżonkę, któréj potomek potężniejszym będzie od niego, strąci go z tronu i odda na pastwę mękom i cierpieniom większym od Prometeuszowych. Ale Zeusa gniew z czasem się uśmierzy; pamiętny na przepowiednią Prometeusza, wcześnie do niego zbliży się i pogodzi ze skłonnym do zgody. Na tych kilku datach, na kilku fragmentach oryginału i ustępie tłómaczonym przez Cycerona oprzeć i dźwignąć trzeba budowę trzeciego, końcowego dramatu.

Prometeusz oczywiście po upływie czasu, który w otchłaniach Tartarowych miał przebyć, pokazuje się znowu na scenie przykuty do téj skały, z którą wespół runął do piekielnych czeluści, a sęp szarpie wnętrzności jego odrastające. Z tego położenia wybawi go chyba bóg, poświęcając się za niego *). Usposobienie Prometeusza wcale inne. Cierpienia znacznie go zmieniły (jak to już zapowiedziano w drugim akcie) i skłaniają do wysłuchania rad i pośrednika, którego przedtem obojętnie był oddalił od siebie.

Chór składał się z pokrewnych mu Tytanów. Oni zagajali dramat w anapestycznym rytmie, opisując daleką

*) Rozumie się samo przez się, że rzecz dzieje się na tem samem miejscu, co przedtem; że Prometeusz do skały przykuty był przez cały przeciąg czasu upłynionego między 2 a 3 aktem. Niedorzecznością jest mniemać, jakoby zmiana miejsca była nastąpiła i że bohatera w tym dramacie na nowo przykuwają do głazu Kaukazkiego służalcy Zeusa.

drogę, przebytą tym celem, aby go odwiedzieć *). Ze Tytanom wolno odwiedzić męczennika, na ważny naprowadza wniosek. Za czasów, kiedy Prometeusza przykuto do Kaukazu i późniéj jeszcze, gdy go Zeus wtrącił w pieczary Tartarowe, Kronos wraz z potomstwem całem także pogrążony był w tych samych ciemnicach. Musiał więc zaniechać Zeus dawniejszego okrucieństwa i począł być pobłażliwszym, skoro Tytanów z piekieł wyswobodził.— Tytanów jest 12; liczba odpowiadająca liczbie bogów. Nadto chór ich składa się z mężczyzn i niewiast. Pierwszy to przykład takiego składu (Aristoph. Hippeis 585.), jeżeli Eschylos podobnych chórów nie był już zaprowadził w zaginionych „Mamkach Dionizosowych“ i w „Niobei“ Do 12 Tytanów należała i Themis, Prometeusza sędziwa matka, która mu wszystko była przepowiedziała, starodawna bogini Delficka, wprzód Geą zwana. A że pomiędzy osobami „Prometeusza w okowach“ w kilku rękopismach Gea z Heraklesen mylnie jest umieszczona i co dotycze Heraklesa żadna nie może zachodzić wątpliwość, przeto z wszelką słusznością przyjąć można, że i Geę do trzeciego aktu przenieść wypada. Wszakże Gea z Themidą nie stanowiła tu jednéj osoby.— Nadto chór mógł dzielić się na dwa pół-chóry, męzki i żeński, pod jednym chórowodem.

Herakles występuje jako wybawiciel, ale tylko czynnie, nie dyplomatycznie. Dyplomatą pośredniczącym i pojednawczym był zapewne znowu Hermes, przybywający z nowemi rozkazami od Zeusa, jak to prawie już był zapowiedział w drugim akcie w. 949.— Prometeusz z Tytanami naradza się; poczem Herakles sępa zabija i pęta rozkowuje, czego tylko bóg zdołał dokazać. Tępiciel potworów, obrońca i opiekun krzywdzonych nie słusznie, jest tu na swojem miejscu i w swoim żywiole.

*) Procop. B. G. IV. p. 579 A. ευδὸ ἀρχόμενος Hermann. Aesch. I, 363. fragm. 1 i 2.

Wszakże nim wyswobodził Prometeusza, zapuszcza się z nim w rozmowę; tak przynajmniéj był przedstawiony na obrazie *Panajnosa* w Olimpii. Opowiada mu (fragm. 4. 5. 6. 7.) czyny, wyprawy i przygody swoje — w stosownem z resztą miejscu, gdzie w Eschylowych dramatach ustawać zwykła akcya. Po rozkuciu, gdzie wszystko szybko do końca i rozwiązania zmierza, opowiedanie to byłoby niewczesne. Herakles, przykładając łuk celem strzału, wzywa Apollona Agreusa. (Herm. Aesch. I str. 368). Wybawiony Prometéj kładzie na się pęta z gałązek oliwnych lub wierzbowych; pęta te bowiem nosi na znak pokuty za dopełnioną kradzież. Tudzież bierze na rękę pierścień czyli obręcz żelazną z oprawnym kamieniem, wyciosanym ze skały, do któréj był przykuty. Tym sposobem bowiem Zeus nie łamie słowa wyrzeczonego, że nigdy Prometeusza nie uwolni. Drugiemu zaś żądaniu Zeusa zadosyć się stało; bo, podczas gdy Prometéj symbol ten niewoli wiecznéj na się kładzie, Herakles do niego przyprowadza Chejrona, nieśmiertelnego mędrca, który gotów jest za Prometeusza zrzec się swojéj nieśmiertelności. Zszedłszy wreszcie ze skały męczennik tylowieczny, z pierścieniem na ręku, uwieńczony łozy gałęźmi, przystępuje do stołu biesiadnego i bierze udział w uczcie na cześć zaślubin Thetidy z Peleusem sprawionéj, o któréj rękę Zeus daremnie się starał a która była jedną z głównych sprężyn do wyswobodzenia Prometeusza.

IV. Satyryczny dramat *Προμηθεὺς πυρκαεύς* (rozniecający ogień) podług Hermana był przedstawiony w 4 r. 76 Olimpiady. Kilku filologów niemieckich uczy, że dramatu pod tym tytułem u kilku starożytnych pisarzy przytoczonego nie należy się mięszać z Prometeuszem *πυρφόρος* i za jeden i ten sam poczytać. W tragedyi Prometéj jest ogniobiercą i ogniodawcą, w satyrycznym dramacie niecicielem ognia, którzy uczy obchodzić się

z ogniem — i do Satyra, co w zachwycie podziwu chce uściskać i ucałować nieznany mu dotąd żywioł, woła ostrzegając: „Satyrze! sprawisz brodzie swojéj ból, (bo parzy). — Welcker twierdzi, że rzecz dramatu odnosiła się do ustanowienia świąt „Prometeje“ zwanych i że opisywano w nim wyścigi pochodniowe podczas tych uroczystości odbywane; nadto, że wewnętrznego związku między nim a trylogią tragiczną, duchem i tonem zupełnie się różniącą, nie było wcale żadnego.

Poznań w lutym 1859.

Z. Węclewski.

SIEROTA.

Poranek majowy na niebie zabłysnął,
Skowronek z piosenką w powietrzu zawisnął
I nucił wesoło — radośnie. —
A promień słoneczny w rzeczułce przejrzystéj
Skąpany, prześliznął po łące kwiecistéj
I trawkę całował miłośnie.

Rosiste perełki błyszczały na łące
Na któréj podniosły się kwiatów tysiące,
Cudowną do koła tchnąc wonią —
Wiosenny wiaterek z bliskiego dął gaju,
A rybki wesoło w szumiącym ruczaju
Pod srebrną pluskały się tonią.

Za rzeką, pod gajem, w cienistéj dąbrowie,
Gwarzyły ptaszęta coś w śpiewnéj rozmowie,
Po krzakach rozsiadłszy się tłumem. —
O podal pod drzewem w niewinnéj zabawce
Przygrywał pastuszek na wdzięcznéj ligawce,
Gaj liści wtórował mu szumem.

Prześliczna jak wiosna, jak kraśna malina,
Z piosenką po łące biegała dziewczyna
 Zrywając po kwiatku do wianka; —
Wianeczek splatała drobnemi rączkami,
A wietrzyk swawolnik rozwiewał włosami
 Z ust imię unosił kochanka.

Nad brzegiem strumyka siedziało pacholę
Z wyrazem tak smętnéj zadumy na czole,
 Jak szczęścia w niedoli wspomnienie. —
Łza rzewna po łezce spływając mu z oczu,
Gubiła się w trawce, lub wody przezroczu —
 Pierś ciężkie wzdymało westchnienie.

A łzy te co z modréj płynęły źrenicy,
Znać z gorzkiéj musiały się sączyć krynicy,
 Bo ciężkie i gorzkie tak były; —
Że jeśli z nich która na trawkę upadła,
To trawka natychmiast pożółka i zbladła,
 Jak gdyby ją iskry spaliły.

A jeśli do wody stoczyła się z brzegu
To fala zmącona wnet wstrzyma się w biegu
 Aż łezkę od siebie oddzieli. —
Jeżeli na łusce się rybki zatrzyma,
To rybka się pluszcze, trzepocze i zżyma
 I kryje w głębinę topieli.

A jeśli tak ciążąc na kanień upadnie,
To nawet i kamień poruszy się na dnie
 I głębiej się w piasku zaryje. —
O! ciężka łza twoja! pacholę nieboże!
Gdy nic się zespolić z nią nie chce, nie może
 Gdy przed nią i kamień się kryje!

Podróżny co zaszedł w rozkoszne te strony,
Ujrzawszy płaczącą dziecinę zdziwiony
  Zapytał: pacholę co tobie?
Dla czegoś tak smutne gdy wszystko w około
Tchnie życiem, rozkoszą, brzmi piosnką wesołą,
  Dla czego twe serce w żałobie?

Dla czego westchnienie pierś wzdyma ci młodą?
Gdy wszystko oddycha tak lubą swobodą;
  Dla czego łez pełne twe oczy?
Gdzie słonko się snuje, gdzie kwiatków bez liku,
Gdzie rybki wesoło się pluszczą w strumyku,
  Gdzie ptasząt rój śpiewa ochoczy.

Gdy wszystko radośne co żyje na świecie,
Dla czego ty jedno tak tęskne o! dziecię?
  Dla czego z wietrzykiem na pole
Nie idziesz w zawody, z wesołą ptaszyną
Nie śpiewasz dla chóru dla czegoś chłopczyno
  Dziecięce porzucił swawole.

Ja radzę, łzę otrzéj, zapomnij niedoli,
Idź biegaj po łące i baw się dowoli
  Dopóki poranek na niebie.
Używaj go dziecię, bo wkrótce uciecze,
A po nim południe upałem dopiecze,
  I noc się w ciemnościach zagrzebie!

Nie dla mnie, nie dla mnie, pachole odpowie,
Z swobodną ptaszyną pieśń nucić w dąbrowie,
  Lub wietrzyk uganiać po łanie.
Nie dla mnie natura się śmieje radośna,
Nie dla mnie to w kwiaty przystraja się wiosna,
  Nie dla mnie to dzionka zaranie,

Nie dla mnie wesołe dziecięce zabawy;
Mój żywot bolesny, posępny a łzawy:
  Tęsknota mą duszę przygniata!
Choć gaj ten cienisty, choć łąka wesoła,
Mnie nic tu zabawić, nic znęcić nie zdoła.
  Mnie pusto i chmurno wśród świata!

Gdy wiosną się wszystko weseli, ożywia;
Mój smutek, westchnienie, ma łza cię zadziwia,
  Ty pytasz: pacholę co tobie?
O! smutno mi w duszy, — o w sercu boleśnie,
Bo matka kochana rzuciła mię wcześnie,
  I w zimnym spoczywa już grobie.

Spi w grobie, rodzona, snem wiecznym ujęta,
I odtąd już dla mnie ni wiosny ni święta,
  Już nigdy nie wróci wesele;
Bo któż mnie dziś będzie tak kochać jak ona,
Kto pieścić tak będzie, kto tulić do łona,
  Z kim łzy me i boleść podzielę?

Choć patrzę na kwieciem błyszczące obszary,
Przed okiem mem snują się trumny i mary,
  Całunem się łąka zawleka;
Choć ptaszę podniesie głos wdzięczny ku niebu,
W mem uchu wciąż tętni piosenka pogrzebu,
  I głuchy jęk dzwonów z daleka.

Choć ludzie mnie cieszyć czasami przychodzą,
Daremne ich słowa boleści nie słodzą,
  Tęsknoty i żalu nie koją;
Mnie płakać dopóki łez starczy i siły,
Przez wszystkie dni życia, do zimnéj mogiły,
  Gdzie matkę zobaczę znów moją!

Podróżny przez chwilę na dziecię spoglądał,
I milczał, pocieszać je nie śmiał, nie żądał;
Rzekł tylko odchodząc z tęsknotą:
O słuszne łzy twoje! bo straty tak wielkiéj,
Choć ty je wysączysz do jednéj kropelki,
Nie zdołasz opłakać sieroto!

I odszedł; — samotne zostało pacholę,
Z wyrazem tak smętnéj zadumy na czole
Jak szczęścia w niedoli wspomnienie;
Łza rzewna po łezce spływając mu z oczu
Gubiła się w trawce lub wody przeźroczu.
Pierś ciężkie wzdymało westchnienie!

M. Chrzanowski.

KRASIŃSKI O SŁOWACKIM.

Po świeżym zgonie męża nieśmiertelnéj pamięci, którego tak bolesną stratę cała Polska dzisiaj opłakuje, ośmielam się ogłosić drukiem następujący list jego pisany poufnie do przyjaciela, a zarazem wyłuszczyć z jakiego powodu i w jakich okolicznościach napisanym został.

W jednym z pierwszych miesięcy r. 1840 zebrało się w Paryżu na wieczór do p. Eustachego Januszkiewicza liczne grono przyjaciół i wielbicieli Adama Mickiewicza na obchód jego urodzin. Z pośrodka tam goszczących wielu już znikło i dzisiaj nieżyje, że wspomnę między innymi oprócz samego Mickiewicza, Słowackiego, Ludwika Platera, Chopina, Izydora Sobańskiego, jenerała Michała Mycielskiego. Wszakże wówczas pełni życia i otuchy wszyscy zebrani, ochoczo i wesoło przepędzili najprzyjemniejszy wieczór, którego pamięć żywo zapewne jeszcze tkwi w pamięci pozo-

stałych. Chopin, Fontana i Edmund Lariss, urokiem swoich talentów muzycznych przyczynili się do pomnożenia błogich wrażeń jakie to zebranie wzbudzało, chóry nawet pieśni z zapałem odśpiewane zostały, a między nimi kilka pieśni filareckich. Wszystko to do głębi poruszyło serca zebranych i jedno-dźwiękiem je spoiło.

Przy wieczerzy, po spełnieniu zdrowia na cześć Solenizanta, które z najżywszem współczuciem było przyjęte, powstał Mickiewicz do żywego i widocznie do głębi wzruszony i natchniony, a napełniwszy puhar, na podziękowanie rozpoczął improwizacyę wierszem usnutą. Tekstem jéj ofiara, symbolem spełniony kielich. Z razu, z natchnionych piersi, z wolna i nieco przytłumionym głosem, wydobywać się poczęły cudne wiersze, które stopniowo coraz większego ognia i dźwięku nabierały; aż nareszcie ze szczytów poetycznego natchnienia, spadać poczęły kaskady najśliczniejszych obrazów, myśli szczytnych i najtkliwszych uczuć, jakie tylko poruszać i owładnąć mogły słuchaczów téj cudnéj improwizacyi. Trwała ona prawie bez przerwy blisko pół godziny, i tak silne było wrażenie i zachwyt które sprawiła, że gdy Adam na w pół omdlony usiadł znowu na swojem miejscu, zrobiła się największa cisza, którą nikt z przytomnych nie śmiał lub raczéj nie był w stanie przerwać. Pierwszy Chopin porwał się z miejsca i siadłszy przy fortepianie, począł przygrywać akorda i dźwiękiem nieporównanéj swéj gry, pomału ukołysał zachwyt zdumionych słuchaczy, i że tak rzekę do przytomności ich wrócił.

Po niejakim czasie, powstał znowu Juliusz Słowacki. On także rozpoczął świetną improwizacyę wierszem, ale w głównéj treści zbyt osobiście ku Mickiewiczowi wymierzoną. Lubo wiersze z ust jego wydobywały się, w przerwach, z niejaką trudnością i przyciskiem, wszakże wznosiły się do najwyższéj poezyi, niepospolitą siłą wyrażenia namaszczonéj; rzekłbyś ciężko wykute w samym żarze najżywszéj namiętności. Oczywiście widać było, że mówiący gwałtownemi namiętnościami był miotany, i to jego wewnętrzne usposobienie, rażącym sposobem odbijało się w całéj jego postaci. Sypnął kilka pochwał, ale obok tego nieszczędził gorzkich przymówek i szeroko się nad niemi rozwodził, skarżąc się mianowicie na dumę Adama i jak się wyraził na lekceważenie współzawodników. Nie dziw że wśród zapału ogólnego, wrażenie które Słowacki wywołał, nie wypadło na jego korzyść, i że wśród obecnych w téj chwili nieznalazł uznania, na jakie skąd inąd jenialny jego talent zasługiwał, i któreby niechybnie był uzyskał, gdyby zawiść i namiętność nie tak jaskrawo się przebijała była z jego z resztą mistrzowskiéj improwizacyi.

Pod wpływem tego wrażenia, ten który kreśli te słowa, wracając późno, bo już przy białym dniu, do swego mieszkania, nazbyt będąc wzruszonym, aby się udać na spoczynek, napisał list do Zygmunta Krasińskiego, wówczas w Rzymie bawiącego, opisując mu tak zajmujący wieczór, a mianowicie ową dramatyczną scenę jaka zaszła między dwoma wieszczami. Oto jest odpowiedź na ten list, którą tem chętniéj udzielamy, że obok nieporównanéj piękności wyraże-

nia się autora Irydiona, pismo to charakteryzuje człowieka. Pochwały a nawet uwielbienia, jakie szczodrą ręką sypie na dzieła Juliusza Słowackiego, tem więcéj są ciekawe i uwagi godne, że jak wiadomo, nieco późniéj Słowacki stawiając się w roli trybuna ludu, zwiastuna nowéj ery, a zatem wyżéj nad przyjaźń i obowiązki wdzięczności łączące go z Zygmuntem, nader silnym ironią i niepoślednich piękności wierszem, ostro odezwał się do Zygmunta i gromił go jak najniesłuszniéj. Jak ten ostatni cudnym i potężnym wierszem, tchnącym najszlachetniejszemi uczuciami, odpowiedział na obelgę z rąk przyjaciela wymierzoną, nie potrzeba powtarzać, bo każdy ją przytomny w pamięci nieochybnie zachował.

Ależ bo nieśmiertelny nasz nieboszczyk, hojnie obdarzony całą potęgą najobfitszéj wyobraźni i szczytnego rozumu, nietylko był wieszczem, ale też we wszystkich stosunkach i pod wszelkiemi względami, jakie ze strony religijnéj i moralnéj łączyć mogą człowieka ze społeczeństwem, poświęceniem, miłością i tem co przebolał, jednem słowem duszą i sercem był on wielkim.

Jeszcze jedno słowo nim skończę. Zygmunt jak to we wszystkich jego utworach widzieć się daje, tchnął zawsze duchem religijnym; lecz ów duch, wówczas gdy ten list w r. 1840 z Rzymu pisał, niebył jeszcze ściśle wcielił się w karby wiary, tak jak ją kościół Rzymski wyznaje i przepisuje. Ztąd w tem jego piśmie dostrzedz można pewne dążności panteistyczne. Późniéj nieco pobyt jego w Stolicy Świętéj, w połą-

czeniu z innemi wypadkami, sprawiły, że odrzuciwszy wszystkie wybryki w przedmiocie religijnym, kornem czołem podał swoją wiarę stósownie do przykazań kościoła. U téj odwiecznéj i świętéj pochodni, jeniusz jego zapłonął nowym blaskiem i potęgą. Odtąd i w przeciągu lat kilkunastu zgon jego poprzedzających, czynem, modlitwą i wiarą był wzorowym rzymsko-katolickim chrześcianinem. W téj żarliwéj pobożności aż do ostatniego tchu życia dotrwał, i w r. 48 wieku swego, przed kilkunastu dniami, jak smutna wieść nam doniosła, przy zupełnéj przytomności i w posiadaniu wysokiéj swojéj intelligencyi, czysty i szlachetny żywot, najpiękniejszą chrześciańską śmiercią uwieńczył.

Pisałem w Krakowie 6 marca 1859 r.

R. Z.

LIST ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

O JULIUSZU SŁOWACKIM.

Rzym 13go maja 1840 r.

Drogi Romanie!

Na żaden sposób niemogę uznać za prawdę i słuszność niesprawiedliwości wyrządzonéj przez publiczność Juliu-

szowi. Zapytam się: w czem go nierozumieją? Ty pierwszy powiedz mi, czegoś w nim nierozumiał?... Pięć jest jego przedniejszych dzieł, o nich pomówię chwilkę: *Ojciec zadżumionych — Szwajcarya — Wacław — Anhelli— Balladyna.*

Pierwsze ma w sobie potęgę Laokoońską boleści, tylko że nie rzeźba, ale farby malarskie użyte do wydania myśli. Drugie jest tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o *miłości marzonéj* nieznam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przeźrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wiszeń nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiéj, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu które kocha i szczęsnem jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech „go djabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać! „Trzeba bezczelnym być by brać się do pisania wierszy „po przeczytaniu wierszy Juliusza!“ I to instynkt był mój, wrażenie na mnie wywarte, nie żadne rozumowanie. W *Wacławie* spowiedź pełna *motywów* tak pięknych jak rzadko. Charakter Wacława przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany jak na wielkiego mistrza wypada. Byron by lepiéj nie był potrafił, to też całkiem byrońskie. Teraz o *Anhellim*. Zaprawdę trzeba potęgi uroczéj, jenialnéj, nadzwykłéj, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się jakby Eden melancholijny. Wiesz że mówią, iż czasem Duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepta do ucha i łudzi i nęci i porywa. Otóż piekło Sybiru, nieprzestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem. Tak

samo w splotach węża jest lubieżność jakaś, pociąg niepojęty, magnetyczność porywająca ptaszki. Juliusz w takiego węża przemienił Sybir i lgnąć doń kazał duchom czytelników. Cechą niezawodną, piętnem jego poezyi, jest owa cudowna mięszanina złożona z wstrętu i ponęty, ów urok panteistyczny co razem każe twoim stopom cofać się od brzegu przepaści, a głowę twoją ku niéj podaje i serce nachyla, aż ciebie całego zrzuci w głąb! Ta barwa nadzmysłowa i zmysłowa zarazem, która ci ducha powleka ile razy spojrzysz w noc gwieździstą, w noc wszechświata zasianą światami. Ciekawość, pragnienie wiedzy, żądze niebotyczne porywają wtedy umysł. Radbyś rzucił się i pływał w nieskończoności, aż tu trwoga cię obejmie zarazem, zmysły twoje cofną się przed temi ogromy, pomyślisz o nich i mózg ci się zawróci, a jednak w tejże saméj chwili znów uczujesz że chciałbyś na zabój przez wszystkie drogi mleczne dostać się do Boga! rozpłynąć się, niebyć i być zarazem, topić się czując że się topisz, czując wiecznie że się topisz w błękicie! Z tego to głównego akkordu, raczéj tonu rozwiedzionego po całym duchu dzieł Juliusza, wypada ich forma, raczéj rozprzęgliwa niż skupliwa, raczej odśrodkowa niż dośrodkowa, raczéj malownicza niż kująca rzeźbę, raczéj muzyczna niż malownicza, raczéj szukająca Boga niż mówiąca dogmatycznie o wynalezionym i opisanym, słowem jednem, raczéj panteistyczna niż katolicka! Ale bo też Panteizm jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga!

Panteistyczny kierunek jest wszędzie, ale nie sam jeden. W tem błąd, mieć go za jedyną prawdę; w tem prawda, mieć go za prawdy połowę. W duchu Mickiewicza przewaga na stronę Indywidualizmu, osobnika, wiary uosobiszczonéj, energii, skupienia, środka co w się wszystkie zebrał promienie okręgu. W duchu Juliusza

zupełnie przeciwnie. Przewaga na stronę nie podmiotu ale przedmiotu, nie indywiduum ale świata, nie jedności ale rozmaitości, nie środka ale peryferyi. Ztąd Mickiewicza postacie są rznięte w opoce z granitu, olbrzymie są, architektoniczne, wzniosłe, (*sublimes, grandioses*). Juliusza zaś wdzięku niesłychanego pełne, uderzające wonią, błyskające, świecące jak tęcze, wieczną tęsknotę zostawiające w duszy, ale przy téj tęsknocie pewność że były, przesunęły się i gdzieś odleciały i nigdy nie wrócą. On im przypiął skrzydła, posłał je za gwiazdy stałe, za konstellacyę Oriona, po za drogi mlecznych pyłów.... Gdzież one teraz?.... Kiedy tymczasem p. Adam owszem, z Nieba każe zstępować swoim, i tak je dłutem przybije do ziemi że zrosną i na niéj posągowo zostaną na zawsze. I on i Juliusz są dwoma mistrzami, ale dwóch sfer innych, niby to przeciwnych na pierwszy rzut oka, tymczasem zupełnie z sobą harmonijnych a dążących do zlania się razem; a gdy się zleją wtedy będzie mistrz trzeci. W naszéj literaturze konieczność była Adama, jest Jula, będzie owego trzeciego, kiedyś. Wcale Juliusza niemam za zwierzchnika Adama, ale mam go za jego loicznego następcę. Mógłby Adam jeszcze dzieł wydać wielkich, ogromnych, najwznioślejszych (i wierzę że tak będzie), tyle ile już ich pokazał światu, a zawszeby duch Juliusza był i pozostał dalszem rozwinięciem się, koniecznie potrzebną wynikłością ducha Adamowego, choć wrzkomo zdaje się z nim walczyć. W tem jest optyczne złudzenie, chwili. Gdy się oddali świat od dni naszyah, może temu przeczuciu mojemu prawdę przyznają. Mickiewicz na zawsze zwać się będzie stwórcą. On zastał chaos. On rzekł w naszéj literaturze: „Światło stań się.“ By z rozerwanych samopas chodzących atomów coś stworzyć i ukształtować, trzeba téj siły wszystko do środka kierującéj, wszystko osadzającéj na dół, wszystko co płynne zmie-

niającéj w krzyształ. Mówią że z wyżyn atmosfery błąkające się gazy, opadły na ziemię w kształcie granitowych skał. To kości planety, jędro jéj, energia jéj. Tem samem Adam w świecie duchowym Polski. W nim siła Tytańska. To Michał Anioł nasz. W oczach posągu Mojżesza któremu roztłukł młotem kolana Michał Anioł mówiąc: „*Adesso parla!*“ jest coś przypominającego oczy Mickiewicza.

Ale teraz planeta choć ma granit i marmur, choć nad tym granitem i marmurem świeci światło białe, jeszcze nie jest zupełnym — całkowitym! Muszą rododendrony zakwitnąć na granitach, musi światło białe rozpaść się na siedm barw tęczy, i znów z posady téj kamiennéj, tytańskiéj, z téj planety którą zaokrągliła siła skupień, muszą ku Niebu rozlecić się wonie, wiązki kolorów, piany wodospadów, wyziewy dolin, chmury coraz wyżéj, wyżéj powracające w Niebo, aż zginą przed oczyma — i tam gdzieś, gdzieś poniosą wieść o tem że świat nowy stanął i bieży w przestrzeni! Takim gońcem świata do światów wszystkich, takim powrotem stworzonéj rzeczy do okręgu niebios, w naturze saméj już jest dźwięk muzyczny, pochodzący z drgania ciał i niszczenia się pewnych atomów w ciele drgającem. W duchu ludzkim jest kierunek panteistyczny (*la facette pantheistique*) w literaturze polskiéj, Słowacki!

W *Balladynie* masz tego najoczywistszy dowód. Jest to najpiękniejszy *mid summer night's Dream*, najprześliczniejsza epopea, ale nie Homeryczna jak Pan Tadeusz, tylko Ariostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony, fantasmagorya, kapryśna, swawolna, a zawsze i ciągle przeciągająca, wijąca się w górę jak Goplana, by się roztopić i zniknąć, aż ci co patrzyli a teraz już nie widzą nic, tęsknić muszą na zawsze! A Pan Tadeusz zupełnie przeciwnie. Wojski, Podkomorzy, Assessor, Telimena, na wieki osiadły tu, są tutaj, przy

mnie, zemną, znam ich, jem, piję z niemi. Nie tęsknię za niemi, bo w każdéj chwili mam ich, tak ich mistrz w mózg mój wrył, że choćbym chciał się od nich rozdzielić, niepotrafię. Jeszcze raz, wykuł ich z granitu. Ale gdzież pójdę szukać Anhellego? Kto mi wskaże nadpowietrzny szlak kędy raz ostatni westchnęła dusza odlatująca Haliny, biednéj Haliny, co wczora jeszcze zasypiała tak szczerze prosząc Boga by jéj malin nie skąpił na murawach boru? A ta sroga Balladyna, z czterech wierszy legendy gminnéj wysnuta, Królem Learem i Lady Macbeth popchnięta, ta przejrzysta zbrodnia, zawierająca w sobie wszystkie błędy i cudne przymioty Polek wszystkich, ta Maryna Mniszchówna bajeczna, ta odważna, śmiała, nadewszystko dumna, ale kiedy już królową, chcąca zostać Aniołem i żałująca grzechów Laszka — czy wiem gdzie szukać nawet jéj popiołów rozbryzgniętych uderzeniem piorunu? .... Sen był — sen minął — Ah! gdzie sen mój? ..... A ten Kirkor „*coby był Zbawcę zbawił na Gołgocie*“, czy to nie monada najprawdziwsza idealnie Szlachcica polskiego?

Trzeci przyszły kierunek literatury naszéj, zapewnie się objawi w doskonałem urównoważeniu tych dwóch wyłącznych kierunków. Wracając do analogii z planetą, możnaby powiedzieć że właśnie jego *Całość* na tem zależy, że doskonale umiarkowane są w nim: potęga *skupienia do środka* i *rozprzężenie od środka*. Pierwszéj wyłącznie go oddać a skamienieje, drugiéj a rozleci się i roztopi. Trzecia więc musi być siła — *spójnia*. Ale znowu ta *trzecia* nie może być bez dwóch pierwszych, ni druga bez pierwszéj, ni pierwsza bez wydania drugiéj, ni obie bez dążenia ku trzeciéj. Każda z nich jest warunkiem drugiéj, a wszystkie między sobą równe, bo żadna bez któréjkolwiek z drugich dwóch istnieć nie może. Z tego wypada żem Juliuszowi żadnéj nad Adamem wyższości nie myślał dawać, kiedym go nazwał

następcą Adama w loice naszéj literatury. Mam go za równego. Czas usprawiedliwi lub potępi to zdanie moje, ale tak za równego, że Mickiewicza siła nie jest Jego siłą, ni Jego siła nie jest Mickiewicza siłą. Czego jednemu brak, to drugi ma; a co z nich każdy ma, to posiada w najwyższym stopniu. Styl którym włada Juliusz, jest tak giętki, tak wierny Jemu, tak niewolniczo słuchający go, że mi czasem przypomina ten wiersz p. Adama w którym mowa o *Heroiżmie niewoli* w chłopie słowiańskim. Nie sposób z językiem i z wierszem trudniejszych dokazywać cudów. Chyba tak Liszt gra jak on wiersze pisze. Gdyby słowa języka polskiego mogły stać się indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć się na posąg dla Juliusza z napisem: *Patri Patriae*, bo język wtedy byłby całą ojczyzną. Tak nie jest. Prócz języka wiele innych jeszcze pierwiastków jest w ojczyźnie. Z tych niektóre mogłyby także taki sam posąg postawić Adamowi!

Gdyby publiczność była Juliusza wyniosła pod obłoki, byłbym krytykę pisząc wspomniał o tem co w nim jest słabością, usterkiem, niedokończeniem, dysharmonią. Ale to wam zostawiam, którzy na to otwarte oczy trzymacie. Wy to jemu powiecie, powtórzycie. Z resztą on o tem sam wie, inaczéj niebyłby wielkim poetą.

Cerevisiam bibit — sententiam dixit.

Możesz to o mnie powiedzieć jeśli chcesz. Co piszę to z przekonania. Takem się tym długim krytycyzmem zmęczył że kończę list na dzisiaj. Co mogę, przesyłam Cí. Odpisz mi jeszcze do Rzymu. Addio. Wierzaj że jak było, tak jest między nami, teraz i na zawsze

Twój

Zygmunt.

Jeszcze dodam uwagę. Im bardziéj zapatruję się na literaturę polską, tem bardziéj się przekonywam, że w równi się trzyma co do poezyi z resztą Europy. Żaden europejski lud dziś niema takiéj epopei jak Pan Tadeusz. Odczytałem go niedawno. Don Kiszott tam się zlał z Iliadą. Poeta stał na przesmyku między znikającem tem pokoleniem ludzi, a między nami. Nim umarli widział ich, a teraz ich już nie ma. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne. Dokonał tego Adam po mistrzowsku. To plemie umarłe uwiecznił. Ono już nie zaginie. Temu lat sześć czytając Pana Tadeusza niepojmowałem całéj jego wielkości, dziś biję czołem i mówię: *to jest Epopea*. Więcéj powiedzieć ni można, ni potrzeba.

SZWEDZI w NOWYM SĄCZU.

1655.

(*Dokończenie*).

Na Wiśniczu z dawien dawna przesiadujące żydostwo garnęło się pod opiekę wspaniałomyślnych Lubomirskich którzy litości serca niezamykając w dobrach swych kupczyć a wyjątkowo i mieszkać im pozwalali. W Nowym i Starym Sączu niewolno było żydom przebywać pod karą śmierci. Powodem téj surowości obyczaju była poczęści nienawiść religijna, poczęści zaś i ostrożność z względów na swój własny byt. Żydostwo ciemne, uciskiem zgnębione, obrządkiem religijnym od całego nieżydowskiego świata, jako „od nieczystego przed Bogiem" odosobnione; nie lgnęło ani do ziemi ani do ludzi. Zysk jego bożyszczem a niewierni przedmiotem i ofiarą godziwych i niegodziwych zabiegów. Niesłycha-

nie wyrobiony ustroj kastyczny niema w świecie równego sobie przeciwnika; więc każdy kto się doń zbliży upada. A tu sądeccy mieszczanie kupią poczęści żyją a związki handlowe Węgier, z Krakowem i Warszawą przez ich ręce idą. Żydzi? jakąż oni rękojmią dawali? Miasto ich nieznało jak tylko z r. 1620, gdzie nakupiwszy w górnych Węgrzech miedzi i żelaza nocą ukradkiem mimo N. Sącza tratwy przemycić chcieli, nie opłaciwszy cła przeznaczonego na naprawę murów i baszt. Mieszczanie dopilnowali się a pochwycony towar przemycany, przysądził Zygmunt III miastu niedawno pogorzałemu na poprawę murów i baszt. A ci kramarze którzy na jarmark z Wiśnicza przychodzili, owi niewierni: Mortko i synowie jego Icyk, Jakób i Simsie, Bryndze; owa Hane Berkowiczowa z synami, cóż oni tak miłego w sobie mieli żeby ich miasto do siebie zapraszało? czy może ta swawola któréj się dopuścili r. 1854 podczas jarmarku; gdzie zigrawając się z młodą żydówką jeden drugiego na niewiasty obok stojące popchnął tak: że się aż poprzewracały, a biedna Agnieszka córka pracowitego Komory z Szymanowic w skutek potrącenia, dziecko poroniła?? A może owa stara Jonaska któréj Wy Konst. Lubomirski star. sąd. młyny grodzkie wydzierżawił, może ona zarobiła sobie na miłość: że na wielką lichwę przedmieszczanom wypożyczała; albo że ów pustak co w Komorkownie dziecię zabił, że to był jéj zięć? albo może za to: że starosta na prożby jéj, synom i zięciom jéj w zamku mieszkać dozwalał kiedy w mieście nie mógł? że nawet po owem wypadku Komorkowny, zięć jéj swawolny a dziubaty, (bo mu krosty twarz popsowały) bezkarnie wszedł mimo że ludzie wiarogodni a osobliwie Jędrzéj Madejkowicz organista kollegiaty, pod przysięgą nań zeznał?? Żydzi zelżyli jeszcze Komorkowę zprzeklinali i przepadło. Tylko Mortko czy Marek, już wówczas nadworny

grodzki, maklerz, nibyto na prawdę wołał: Pani Komorkowa! na pani kija! a bij go kiedy się ludziom naprzykrza.

Wraz z Szwedami przyszli do Sącza żydzi i cyganie. Mortko Bryndza, ten już ostrożniejszy unikał jawności, ale brat jego Simsie czyli Samson i jakiś Finkiel, co zawsze na zamek do Szwedów chodzili i jawnie im służyli. Cyganie zaś gdyby kruki za wilkami ciągli za Szwedami opuściwszy swe leśne na Bieszczadzie koczowiska.

Taki to dwór i taką radę przyboczną miał podpułkownik Stejn, łakomy miasta komendant, który już niemało łupu uzbierawszy o świeżym przemyśliwał. Nakazał najprzód „Podwodne“ t. j. składkę na pocztę koronną którój wedle konstytucyi z r. 1647 płacił N. Sącz złp. 528. Sławetny Barycki Walenty wybierał tę składkę, ale ledwie złp. 40 zebrał, więc miasto musiało dopożyczyć. Więc też kontrybucye rozpisał na miasto i wsie: Kto nie miał pieniędzy musiał dawać: bydło, zboże, siano, sukno i co tylko było. Sukna górskie folowano w blechu miejskim do którego nowe koło i wał na prędkości dorobić kazali. Siano odbierali w grodzie na wagę o czterech powrozach świeżo i naumyślnie sporządzoną. Żydkowie mieli przytem dobre czasy i zyski a cyganie kradnąc i urywając w żywe oczy gdzie co mogli, omal nie zatrapili biednego Jędrzeja Frączka, szafarza miejskiego, z strony rajców przydzielonego, do pomocy w odbieraniu i przechowywaniu. Lud wiejski wielce sobie te łupieztwa sprzykrzył, niemniéj miasta, mianowicie St. Sącz.

Zakonnice strzegły wiernie grobu Kingi błogosławionéj matki swojéj ufne w Boga i ludzkość wrogów, zresztą czekając rozkazów przełożonych duchownych, któ-

rzy z razu wierzyli przyrzeczeniom. Aliżci w Sandomierzu Duglas kwaterą stanął w klasztorze zakonnic, a kościoły łupiono. W końcu niewidząc bezpieczeństwa rozwiązała zwierzchność duchowna zakony żeńskie w całéj koronie, i aby ujść hańby i ocalić życie, kazała opuścić klasztorne zacisze i chronić się między dobrych ludzi. Z niewymownym żalem wśród płaczu i jęku ludu licznie zgromadzonego przyszło i starosądeckim zakonnicom ruszyć się z tych świętych siedlisk i klauzur klasztornych. Rozjechały się dla grożącéj burzy po różnych fortecach i do krewnych. Wielebna Katarzyna Zielińska, między innemi, ujechała do swéj siostry rodzonéj: Grzybowskiéj podkomorzyny czerskiéj do Zamościa, gdzie przez cały ten czas najazdu szwedzkiego zostawała, — i gdzie tameczne panny pobożne świeckie (dewotki) zakonowi swemu pozyskała.

Mieszczanie i chłopi starosądeccy w głos się Szwedom poczęli odgrażać. Wnet to doniesiono Szwedom. W kamienicy Stan. Rogalskiego stał jakiś oficer szwedzki (w narożnym domu w 2giéj części rynku obok domu Marczowica, kędy też były jatki szewskie). Jego wysyłał komendant miasta z kilkoma pachołkami dla przekonania się. Między pachołkami był czeladnik Szweda stojącego gospodą u Jędrzeja Sołtysika mieszczanina sądeckiego. Czeladnik ten oddarł deskę do komory gospodarza i wyjął rusznicę i koc. Chciał więcéj brać ale Szwedka pani jego spostrzegła i mówiła żeby dał spokój, dodając: iż to szubienicą pachnie. Więc niebrał więcéj ale też rusznicy ani koca nieoddał, tylko zabrał z sobą do St. Sącza na przedaj, jakoż i przedał. Pod tych Szwedów musiał rad nierad Stan. Rogalski dać własną podwodę i z niemi jechać. Pytali go: kto obecnie zarządza dobrami klasztoru? Powiedział że: Pan Januszowski podrządzca sądecki. A rajce którzy najznaczniejsi? Odrzekł że: pp. Reszka i Strowski. Przy-

jechawszy kazali mu zawołać obu rajców i wraz przyjść do p. Januszowskiego podrządzcy klasztornego. Przyszli, a Szwedzi kazali ich wziąść pod wartę jako zakładników spokoju. Wzięto więc biedaków, a oficer szwedzki co mieszkał u Rogalskiego, uwięził ich w jatkach szewskich w tejże Rogalskiego kamienicy; gdzie od zimna dygocąc narzekali na Rogalskiego i twierdzili zapewne, że siedzą z okazyi i powodu Rogalskiego, który ich zdradliwie wywiódł zapraszając z sobą. Czeladnik szwedzki zaś przedał koc i rusznicę i nikt o tem nie wiedział prócz Piotra Kosińskiego, który u tego samego Szweda a późniéj Wgo Otwinowskiego służył i co się działo widział i późniéj urzędownie zeznał.

Szwedzi wówczas (w listopadzie) jeszcze nie popełniali jawnych gwałtów; boć ludzie zatrwożeni sami dawali co mogli. Koc i rusznica z odbitéj komory zabrane, była to tylko przegrywka do ważniejszych sprawek.

Rakocy książę siedmiogrodzki chciał koniecznie iść w ślady Stefana Batorego i dostąpić korony polskiéj. Względem środków, nieobciążał sobie sumienia skrupulatnością; skuteczniejszy był mu uczciwszym. Bacząc niedolę Jana Kazimierza chciał z niéj korzystać dla siebie i syna swego już na to w wierze katolickiéj przez Jezuitów wychowanego. Stanisław Pstrokoński biskup chełmski, przed szwedzką nawałą uchodząc w okolice Bardyowa, mógł go nawieść na myśl: że Jan Kazimierz przyjmie syna jego za swego. Roku tego 1655 za zezwoleniem arcybiskupa w Jagrze poświęcał tenże biskup nowo wystawiony kościół katolicki w Zborowéj miasteczku Rakocego, kędy w cieniu owych „stu lip" (sub umbra centum tyllarum), węgierska pogórska szlachta sejmikowała i uniwersały swe rozsełała. Na początku listopada 1655 wysłał Rakocy posła do Jana Kazimierza, jak zwykle na Biecz. Bieczanie przyjęli go z uczciwością i na przywitanie: *gratitudinis erga* dali dwa garnce

dobrego wina, wiedząc z czem jedzie. Nie mając jednak pewnéj o królu wieści wysłali sławetnego: Wojciecha Bielakowicza na zwiady do Nowego Sącza, co tam słychać i którędy do króla jechać wypada. Bielakowicz przywiózł smutne wieści a poseł siedmiogrodzki inną drogą dążył na Sląsk.

Szwedzcy zaś żołdacy prości i starsi tem bardziéj postanowili pamiętać o sobie, bo już i Lubomirscy jak ich dochodziły wieści zbierali wojsko na Spiżu i Tatarzy się odgrozili Szwedom i Częstochowa nad spodziewanie nie dostała się w ich ręce.

Tymczasem Floryan Siemichowski wywiedział się od ludzi podobnych sobie: że w grobach kolegiaty sądeckiéj, mają być ukryte skarby pani Stannowéj i pana Boczkowskiego. Wywiedział się daléj: że grubarz Trela w nocy otwierał do grobu w kaplicy świętego Jakuba. Natychmiast doniósł o tem panu swemu: Liktinowi i Stejnowi. Pani starościny Stannowéj! i podstarościego Boczkowskiego skarby! owych nabożnych apostołów! owych kumów nawróconych przez się młodych aryan! a wielkich przyjaciół kościoła i duchowieństwa! czy mogłoże się coś milszego nadarzyć łakomym wrogom osłaniającym chciwość płaszczykiem wiary??

Natychmiast wziął Liktyn major kilkunastu pachołków szwedzkich i wraz z swą starszyzną i z Siemichowskim udali się do kościoła kolegiaty. Zawołali dzwonnika Nikburowicza i kościelnego Trelę, kazali sobie otworzyć i wraz z księżą wikaremi którzy przerażeni chcieli być świadkami tego co się dziać będzie; weszli do kościoła. Naturalnie! że Szwedzi i Siemichowski jako niedowiarkowie nieuczcili świątyni pańskiéj ani znaku krzyża świętego nie zrobili.

— Gdzie kaplica św. Jakuba?

— A! bo cóż tam?

— Tam jest grób! a w tym grobie szlacheckie depozyta! otwieraj grób! — zawołał rozkazująco Siemichowski, a Szwedzi poparli. Wraz z pachołkami szwedzkiemi podnosił Siemichowski ciężki głaz wejście do grobu pokrywający; poczem zdjął z ołtarza świecę woskową laną zapalił w lampie i wszedł do grobu najprzód sam, za niem pachołcy a w końcu kazano i dzwonnikowi iść. Leżał tam tłómok skórzany; więc jął go rozwięzywać. Dzwonnik Nikburowicz rzecze: To są rzeczy księdza Seniora wikaryuszów niech WMość da spokój! — porwał tłumok i wyniósł na górę.

Siemichowski tymczasem zaglądał poza trumny szukając czy tam niema więcéj? Nieznalazłszy kazał dzwonnikowi bieżeć czemprędziéj po grabarza Trelę na przedmieście. Nikburowicz pobiegł, ale wprzódy wstąpił do p. Szydłowskiego Wawrzeńca rajce i opiekuna kolegiaty oznajmiając co się dzieje.

Przybiegł co tchu Szydłowski a zaraz potem przybiegł i Rozborowicz Sebastyan, mieszczanin — i wpuszczono ich.

Siemichowski stał z zapaloną świecą w ręku a pachołcy rozwięzywali tłumok. Księża Wikaryuszowie upewniali: że to ich rzeczy, które sędziwy ksiądz Senior do grobu schować kazał. Niewierzono ich mowie, a wydobyte srebrne łyżki stołowe chciał Siemichowski zabierać. Księża upominali się okazując herb księdza seniora. Starszeństwo szwedzkie, przekonawszy się: że to istotnie znaki księdza Marcina Chamilcowicza Seniora, staruszka zgrzybiałego: kazali oddać łyżki i cały tłumok.

Nieziściła się więc nadzieja. Ale grobów było jeszcze kilka, nadszedł też i Trela Maciej gróbarz, więc kazano mu z kolei otwierać groby. Chcieli najprzód przed Panną Maryą ale że grób przed Cyborium zdawał się świeżo otwierany: zaczęli od niego. Kazał Treli dobywać i otworzono. Wszedł znowu najprzód Siemi-

chowski za niem pachołcy i gróbarzowi kazał wnijść. Trumna stała przy trumnie. Zaraz w pierwszą z kraja uderzył nogą: zagrzmiała głośno; więc dał spokój. Druga trumna ś. p. Sławińskiego niezagrzmiała; więc kazał otwierać Treli. Tak samo trzecią pani Wolskiéj i czwartą drugiéj Wolskiéj i znowu trumnę Popkownéj kazał wybić; ale w żadnéj nic nieznalazł. Więc rozjuszony kopnął i stłukł jedną a potem i drugą trumnę. Na palcu umarłego znalazł pierścień i zdjął. Chciał tak samo drugi pierścień zdjąć, i urwał umarłemu palec..... Grabarz nie mogąc patrzeć na takie świętokradztwo zaczął wygadywać, pachołcy powiedzieli: iż niema nic; więc starszyzna szwedzka zniecierpliwiona kazała mu wyjść.

Wyszli! a gróbarz opowiadał, o rozbitych trumnach i urwanym palcu umarłego. Zgorszeni i zgrozą przejęci księża poczeli karcić Siemichowskiego: — Zły człeku! nie dawnoś zabił człowieka! uciekłeś do kościoła i kościół cię zachował... a ty teraz nie pamiętasz na Pana Boga!

Bezczelny zbrodzień odrzekł wszetecznie: Niechcę ja być zdrajcą! przysiągłem królowi szwedzkiemu i chcę mu wiary dochować! — niechcę go zdradzać!

— Podobnoś go ty ani widział na twoje oczy ani go znasz??.....— Siemichowski słowa nieodrzekł tylko idąc przed wielki ołtarz kazał Treli dobywać wielkiego kapłańskiego grobu. Kazał mu iść przodem, sam szedł znowu z świecą w ręku i szukał. Nieznalazł nic! tylko w bratniéj zgodzie w trumnach kapłani, niegdyś słudzy tego kościoła, spali obok siebie wiecznym snem! — Kopnął znowu nogą w trumnę; odgrzmiała pustką! więc zagniewany oderwał blaszki napisowe z wierzchu dwu trumien. Grabarz mu rzecze: Coż ci też potem! przecież to trumny księży, a tyś także katolik!

— „Niedawnom nim jest odrzekł! i nie będę".— Blaszki obglądnął a widząc: że cynowe wyrzucił na wierzch.

Były to epitaphia księży Rozmusiewicza i Fuzoryusza. — Wikarzy podjęli je z ziemi i okazali majorowi, a Liktyn widząc: że szkoda czasu, kazał mu wyjść i zabierać się z kościoła. Wyszedłszy chciał brać owe epitaphia, ale Liktyn rzekł: Na co to bierzesz? Więc porzucił i wzięli Wikaryuszowie od niego. On zaś gniewnie poglądając po księżéj rzekł: „Ja wiem co tu było!... frenciaściewy!.... znam ja was!.... wywieźliście skarby szlacheckie!.... ale! niechno się jeno ci panowie rozgoszczą! będę ja na was gorszy niż kat!!—“ Księża ścisnęli ramiony, i odeszli nie mówiąc ani słowa! — Siemichowski zaś czepił się Treli gróbarza i mówiąc szwedom, że on skarby wydał chwycił się go wołając: Ty zdrajco! wydałeś skarby p. Stannowéj z kościoła! gadaj kędy się podziała skrzynia pani Stannowéj i pana Boczkowskiego.

Czego za nadto tego za wiele! Liktynowi majorowi przebrała się miarka cierpliwości. Chwycił Siemichowskiego i chciał bić! ale księża skoczyli i prosząc usilnie ledwie Siemichowskiego wydobyli z rąk jego. Lecz zakazał mu ostro najmniejszéj surowości okazywać — poczem odszedł zły: że nic nie znalazł.

Przed kościołem zaś stali księża i mieszczanie zasmuceni i zgorszeni. Kiedy Siemichowski przechodził zagadali go księża: „Miły bracie! wżdyś katolikiem.....“ Przerwał im niecierpliwie: Niedawnom nim! i przysięgam: że nie będę więcéj!....

Odszedł! a ludzie stali i radzili: kto by to był tym zdrajcą co wyjawił chowanie tłumoka w grobie św. Jakóba? — Jużcić u Szwedów nie bywał z miasta nikt prócz rajców? a ci pewno nie zdradzili. — Nikburowicz Marcin zaś ciągle utrzymywał, iż nikt jak żydzi: Finkiel i Samson Bryndzów brat; bo oni u Szwedów bywali.

Wieść o rabowaniu grobów kolegiaty sądeckiéj mknęła błyskawicą po całéj okolicy; a nazajutrz we wtorek ani jeden góral nieprzyjechał na targ! w piątek znowu ani jeden się niepokazał! a przecież to było na początku grudnia, kiedy górale tłumnie do swego „miasta“ z drzewem jechać zwykli.

Roku P. 1623 umarł był ks. Bartł. Fuzoryusz kustosz kościoła kolegiaty Św. Małgorzaty w Nowym Sączu, zostawiwszy żółtą należycie okutą skrzynię i testament zapieczętowany wraz z kluczem do téj skrzyni. Zawierała ona całe jego mienie, uzbierane skrzętnie ale uczciwie z dochodów kustodyj i darów pobożnych ludzi. Dochody te składały się początkowo tylko z ofiar przed ołtarzem „Nawiedzenia Matki boskiéj“; bo wedle słów starego zakonu: kto ołtarzowi służy, niech z ołtarza żyje. Późniéj przybyła wioska górska: Kamionka wielka, zapewne od wielkich kamieni tak nazwana bo co do ludności nigdy nią nie była. Mieszkałem tam lat kilka i znam ją doskonale: nie liczyła nigdy nad 800—900 dusz. Było tam dawniéj: ośmiu kmieci na ośmiu łanach, a każden z nich płacił kustoszowi nowo-sądeckiemu czynszu: po grzywnie z łanu. Pańszczyzny nie robili ani odstawy nie odstawiali, ale za to dawali po dwa grosze kustoszowi. Razem więc 8 grzywien 16 groszy; grzywna 40 złp.; uczyni 320 złp. 18 gr. — Złotego i gr. 15—20 kosztowało w r. 1640, ciele; w Nowym Sączu a 2 grosze garniec piwa. — Więc ks. Fusoryusz mimo wystawności koniecznéj prałata-kustosza, która była skromniejszą od dzisiejszéj biedy; mógł cokolwiek pieniędzy uzbierać, zwłaszcza: że jako proboszcz na Mystkowie może drugie tyle dochodu miał. Lecz ksiądz Fuzoryusz utrzymywał księdza Altarystę — lecz ksiądz

Fusoryusz rozszerzył i ozdobił kościołek w Mystkowie; lecz ksiądz Fuzoryusz wymurował kościołek z wieżą w Kamionce; lecz ksiądz kustosz zostawił fundusz na bractwo i kaplice Różańca świętego i biedne klechtki w Kamionce i Sączu wspomógł i OO. wikarych i bibliotekę kolegiacką uzbierał i zostawił i jeszcze... i jeszcze; i nawet exekutorom swéj woli upominki srebrne, i następcy swemu! — Ato wszystko w téj żółtéj skrzyni i z téj Kamionki, Mystkowa i tego ołtarza! — Zaiste rzadka skrzętność i oszczędność! — Ale bo też z Bogiem żył cały swój wiek.

A Bóg był z niem i od młodości doznawał cudownéj jego opieki, 1584 ukończywszy nauki w Krakowie śpieszył do Nowego Sącza. Zastaje matkę, rodzicielkę swą ciężko zachorzałą, a przywołani lekarze radzą lekarstwo osobliwe, którego jednak pan Wolski aptekarz miejski w swéj aptece nie posiada, jako rzecz drogą i rzadką. Niemyśląc długo puszcza się pobożny młodzian piechotą do Krakowa, aby po znajomości, dostać tam dla swéj matki leków. Nagle śpiesząc zapada w żółtą niemoc i gorączka trawiąca czyni go bliższym śmierci niżeli żywota. W ostatniéj potrzebie ofiaruje go matka do grobu błogosławionéj Kingi i ślubuje: iż wraz z niem w dzień odpustu na św. Trójcę modlić się będzie. Ale on biedaczek chory, iść nie może. Więc go niosą do klasztoru świętéj księżnéj i patronki Polskiéj a poszczególnie wiana swego: Podgórza, a on nieborak prosi: Nieście mnie prosto do studzienki! — Niosą; podają upragnionéj wody; pije i przychodzi do siebie. Nazajutrz żółtość twarzy znikła, on wstaje i o swéj sile idzie modlić się u grobu św. Kunegundy. — Roku 1610 już kapłanem i kustoszem popada znowu śmiertelnéj niemocy. Ofiaruje się znowu orędownictwu błogosławionéj Kunegundy a ta objawiając się, obiecuje mu życie: jeżeli wprowadzi bractwo różańcowe do kościoła kole-

giaty swéj. Ślubuje, wyzdrawia, prawi mszę świętą u grobu bł. Kingi i srebrne *votum* z napisem wierszowym łacińskim zawiesiwszy, funduje bractwo różańcowe w Nowym Sączu.

Bractwo to wybierało z pomiędzy siebie: Literatów którzy z książki Boga śpiewem chwaląc, dostawali od miasta kwartalną kolendę i byli ozdobą miasta i okolicy. Oni to, wraz z całem bractwem byli filarem nabożeństwa kolegiaty, oni rej wodzili w pochodach nabożnych, oni uczyli śpiewów, oni zachowywali podania i cuda, i opowiadali smutne czasy, kiedy szlachta aryanie po Podgórzu księży katolickich wypędzali a nawet zabijali jak w Męcinie i Jakubkowicach, a kościoły ogołocone ministrom heretyckim i ich niepoczesnej nauce oddawali. — Pamiętali oni ile to razy, ś. p. ksiądz Fuzoryusz jako komisarz kościelny zasiadał w tych sprawach i u grodu: w Czchowie, Bieczu i Lublinie dopominał się zabranych pól i łąk plebańskich. Wiedzieli: że on spisawszy prawa i nadania kolegiaty w jedną księgę; kardynałowi Radziwiłłowi do stwierdzenia ją przedłożył. Pomnęli także jak to on świątobliwy kapłan doznawszy powtórnych cudów u grobu błog. Kingi zasiadał na komisyi beatyfikacyjnéj, gdzie zbierano dowody świątobliwości téj patronki Podgórza i czy zasłużyła sobie u Boga: aby kości Jéj obmyte winem na ołtarzu jako przedmiot czci zostały złożonemi. Więc i o kościele wymurowanym w Kamionce i o szpitalu ubogich i o wszystkiem pomnęli. I o ś. p. księdzu Rozmusiewiczu kustoszu, także wiedzieli: że zapisał kościołowi złp. 1,000 na coroczne żałobne msze. A w dodatku opowiadali ciż bracia i siostry Różańca świętego: Że aryanie niecnotliwi nawiedli Szwedów na groby, że Siemichowski nawet ś. p. księdza Fuzoryusza i jego w kustoszostwie następcy ks. Rozmusiewicza popiołom nie dał spokoju; że *epitafia* zdzierał, trumny kopał i rozbijał; palce z pierścieniami odrywał

zwłokom dobrodziejów kościoła, którzy ofiarą majątkową okupili sobie wieczyste łoże w jego świętem łonie, jak św. pamięci Popkowna zapisując 1000 Złp.— A to wszystko czynili ciż wrogowie, szukając mienia świątobliwéj pani Stannowéj starościny wdowéj, która aryan zbłąkanych nazad do owczarni pańskiéj prowadziła; owéj wdowy po poległem w obronie ojczyzny chorążym, która jedyną córkę Bogu i zakonowi jego oddała. — Że łaknęli wrogowie mienia pana Boczkowskiego podstarościego, bogobojnego jéj nowonawróconym aryanom kmotra!! — — o zgrozo! o zapamiętałości niesłychana!!

Przytomni wypadkowi księża, i Wawrzyniec Szydłowski burmistrz rajca a oraz nadzorca budownictwa kościelnego, opowiadali to wszystko mieszczanom; Nikburowicz dzwonnik i Trela gróbarz zasię po obu przedmieściach; a różańcowe bractwo rzemieślnicy za baranem, bydlęciem przędzą lub wełną chodząc głosili do koła: a górski lud słuchał i zgrzytał zębami i niezaglądał do miasta kędy tacy wrogowie goszczą. Panowie cechmistrze i starsi schadzali się znowu cichaczem i radzili co czynić, — i zgodzili się na to: że trudno będzie daléj cierpieć.

Kwarciane wojsko powróciwszy z N. Sącza wypoczywało na zimowych leżach pod Sandomierzem i Ropczycami czekając niecierpliwie na wypłatę żołdu.

Pracki zaś w nagrodę zdrady wziąwszy pieniędzy od Szweda pojechał do Krosna zaciągać pułki, których pułkownikiem był mianowan. — Przeniewierca ten odstępny dominikan, przyjął godło Baldwina króla jeruzalemskiego: i mienił swą podłość podobną zacnemu poświęceniu. — Wkrótce naściągało się doń rozmaitéj

hołoty górskiéj i rozpoczęło się ciemięstwo wielkie. Odzierali lud ubogi w wioskach na konsystencyą przeznaczonych; a kiedy już w obrębie sobie przeznaczonym wszystko wyssali, przestąpili granice swoje, wybierali chleby z wiosek hetmańskiemu wojsku przeznaczonych. Towarzystwo hetmańskie odgrażało się Prackiemu: on zaś ufny w swe szwedzkie pułkownikostwo nietylko niezważał na to, ale owszem zebrawszy swą drużynę napadł na wsie górskie sanockie, saméj hetmańskiéj chorągwi assygnowane, i wypędziwszy towarzystwo hetmańskie: swoich tam osadził. Niewytrzymał tego Wojniłowicz porucznik hetmański, ale wskok z komunikiem z Przemyśla stanowiska swego wyszedłszy, naprzód na onych rabowników swego chleba napadł, powiązał, a potem tymże pędem raniusienko do Krosna przypadłszy; samego Prackiego na przedmieściu zaskoczył w gospodzie i z pieca wywleczonego, rozstrzelać kazał. Dostało się i towarzystwu jego, którzy czegoś chcieli dokazać; inszych zaś ze wszystkiego odartych kańczugami z miasta wypędzono. Dokonał tego za pomocą chorągwi wojewody czernichowskiego Tyszkiewicza, która mu tamże w posiłku przypadła była. Że zaś w około nieusłyszał nic jeno skwirk i żal na obierz szwedzką, nie czekając długo, użył pierwszéj ochoty wojska i wraz z tą chorągwią wojewody czernichowskiego; wyruszył oczyszczać kraj z łupiestwa, rozpoczynając od okolicy Biecza.

Wieść o zbliżaniu się wojska hetmańskiego migiem obleciała Podgórze i natchnęła serca otuchą. Mieszczanie sądeccy niebawem wiedzieli: że Wny Felicyan Kochowski rotmistrz piechoty nawojowskiéj znosi się z w. marszałkiem koronnym Lubomirskim i z bratem jego starostą sądeckim, którzy na Spiżu wojsko zaciągają i z panami Wąsowiczami bracią sąsiadami Nawojowszyzny a dzielnemi Czarnieckiego Stefana porucznikami;

ci zaś panowie z Wojniłowiczem porucznikiem hetmańskim utrzymują związki. Z drugiéj strony nadbiegały ciągle wieści od Jasnéj góry Częstochowskiéj: że Matka Zbawiciela Marya broni grodu i przybytku swego; że kule odlatują od Jéj nad klasztorem rozpostartego płaszczyka a waleczny ksiądz przeor Kordecki łamie zwycięstwa Szweda. — Wierny lud górski płakał z radości słysząc takie cuda i pragnął wybawienia świętéj ojczyzny — jak pragnął zbawienia duszy swéj!

Aryanie zaś i wszyscy przyjaciele Szwedów pocierpali i tem lepiéj szpiegowali w około siebie, bo na nich najbardziéj odgrażał się lud, słysząc z ust kapłańskich i świeckich: że oni przywodcami i doradcami Szweda. Głównem arynismu gniazdem był Bukowiec obok Jasiennéj wioska przychodnich Schlichtingów, od któréj się pisali. Pochodzili oni właściwie z Schlichtingowa (*Schlichtingheim;* po dziś dzień siedziba Nurków czyli Anababtistów — lecz już nie wielużeńców, —) w ziemi wschowskiéj, założonego od szląskich lutrów. — Wolfgang Schlichting posiadł Bukowiec a syn jego Jonas był pastorem ariańskim u Jordana w Lusławicach. 1647 wydał wyznanie swéj błędnéj wiary, która książka wyrokiem sejmu 1647 ręką kata spalona na autora bezecność i wywołanie ściągnęła. Za wkroczeniem Szwedów wrócił do kraju i wraz z Lubienieckim Stanisławem pastorem w Chomranicach, Chrystyanem Stegmatem Krzysztofem, Wiszowatem i innemi sądeckiemi aryany Szwedów zbawcami sumienia uznali.

Wespazyan Schlichting zaś dziedziczył pod samym Nowym Sączem: Dąbrowę, Łąsko, Klimkówkę i Ubiat — folwareczki, i podczas kiedy syn jego Jan administrator prowentów Rzeczypospolitéj z kozacką rotą mężnie stawał — on Szwedom doradzał. On to wraz z Żytkiewiczem Danielem instygatorem koronnym, Torunian podstępem do poddania się nakłonił. Przez Stanisława

z Brzezia Chrząstowskiego podsędka krakowskiego, który ostatnich dni Listopada do Biecza na roki ziemskie zjechał i dwoma garncami dobrego wina od miasta przywitan był —; mógł się Schlichting najdokładniéj dowiedzieć co się święci. Albo od Stadnickiego poborce prowentów, który wraz z niém zjechawszy także dwa garnce wina acz nie tak dobrego od miasta Biecza przyjął. Oba albowiem byli aryanami zaciekłemi i stronnikami Szweda. Miał się tedy Szlichting na ostrożności i Stejnowi pułkownikowi w Nowym Sączu doniół o wszystkiem.

Dowódca ów szwedzki postanowił mieć się na baczności. Naprzód rozesłał swych pachołków i kazał wszystkim mieszczanom broń poodbierać. Trzeba zaś wiedzieć: że prócz miejskiéj broni na ratuszu i cechowéj po basztach i wieżach, każden mieszczan oręż posiadał i niema prawie przykładu aby w pisaniu inwentarza mieszczanina zmarłego niebyło wzmianki o broni. Rozbrojenie to nie tyczyło się jednak szlachty Szwedom przyjaznéj do których i Wielogłowskiego Jana, woluntariusza swawolnego wyrokiem sejmu 1655 od czci i wiary odsądzonego, policzyć wypada.

Rozbroiwszy miasto nakazał komendant powtórną przysięgę na wierność królowi szwedzkiemu, i niezwłoczne złożenie poboru pieniężnego. Łatwo im było nakazać ale trudniéj było miastu złożyć: boć to wszystko było wyniszczone. Ale Stejn nie zważał na prośby i groził; więc jaki taki z biedniejszych wynosił się z miasta i prosto ku Nawojowéj umykał donosząc co się dzieje.

Nadchodzi wtorek, dzień targowy gdzie od czasów świętéj Kunegundy kto tylko może, spieszy z gór do Sącza sprzedać drzewa furkę a kupić garść owsa na placek; a tu żywéj duszy nie widać. Górale widać zmówiwszy się nie przyjeżdżają. Tak samo i w piątek.

Niespokojny Stein jął się czemprędzéj do naprawy

wałów miejskich a po bramach wieżach i basztach porozstawiał pilne straże, a mocne czaty wysyłał za miasto na zwiady.

Wtem przypada Schlichting i donosi: że górale pobliscy zgromadzili się w znaczną tłuszczę i pod wodzą szlachty zagrażają miastu. — Téj saméj nocy zaczerwieniały łuny nad Marganią i innemi nawojowskiemi góry; a przecież to nie wiosna, łazów nikt nie pali?— Dowódzca szwedzki wysłał natychmiast silny oddział za miasto a temu udało się pochwycić kilku chłopów w niewolę.

Wzięto ich zaraz na torturę i srogiemi mękami wymęczono zeznanie: iż dwa do trzech tysięcy chłopów zgromadziło się w pobliskich lasach. Przewodziło niemi kilku szlachty mianowicie owi Krzysztof i Stanisław bracia Wąsowicze, a ostatniemi czasy przyłączyło się do nich 200 dragonów biskupa krakowskiego. W takiéj sile zamierzali górale uderzyć najpierw na Dąbrowę i dwór Schlichtinga a z tamtąd opanować miasto.

Wywiedziawszy się dokładnie o całym zamachu, umyślił podpułkownik szwedzki obsaczyć licznem wojskiem dom Schlichtinga aby tu zaraz powitać i odeprzeć nieprzyjaciela.

Nazajutrz 13go grudnia 1655 w niedzielę przypadał właśnie ostateczny termin poborowy. Surowemi karami i łupieżą miasta zagrożeni mieszczanie odnosili na zamek gorzkiemi łzami skropiony okup i przy odliczaniu musieli jeszcze garniec wina postawić starszyznie szwedzkiéj.

Pobór zwykły: ziemszczyzny wynosił Złr. 291 gr. 17; ale to już dawno minęły te dobre czasy gdzie go miasto pojedynczo składało: zwykle *in duplo, triplo, quadruplo*, a bywało i po dziesięć naraz. Szwedzi pewno mniéj niebrali a tu w powietrze niedawne bo 1651 samych rzemieślników zmarło 62, a różnego ludu prze-

szło 1500. Do tego szlachta od domów płacić nie chciała, ani księża. Że zaś biedactwa wiele, opłacić się nie mogło, inni zaś z domów pouciekali; więc dla wielkiego niedoboru uradzili panowie sprzedać starą miedź z dachu wieży kolegiackiéj zdjętą. Jakoż sprzedali ją kotlarzowi za dwieście kilkadziesiąt Złp., za zezwoleniem obu opiekunów kościoła — obiecując uroczyście w lepszym da Bóg czasie, nową miedzią wieżę pokryć.

Nienasycony Stejn obłowił się tedy wraz z swą łakomą tłuszczą; trzeba było pomyśleć o zabezpieczeniu łupów. Jak wielka część tych najezdników, miał on żonę z sobą która włócząc się za niem strzegła zdobyczy wiezionéj w skrzyniach potężnych. Były tam klejnoty, naczynia złote i srebrne, szaty i materye drogocenne, było między innemi bardzo wiele rozmaitych kościelnych do służby bożéj przeznaczonych sprzętów, także ubiorów i apparatów ołtarzowych, sprosną ręką z rozmaitych kościołów pozabieranych, nieprzyjacielsko.

Pani Stejnowa jużto przez Aryan szlachtę, już przez niemieckie pachołki była upewnioną: że skarby pani Stannowéj i Boczkowskiego, niezawodnie były przechowane w kościele ś. kollegiaty, a mimo zdrady i poszukiwań; nie możono je wyśledzić. Usłuchała więc porady ludzkiéj i przywoławszy najsędziwszych prawie rajców: Kopcia i Frankowicza prosiła: aby jéj skarb umieścili w tymże kościele od przypadku rozruchu jakiego w mieście i aby zań zaręczyli. Łatwo odgadnąć: że prożba jéj obietnicami z jednéj a groźbą z drugiéj strony popieraną była. Panowie rajce obejrzeli skarb, westchnęli nad świętym sprzętem zabranym i radzi nie radzi uczynili prożbie zadosyć. Frankowicz zawołał dzwonnika i grobarza i kazał skrzynie owe do siebie przyniesione ukryć w kościele; mieniąc swą własnością.

Stejn pułkownik tymczasem przygotowywał wszystko do nagłego pochodu, ładował wozy i działa. Poruczni-

kowi zaś swemu którego w Sączu z nieliczną ale doborową załogą zostawił, polecał wszelką ostrożność, a za najmniejszem okazaniem wstrętu z strony mieszczan przykazywał krótko mówiąc: rzeź! bez litości i miłosierdzia

Podanie niesie: że jeden z młodych szwedzkich żołnierzy pokochał się był w jakiejś piekareczce, dziewczynie. Zdaje się, że to przekupka pieczywa, może Matyaszowa albo Stanisławowa lub wreszcie córka Piotra Nowakowicza które wszystkie wedle regestrów miejskich na podcieniach jatek przesiadywały; opłacając miastu od miejsca. Mniejsza o to która! Dość że do téj dziewczyny przyszedł ów młody szwed i przestrzegł ją: aby się oddaliła z miasta na kilka dni, bo gdyby po ich wychodzie miasto opór stawiło, to wyprawią rzeź powszechną i zburzą miasto. Dziewczyna podziękowała mu za jego dobre serce i prosiła; aby jéj do ucieczki dopomógł, co też i przyrzekł. Dziewczyna ta pobiegła do Falkowéj, do pana Suszyckiego pisarza miejskiego, a pan pisarz przez Kunow i Jamnicę dał znać wojsku i Wąsowiczom. Ale też może i który z żołnierzy szwedzkich żonatych przestrzegł żonę a ta gospodynią. Zdaje się to prawdopodobnem, mianowicie co do Konstancyj żony Stanisława Hanca, niemca, ktora w pięć dni późniéj bo 18go grudnia powiła córkę Reginę. Kobieta ciężarna przed samem rozwiązaniem trudno aby się rwała do pochodów i przyklaskiwała rzeziom i pożarom. To samo tyczy się jakiejś Anny żony Jerzego, katolika w szwedzkiéj służbie, którą 1go lutego Mikołajkiem, i jakiegoś niewiadomego Szweda rodowitego, którego także szwedzką niewiastę 13go lutego Bóg synem Janem obdarzył. Ostatnia nie musiała sobie uzyskać miłości ludzkiéj albo była zatwardziałą szwedką kiedy jéj nikt w kumy nie szedł.

Przygotowawszy wszystko zostawił Stejn załogę jak się rzekło nie liczną, ale odważną, między niemi Gordona Patrika szkota, późniéj ministra wojny Piotra Wielkiego a zresztą wojska wyruszył do domu Szlichtinga do Dąbrowéj.

Dąbrowa, milę przed Nowym Sączem, na sądeckich gór wieńcu, od północy położona; stanowi ważny punkt wojenny, bo odcina Sącz od północy więc od Krakowa i Wiśnicza. Tworząc zaś kończynę pasma gór ku Grybowu, samo przezsię jest obronnem. Pasmo to ciągnie się od rzeki Białéj, a najwyższy szczyt: Rosochatka łączy się z Cieniawą, Mystkowem i Jamnicą, a z drugiéj strony przez Ptaszkową, Boguszę, Królowę polską i ruską Kamionkę aż do Kamienicy rzeki, przerzynającéj państwo Nawojowę. Dziś jeszcze grzbiety gór tych porosłe lasami, przed parę set laty zaś były tam bory nieprzebrane, góralom jedynie przystępne. Łosie i jarząbki dawano z nich na stół Lubomirskich i Branickich. W tych to lasach od Nawojowéj nagromadzili się górale po nad Kamionkę i Łabowę i mieli wyruszyć górami ku Dąbrowéj. Tak wypadło z ogólnego przez Lubomirskiego Jerzego i hetmana Potockiego obmyślanego planu; aby łącząc swe działanie z Wojniłowicza pochodem na Ciężkowice i Tuchow: tworzyć niejako środek, a góralom nowotarskim i czorsztyńskim powstającym poruczyć lewe skrzydło. Wojniłowicz złączywszy się z kwarcianemi i hetmańskiem wojskiem, mógłby wzmocnić środek, i postępując ku Zakluczynowi zagrozić Wiśnicz a zupełnie okolić i odciąć Nowy Sącz i oswobodzić Podgórze i Sanocką ziemię.

Tak też rzecz pojmował podpułkownik szwedzki wyruszając z główną siłą; aby rozbić góralskie powstanie wprzódy nim się złączy z Wojniłowiczem i kwarcianymi. Uwiadomiony dokładnie o zamysłach Polaków, oparł na tem swe działanie niewiedząc, że sam był śledzonym.

Dziewczyna owa wyjawiła zamysły Szweda. Wnet też przybieżało kilku mieszczan uciekających z miasta przed trwogą, z doniesieniem o zamysłach Stejna i gotowością powstania w mieście, byle tylko pomoc przybyła. Umówiono się więc dokładnie, zmieniono plan pierwotny i dano znać miastu.

Porażka Szwedów.

Miasto Nowy Sącz leży w trójkącie u spływu Kamienicy w Dunajec; na wysypisku przedpotopowem w środku równi sądeckiéj, na niegdyś wyspie jeziora przedpotopowego. Równia ta w około uwieńczona górami i brzegami w części skalistemi; a w którą stronę spojrzeć wszędzie widok rozkoszny.

Od Dunajca prócz brzegu i wody bronił miasta klasztór Premonstratensów, w samem rogu położon, obmurowan należycie z dwoma basztami u samego końca. Daléj wzdłuż Dunajca prosto ku północy mimo ogrodu OO. Franciszkanów szedł mur miejski, miejscami podwojony wedle potrzeby, łącząc się z murem zamkowym. Strona ta już z natury obronna; była więc należycie umocnioną.

Zamek czyli gród stoi czołem ku północy, na ścięciu owego trójkąta wysepnego. W kącie od Dunajca potężna baszta i podwójne mury z bateryą panowały nad przewozem i Dunajcem. Daléj stał sam gród o piętrze z miąższą basztą w pośrodku i z kilkoma przystawkami, aż ku bramnéj baszcie do dziś dnia stojącéj. Od Dunajca przekopem wzdłuż zamku a daléj szkarpą brzegu zginając się pod górę wiodła droga w grodzką bramę i polską ulicę.

Zamkowa brama stała tuż obok baszty potężnéj która broniła przystępu, a oraz furtką łączyła bezpośrednio zamek z drogą i Dunajcem. Furtka ta jak po dziś dzień

widno wychodziła z szkarpy w rogu baszty; i ganeczkiem w zagięciu kilkunastą schodami prowadziła na dół.

Od grodzkiéj bramy szedł niewielki kawał potężnego muru do krakowskiéj bramy i baszty; już na rogu wybrzeża Kamienicy rzeki leżącéj. Obie bramy ledwie kilkadziesiąt kroków od siebie odlegle; a mur który je łączył miał górą ganek, należycie pokryty i strzelnicami zaopatrzony. Z ganku jednak tego do piętra bramy niebyło drzwi.

Basztę przy krakowskiéj bramie zwano szewską od cechu któremu obrona jéj była poruczoną.

Od Kamienicy rzeki na samem końcu muru; stała półokrągła narożna wieża broniąca muru i brzegu Kamienicy a ostrzeliwająca bokiem gościniec krakowski. Od téj wieży ciągnął się wysokim brzegiem mur miejski wschodni wzdłuż Kamienicy aż do młyńskiéj bramy Zgięcia jego były bronione basztami czworobocznemi. Sam mur zaś miał górą ganek i strzelnice, i furtę zwaną szpitalną.

Młyńska brama i furta stojąc u samego prawie końca tego muru, potężną swą basztą na wywyższeniu znacznem stojącą broniła mostu na Kamienicy i drogi do Grybowa panując oraz nad przedmieściami tak zakamienicznem jako i węgierskiem w części. Przy niéj od podmurza była fórta różanna.

Odtąd zwracał się mur czołem ku Węgrom i południowi. Szeroki i głęboki przekop dzielił miasto od przedmieścia węgierskiego, a podwójny wał miejscami sadowiną obrosły (tak zwany: sad roratny, ponieważ dochód na roraty szedł), uzupełniał obronę. Wał był oparkaniony. Po rogach stały wielkie i wyniosłe baszty, a w środku potężna węgierska brama zwodzona. Zwód był należycie blachą obity, a cebrzykami wyciągano ziemię która w przechodzie z pod wozów równie jak z pod nóg spadała. W bramie téj była obszerna strażni-

ca którą w czasach pokoju zamieszkiwał kołodziéj płacąc z niéj czynszu rocznego f. 4 gr. 24. Potężna baszta pod gątem broniła przystępu a w szeroko płaskich oknach sterczała staropolsko groźna broń: organki! na pasach powieszone.

Przedmieście węgierskie ciągło się poza tym murem od Kamienicy aż po Dunajec, a najstarszy kościołek św. Wojciecha stał w jego obrębie. Był to niegdyś parafialny wsi Kamienicy kościół obsadzony lipami które jeszcze stoją. W około stały folwarki jeden wedle drugiego, a nad Dunajcem nasypiska: wulki po dziś dzień słynne urodzajem. Na kilkoro stajan od muru stały stodoły miejskie szeregiem jedna przy drugiéj, a pod każdą piwnica. Starym obyczajem niewolno było w mieście trzymać składów słomy ani siana i jak dziś w Starym Sączu, chodziła co dzień nad wieczorem czeladź po dzienny zapas paszy dla bydła.

Szwedzi przywykli do tego obyczaju i o pewnéj godzinie puszczali czeladź furtką do stodół. Dla nich samych było to rozrywką bo zaczepiali dziewczęta i kobiety idące, i rozmaite psoty wyrządzali. „Figlarze! Pan Bóg karze!“ mówi dawne przysłowie; które się wtedy zupełnie sprawdziło. Na téj bowiem drobnéj okoliczności oparli bracia Wąsowicze całe swoje zaczepne działanie.

Kilkunastu najodważniejszych wojowników ukryło się było w tych stodołach i piwnicach za pomocą mieszczan, wyglądając odejścia Stejna. Wkrótce nadeszła czeladź po słomę, siano, trzajny i plewy. Śmiałkowie ukryci powdziewali szaty czeladzi, powkładali na się brzemiona i z ukrytą bronią zdążali pomału za dziewkami wracającemi. Szwedzi jak zwykle rozpoczęli igraszkę z dziewczętami i ani się spostrzegli kiedy z owych śmiałków, każden swego za gardło chwyta i dławi, a drudzy chyłkiem po pod mur ku bramie zdążają, wro-

tnie rąbią i zwód spuszczają. Wkrótce straż bramna przemożona ale Szwedzi strzeliwszy dali odgłos swoim.

Rozpoczęła się walka. Szwedzi u bramy ustroiwszy się wojenno natarli dzielnie, chcąc odzyskać bramę i zwód podnieść. Ale cechy przygotowane sypnęły się hurmą od furmańskiéj ulicy a na wieżach uderzono w dzwony. Burmistrz Marczowic Jan, objął był właśnie urząd miejski po sędziwym Szydłowskim Wawrzeńcu i pokazał: że jak dawniéj w gniewie i zapamiętałości ośmielił się był wyrwać z ksiąg sądu wojtowskiego trzy kartki, na których potępiający go wyrok był zapisan; tak obecnie gniew na wroga obróciwszy nie zlęknie się ani zbroi jego ani sławy wojennéj. A była to niedziela i uroczystość św. Łucyi (13go grudnia); dzień obrachunków i wypłat kwartalnych, kolęd i zasług. Wszystkie cechy i bractwa obchodziły go uroczyście po kościołach i bratnich zgromadzeniach; rachując się z sumieniem i kasą. Dziś rachowali się z wrogiem i za niezliczone zdzierstwa i krzywdy, chcieli mu ryczałtem kolędę płacić.

Niebyło broni na razie bo Szwedzi zabrali. Ale Wiełogłowski Jan, ów sejmowy wywołaniec, miał broni wiele na swéj gospodzie u Wawrzeńca Gadowicza. Wpadli mieszczanie, zabrali, i daléj z nią na Szweda Furmańską ulicą ku węgierskiéj bramie. Niedługo Szwedzi stali, bo mieszczanie kiedy Szwed padł, to jeden drugiego odpychał i broń wyrywał a bili daléj. Sławetny Jameński Stanisław rajca, w natłoku odepchnął kolegę swego, Pijanowskiego, o co potem przed sądem wójtowskim sprawa się toczyła.

Szwedzi w dobrym porządku cofali się od węgierskiéj bramy wzdłuż murów ku młyńskiéj bramie, drudzy zaś dążyli na pomoc z zamku.

Obsadzili probostwo Ducha świętego i kollegiatę, zamknęli wychody ulic ku węgierskiéj bramie i wspierając się wzajemnie nie tracili ducha. Straż bramy wę-

gierskiéj cofając się wzdłuż murów doszła do rożannéj wąskiéj uliczki a widząc ją w ręku swoich, a dwie szersze ulice przed sobą, oparła się o mur i dawała ognia w gęste mieszczan tłumy, a nadbiegający z murów Szwedzi wspierali ją. Ale właśnie ci ostatni zgubili sprawę swoją. Dzielny Wąsowicz Krzysztof z pachołkami nawojowskiemi, za pomocą drabin i mieszczan przebyli niestrzeżony mur i wypadli od rożanéj uliczki. Z odżywionym zapałem natarli mieszczanie z swéj strony i ani jeden Szwed nieuszedł.

Łatwiejsza sprawa była już na probostwie: wybito dwie dziury w ścianie i wyłomem dostano Szwedów.

Z obmurowanego cmętarza kollegiaty musieli także wcześnie uchodzić i zaprzestać dobywania się do kościoła po skarby Stejnowéj. Już do świątyni byli wyłamali dziurę z cmętarza po za wieżą, ale niemogli korzystać bo niebyło czasu. Drzwi zaś blachą i żelazem grubo kute oparły się ich sile. Na zamku jeszcze tylko trzymał się szkot, Patryk Gordon z niedobitkami, a widząc rzeczy stracone uciekł grodzką furtką wprost ku Bukowcowi dając znać o poniesionéj klęsce.

W mieście ucichło! Starsi cechowi wedle zwyczaju starodawnego zarządzali bracią: jednych do mar, drugich do chorych a co zdolniejszych do broni, na baszty i mury.

Na ratuszu zaś zgromadziła się Rada i przy garncu wina naradzała się z panem Wąsowiczem Krzysztofem. Starosta sądecki z swą piechotą stał niedaleko i czekał na Szwedów i Stejna. Mróz był na świecie, więc wcześnie trzeba było dla nich obmyśleć gospody i wypoczynek. Pan Krzysztof umówiwszy się poprzednio z starostą jako *kwater magister* załatwiał rzecz zgodnie z miastem. Poczem udał się każden na swoje stanowisko,

a Wąsowicz do swych pachołków którzy się tymczasem posilali chlebem i dwoma garncami gorzałki.

Szwedzi niedali na siebie długo czekać. Patryk Gordon dotarł do nich a Stejn rozjuszony skoczył co tchu napowrót. Za Kamienicą rzeką na dzisiejszéj Przetakówce był folwarczyk księży wikarych. U niego zgromadzili i ustroili się Szwedzi, a potem wypadli nagle. Ale w Sączu była wszelka gotowość, każden stał na swojem miejscu, a od strony zamkowéj poczyniono potrzebne ostrożności, szczególnie na krakowskiéj bramie.

Szewska baszta z krakowską bramą była połączona gankiem, na którym w strzelnicach ponabijane hakownice w pogotowiu stały. Do strzelania jednak niebyło zdolniejszego nad Stanisława Krawczyka. Jemu powierzono hakownice na ganku i bramie krakowskiej aby od jednéj do drugiéj biegając celnemi strzały najezdników raził. Ale wieżyca krakowskiéj bramy niemiała drzwi bocznych jeno od strony miasta, tak: że chcąc do niej z ganku wejść, całą obchodzić potrzeba było z wielką mitręgą czasu. Zapobiegając temu zwołano mularza i co tchu wybił drzwi na ganek. Samą zaś bramę krakowską od wywalenia zabezpieczono potężnemi zaporami z całego drzewa kilkokrotnie przez siłę wbitemi. Furtkę zaś zamurowano. W innych bramach przygotowano także działka i organki. Szwedzi znając dobrze miejscowość podpadali: jedni do zamku drudzy do krakowskiéj bramy, do któréj z dział ognia dawali. Był to tylko pozór, im o co innego chodziło.

U krakowskiéj bramy był rynsztok, dla ścieku wody z ulic miasta. Do tego zdradliwego otworu pchali się Szwedzi chcąc pewnie rozsadzić kanał prochem i wyłom uczynić. Ale mieszczanie pilnowali murów, a Stanisław Krawczyk strzelał z hakownic jednej za drugą a nigdy nadaremnie, bo zawsze Szweda powalił. Od krakowskiéj bramy począwszy strzela-

jąc szedł gankiem ku szewskiéj baszcie a ztamtąd bokiem strychował ich tak dzielnie: że im wstręt dawał. Rozjuszeni Szwedzi cofnęli się za folwarczek zbili się w kupę i przypuścili ostateczny poskok: Krawczyk palnął, raz! drugi! trzeci aż do ostatka. Ale ostatnia hakownica wypaliła z ogromnem hukiem, a téj saméj chwili uwisła ręka jego i krew trysła obficie. Hakownica zanadto silnie nabita nie wytrzymała parcia: pękła i srodze go w rękę skaleczyła. Strach ogarnął mieszczan bo i do zamku uczynili Szwedzi wściekły poskok. Ale téj chwili zagrzmiał okrzyk od rzeki Kamienicy a odrazu huknęły strzały. Piechota starosty pod Kochowskim Felicyanem uderzyła z boku, a Gierlichowski z piechotą spiską następował w odwodzie. Starosta zaś z szlachtą zachodził bokiem.

Niebyło rady! Szwedzi zostawiwszy wozy i działa umykali z duszą, a jęk dzwonów i huk ludu towarzyszyły odgłosowi strzałów. Zostawili trupa niemało, zostawili działa i łup, ale nic to ludu tak nieuradowało jak pochwycenie niecnego Siemichowskiego!

Rano nazajutrz wjechał starosta do oswobodzonego miasta, na czele swéj nawojowskiéj piechoty, która niezwłocznie objęła straż zamku i bram. A na rozkaz jego dało im miasto dwa achtele piwa, a osobno dla straży zamkowéj i bramnéj pół achel. Więźniów pochwycono 19, których starosta na ratusz wziąść i żywić kazał; co kosztowało na tydzień złp. 3.

Niebawem nadciągnął i z Gerlachowa Gierlichowski z piechotą spiską Jerzego Lubomirskiego. Na rozkaz starosty dało im miasto znowu achtel piwa za złp. 4, a drugie tyle zapłacił im Cyrus, sędziwy: starszy cechu szewskiego, którego cech i baszta taką sławą się okryła. W imieniu króla JKMci objął pułkownik Gierlichowski komendę miasta i natychmiast kazał porobić co potrzeba było. Klucze od bram które Szwedzi zabrali;

kazał podorabiać, także szufle i stęple do dział odebranych; krakowską bramę kazał odemknąć i ponaprawiać a za Szwedami wysłał szpiega poufnego. Był niem, dawniéj już do téj sprawy używany Olexy, poszedł pod Wiśnicz dowiadywać się co tam słychać? A za ten niebezpieczny trud wziął skromnéj zapłaty: złotego!

Panowie radni zruciwszy z głowy ciężar wojenny przeszli do spokojniejszych zatrudnień. Podziękowawszy Bogu za ocalenie miasta wiernego, popamiętali najprzód o poległych.

Mieszczan, którzy w obronie miasta swego i kościołów śmiercią walecznych padli, pochowali jako rycerzy: na pobojowisku, u murów miejskich, na rogu ulicy drwalskiéj, kędy dziś dom Nr. 90. Spoczywały tam ich kości aż do roku 18... kiedy przy budowaniu tegoż domu odgrzebane i na cmętarz przeniesione.

Szwedów najezdników trupy, pochowali grabarze na miejscu kędy wszystkich zbrodniarzy tracono, *in loco supplicii* za murami miasta i dostali zato złp. 2. Za czasem wystawili tam pobożni ludzie kapliczkę murowaną; a po dziś dzień w każde święto, zapalają w niéj światła i nabożnemi pieniami żebrze lud wierny miłosierdzia Boga: aby im odpuścił ciężkie ich winy.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Więc wedle obowiązku jeszcze z czasów Kingi: kupili panowie pszenicy jak najpiękniejszéj wierteli 4, za złp. 10; kazali to przepytlować w młynie miejskim; dali piekarzowi na drożdże, sól a oraz i za pracę *kontentacyéj* złp. 1 gr. 18. I upiekł bułeczek kóp pięć. Do tego kupili panowie bukłaszków nowych sześć za złp. 1 gr. 6; na 6 garncy wina. A to wszystko na coroczną wieczystą daninę dla zakonnych panien starosądeckich. Dawał Nowy Sącz tę daninę do klasztoru *in vigilia Nativitatis Christi*, jako wykupne szkód których klasztor i dziedzictwo błog. Kunegundy doznały przez wzrost N. Sącza.

Panu Gerlichowskiemu komendantowi ofiarowano, *pro festo Nativitatis Domini*: szafranu łut jeden! O sobie też pamiętali panowie rajcy i wedle starodawnego obyczaju odłożyli *diennium* na świątka Narodzenia Pańskiego, na wino f. 4 gr. 24, a drugie tyle na zające i korzenie.

Sługom zaś dwiema miejskim wypłacono kolędy gr. 24 i sprawiono latarnię za gr. 6.

Załatwiwszy zaś te gospodarcze sprawy zwrócono uwagę na Siemichowskiego!!!

Rada miejska stósownie do przepisów prawnych: Siemichowskiego sprawę zbrodniczą odesłała do sądu wójtowskiego.

Następywały święta i ferye sądowe, więc niezwlekając zasiadł wójt i ławica na gajny wielki sąd! Instigator radzieckiego urzędu: sławetny Jakób Świechowicz przysięgły woźny ratuszny, stanął przed wielkim sądem, żaląc się na Floryana Siemichowskiego: z przyczyny złupienia grobów w kollegiacie sądeckiéj, i następowania na mienie ludzkie; uwięzionego, przystawionego i obwinionego. Prosił w końcu: aby mu sąd dozwolił: świadków do prawa dostawić, aby ich przypuścić i wysłuchać raczył.

Sąd do prawa przypuścił, a zatem wzniosłszy do niebios i gwiazd palce prawéj ręki, przysięgając na ciało i duszę, zeznawali i świadczyli kolejno uczciwi: Sebastyan Rozborowicz mieszczanin, Marcin Nikburowicz dzwonnik; sławetny Wawrzyniec Szydłowski rajca i lunar nowosądecki i uczciwy Maciéj Treliński przedmieszczanin.

Więc prześwietna Ławica zapytała Simichowskiego co kto mu był do tego powodem? Kto był uczestnikiem?? A że niechciał nic wyjawić więc stósownie do kodeksu *niemieckiego cesarsko-rzymskiego* którem się miasto sądziło; oddano go oprawcy do męczarni. Począł go mę-

czyć lecz nadaremnie! nic niewyjawiał! Więc też wielmożna chorążyna Stannowa i Wny podstarości Boczkowski i wielu szlachty wstawiało się za niem, aby go nie męczyć, i ile możności karę złagodzić. Siemichowscy bowiem byli szlachtą, byli krwią kilkokrotnie złączeni z Kępińskiemi i pisali się z Siennéj Wilkonoszy i Wróblowic. Kępińscy zaś z całą aryańską mianowicie szlachtą, byli w pokrewieństwie.

Więc zważając na wstawienie się szlachty nie męczono go.

Nazajutrz po św. Tomaszu, zapadł wyrok następny: Sąd wójtowski ławniczy sądecki. Ponieważ z przesłuchania świadków jasno udowodnione: że Floryan Siemichowski już dawniéj niezmiernie występne wiodąc życie: zbrodnię stanu, nie tak z ostatniéj potrzeby jak z czystéj złości popełnił, także mężobójstwa był się dopuścił, a ostatniemi czasy chytrze i podstępnie przeciw prawu narodów i pobożności chrześciańskiéj: grobów wiernych katolików w kościele kollegiaty sądeckiéj dobywał i do tego występku nawodził; nawet zwłoki w grobach i trumnach obdzierał i blachy napisowe od przywiązanych przyjaciół dla pamięci na trumnach przybite, poodrywał; aż wreszcie na mienie i dobra tak szlacheckich jak i innych osób, wroga naprowadził i w ślepym zapędzie nawodził, czem przeciw boskim i ludzkim prawom wystąpił. Więc wspomnionego Floryana Siemichowskiego, chociaż za takie zbrodnie daleko większe zasłużył kary, jednak zważając na wstawienie się wielu osób szlacheckich: Wielki zagajony Sąd wójtowski ławniczy sandecki, ucięciem głowy na środku rynku pod katuszą, skazać onego postanowił, mocą wyroku niniejszego.

Właśnie też był nadjechał trębacz szwedzki od Wittemberka z Krakowa z listem. Starosta zatrzymał go przez święta; i rad nierad był świadkiem sprawiedliwości na

zdrajcy wymierzonéj. Pogrzebion za murami *in loco supplicii* obok Szwedów którym tak wiernie służył. W księdze zaś wydatków stoi zapisano: Exekutorowi od exekucyi Siemichowskiego co zrabował groby u fary i nawodził Szwedów; złp. 3.

Święta Bożego Narodzenia przeszły wesoło: trąbiono, bębniono na pasterską mszę tak: że aż skóra popękała i macica się od bębna oderwała. Musiano rymarzowi za nową skórę i powleczenie także wysmarowanie oliwą, gorzałką i jajami; kotlarzowi zaś przybijanie macicy do bębna zapłacić. Organista i młodzież szkolna, także dzwonnik wzięli zasłużoną nagrodę.

Karząc surowo zbrodnię, niezapomnieli panowie rajcy wynagrodzić zasługi.

Stanisławowi Krawczykowi, — „który z szewskiéj baszty z hakownic przeciwko szwedom, gdy po wygnaniu z miasta, znowu do miasta retyrowali, i pod bramę podpadać chcieli; strzelał. Gdy go ostatnia prochem rozsadzona hakownica srodze w rękę raniła: na cyrulika i przychęcając go do dalszych usług miastu, za konsensem panów kolegów dałem: Złp. 10.“ — Tak wpisał burmistrz Bogdałowicz do księgi wydatków.

Dziewczyna owa, która najprzód do obozu znać dała o zamysłach szweda, została już w domu pana pisarza miejskiego na służbie. Ale nie nadługo. — Dobosz pułku piechoty spiskiéj upodobał sobie jéj wdzięki i cnotę a otrzymawszy wzajemność i zezwolenie ożenił się z nią zaraz na początku zapust. Wdzięczne zaś miasto zapisało w rozchodach miejskich: Na cztery garnce wina gdy nasz pan pisarz miejski wydawał swą służebnicę zamąż — Złp. 8. — A zaraz pod tem: Za ćwierć mięsa dla JM. pana Gierlichowskiego komendanta natenczas po wybiciu Szwedów tu u nas w Sączu na załodze z ludem będącego; — na wesele JMci Dobosza: na

ćwierć mięsa — Złp. 1 gr. 15. Sługa miejski Jędrzéj który się także żenił dostał na piwo: Złp. 1.

Wesoło rozpoczął się nowy rok. Wielebny: Joannes Zakliczymus Fabrowicz Commendarius in Pogrodzie, napisał w metryce chrztu: *Annus MDCLVI — et sueticus! Sed tu Domine! libera nos a malo!*

Król Jan Kazimierz dowiedziawszy się o zdobyciu Sącza i ruchach wojsk hetmańskich, usłuchał rady Maryi Ludwiki, próźb hetmanów i głosu narodu, i wracał do kraju. Naprzeciwko niego jechał hetman koronny pełen żalu i skruchy a 13 chorągwi posuwało się pod Sącz. Więc też Szwedzi niemogli nic wskórać mimo tysiąca ludzi wysłanego ku Sączowi. Za to wojska hetmańskie bez przeszkody nagłym pochodem przypadały do Sącza, a miasto przyjmowało ich jak mogło: w post rybami i winem, a w dzień zwykły: mięsem, chlebem i winem; dla koni zaś dostarczano owsa. Komendant Gerlichowski miewał częstych gości więc miasto dawało: pół wołu za Złp. 6 i wina garncy 2; to znowu ćwierć wołu i cielę za Złp. 1, gr. 15; — i piwa beczkę za Złp. 4 i wina garncy 2 za Złp. 4.

Więc też o prawie rugowym w wsiach miejskich niezapomniano. Starodawnym obyczajem sąd gajny sądził wsie: Żeleźnikowę, Falikową i Paszyn; a dziękując za dochowaną wiarę i stateczność raczyli panowie sędziowie siebie i starszyznę wiejską, wedle zwyczaju: grzanem winem z korzeniami i chlebem. Wina wyszło za Złp. 10, gr. 18; po grzywnie garniec. Na korzenie zaś do tych win i chléb do każdej wsi rachując po złotemu i gr. 6 uczyniło Złp. 3 gr. 20. — Sądy te gajne rokowe zwykle bywały połączone: z wojennem okazowaniem i ztąd lud górski świadom był wojenki.

Dzielny Czarniecki zawiązał też konfederacyą koronnych stanów w Tyszowcach i poszedł w jasielskie podgórze podczas kiedy Wojniłowicz pod Wiśnicz i Kraków postąpił. Jan Kazimierz zjechał do Krosna, a rzeczy wcale inny obrót wzięły.

Pierwszych dni lutego przejechał przez Nowy Sącz komornik królowéj JMci z pilnemi listami do króla; a tuż za niem poseł cesarski. — We dwa tygodnie znowu komornik królowéj z pilnemi listy, a w końcu lutego zapisał burmistrz do księgi wydatków: Komornikowi króla JMci, który jechał z pilnemi listami od króla JMci do królowéj Jéj Mci, dałem na strawę tak dla niego samego jako i dla czeladnika jego, także i dla koni — Złp. dwa!! — Przewodnikowi, który tegoż komornika prowadził do Czorstyna — Złp. 1 gr. 15. — Ku końcowi marca przejechał poseł po rzeczy królowéj Jéj Mci i wraz z końmi dostał od miasta strawnego — Złp. 2, gr. 20.

Ale nie zaraz królowa jechała. Kilku jeszcze komorników wioząc pocztę królowéj wracało tam i sam, nawet poseł od króla JMci zdaje się do Cesarza przejechał prowadzony przez dwóch przewodników, na początku kwietnia. Dopiero w maju zapisana podwoda pod posłańca do królowéj Jéj Mci do Krosna.

Przez te czasy weselili się mieszczanie jak mogli. Żona Jerzego katolika w służbie szwedzkiéj powiła syna, który ochrzczon na wyraźne rodziców żądanie Mikołajem. Musieli to być niemcy miastu i polakom życzliwi: kiedy urodzony Podobiński z Anną Faglowną z Młynczyc do chrztu trzymał. Nie tak jak owo dziecię szwedzkich rodziców, bez kumów z wody tylko Janem ochrzczone w kilka dni późniéj. — Bracia Wąsowicze: Stanisław, Kazimierz, Krzysztof i Ludwik ostatni marszałek dworu króla JMci (*supremus aulicus*), także komendant miasta: Gerlichowski; z kolei trzymali w kumy mieszczkom i szlachcie. Był to wyraz poważania i czci

dla tych zasłużonych ludzi; bo wtedy uczt naumyślnych nie wyprawiano przy takich sposobnościach. — Dzwonnik zaś Nikburowicz ten już prawdziwie gromadzkim kmotrem został, mianowicie po przedmieściach; że mu sławetna Felicitas Bogdałowiczowa w mieście ledwie wyrównała.

Ale też i kłopotu miało miasto po trosze.

Generosus Jan Wielogłowski zapozwał Gadowicza: iż mu zbrojowni jego własnéj wybrał strzelbę (brombardas); musiałby się był aż odprzysięgać, gdyby pozew był stanął na roki.

To znowu sławetny Pijanowski zaniósł żal na Jameńskiego jako w czasie wybicia się miasta, gwałtu od niego doznał a to z szczeréj osobistości, którą udowadniając sławetną Baradziejowę do przysięgi zawezwał.

To znowu Stanisław Rollka żalił się na sławetnego Babskiego iż mu zabrał był ołów....

O tę miedź starą z wieży kolegiackiéj, sprzedaną na zapłacenie Szwedom poborów, dopominała się kolegiata. Podczas kapituły zawezwano burmistrza: Jana Marczowica, i rajce: Wojciecha Bogdałowicza, Stanisława Kopcia, Marcina Frankowicza, Stanisława Olszyńskiego i Jana Czechowicza. Stawili się w pokorze, a ksiądz Jan Grabowski przełożony kollegiaty, gromił ich: jako śmieli naruszyć własność kościelną bez zezwolenia biskupa i kapituły? — Mieszczanie składali się w pokorze: że to dla dobra publicznego uczynili tém bardziéj, kiedy i i tak wszelkie ciężary budownicze do miasta należą, więc i wieża da Bóg w lepszym czasie nową się miedzią pokryje. W końcu zeznali, który kotlarz i za wiele ją kupił. — Więc ksiądz Grabowski jeszcze raz ich zgromił: że się to niegodziło *proprio ausu et privata authoritate* bez pozwolenia biskupiego czynić, w końcu uroczyście zastrzegł nietykalność dobra kościelnego.

Konstanty Lubomirski starosta sądecki czuwał nad dalszą obroną miasta. Niebyło prochów, a dotychczasowe sprowadzanie z Biecza kędy go wyrabiano; było utrudzającem. Był zaś zaraz za Kamienicą rzeką niedaleko od drogi wiśnickiéj, folwark księży wikarych nadany sławetnemu Wojciechowskiemu za roczną opłatą. Szwedzi szturmując na miasto umieli z położenia jego korzystać jak się wyż rzekło: więc starosta kazał go rozburzyć zupełnie a z materyałów budowniczych wystawił prochownią i browar na użytek i wygodę miasta-gdzie prochu i piwa brak czuć się dawał. Więc o ten folwarczek także były kłopoty i dopominania się rzeczonego Wojciechowskiego. Stawiał on nowy folwark i zastrzegał sobie naprzód: żeby mu go starostowie nie burzyli.

Najgorzéj jednak było z tym łupem Stejna.

Do prowadzenia wojny, potrzeba koniecznie pieniędzy a tych Jan Kazimierz nie miał, szlachta nie mogła a duchowieństwo nie chciało dać. Trzeba się było chwycić ostateczności i za pozwoleniem Rzymu żądać pomocy od kościołów.

Zaraz pierwszych dni maja zjechał ksiądz komisarz królewski z jurystą, w assystencyi kapitana, officerów i wojska: po srebro kościelne i udali się na zamek. Niebawem przyszedł pan Werbski dworzanin starosty Lubomirskiego i zawezwał księdza Kustosza: Jana Witaliszowskiego, aby otworzył kościół i wydał skrzynie Stejnowéj żony pułkownika szwedzkiego. Ksiądz kustosz się wachał lecz przeczytawszy zezwolenie legata papieskiego i biskupa krakowskiego otworzył zakrystyą i wydał skrzynie. Było ich kilka a wszystkie pełne: złota, srebra, klejnotów i bogatych materyi. Sławetni: Frankowicz i Kopeć którym ona szwedka skarb swój powierzyła i pamiętać o nim przykazała, zdziwili się nad wielkością bogactwa i łupu po dworach a najwię-

céj kościołom zabranego. — Roku 1659 kiedy kraj był w bespieczeństwie, — a ksiądz kustosz Witaliszowski w Bogu już odpoczywał; zebrała się kapituła kollegiaty w Nowym Sączu a przełożony ksiądz Grabowski wraz z przytomnemi uradzili: — Ponieważ między srebrem, złotem, szatami i materyami w skrzyniach niewiasty szwedzkiéj, podczas zdobycia miasta, na ręce sławetnego Frankowicza i za wiedzą sławetnego Kopcia do przechowania w kościele kollegiaty, złożonych było wiele naczyń kościelnych, i przyrządów ołtarzowych przez szwedów z różnych miejsc kościołom zabranych; ponieważ te przedmioty po wypędzeniu szwedów w kościele zostały i według prawa kościołowi na własność przypadające przez pana Werbskiego i innych ludzi groźbą i niemal siłą zabrane zostały, więc panowie Kapitularni wzywają sławetnych: Frankowicza i Kopcia, aby spisawszy regestr tych rzeczy spisali i przedłożyli, gdyż kapituła w swoim czasie prawnie upominać się o nie zamyśla i zastrzega sobie. — Wyższe jednak władze kościelne musiały rzecz tę inaczéj brać: bo niebyło nadal mowy o procesie.

Przy odbieraniu zaś tych skarbów wydało miasto: kapitanowi i ludziom królewskim piwa dwie beczki; i znowu dla oficerów króla JMci i ludzi jego ćwierć mięsa i znów beczkę piwa; dla X. komisarza który po srebro kościelne przyjechał półtora garnca wina, a za owies i siano złp. 4; juryście garniec wina i wiertel owsa; i znów ryczałtem owsa wierteli 6 za złotych 6; i 4 garnce wina młodego i chleba za złp. 1 gr. 10; i dwa garnce starego wina panu Gierlichowskiemu komendantowi.

Trwoga szwedzka jeszcze nieustała. Królowa jeszcze w marcu zdaje się chciała wracać do Polski a między wydatkami miasta z końca marca stoi: Posłowi który jeździł po rzeczy królowéj Jéj Mci z końmi złp. 2 gr. 20.

Chorągwie i kompanie: Werchockiego, Wilkoszewskiego, Gizy, Czarnieckiego (pod kapitanem Krzysztofem Wąsowiczem), Wierzbickiego; w przechodzie lub załogą stawały w mieście, a szpiegowie wywiadywali się o Szwedach w około: W Dobczycach, Czchowie Wiśniczu, Tarnowie i aż w Opatowcu.

W końcu sierpnia zapisano: Posłowi który się powracał z rzeczami królowéj JMci złp. 3 gr. 10.— Krolowa już wróciła do Polski i z Warszawy do Łańcuta uciekać musiała na początku sierpnia. Ale poseł ów widać niewiedział o tem.

Podczas kiedy Czarniecki i Lubomirski Jerzy wszystkie siły skupiwszy z Karolem Gustawem walczyli, korzystał Wirc gubernator krakowski z sposobności i wysłał wypędzony z Nowego Sącza oddział, aby mszcząc się na góralach, naprawiał sławy. Dowodził niemi Forgel powtórnie z niewoli polskiéj na słowo honoru iż przeciw królowi walczyć nie będzie uwolnion.

Palili więc i pustoszyli Szwedzi Pogorze i mścili się nad ludem. Kościoły zaś szczególnie były przedmiotem zemsty.

W Nowymtargu spalili farę a ksiądz Bytomski pleban nowotarski musiał się zapożyczyć u mieszczanina: Klemensa Mende aby kościół pokryć.

Jest tam zaś przy mieście modrzewiowy przez pokutujących jak podanie niesie zbójców, stawiany kościołek Stéj Anny. Szwedzi chcieli go koniecznie spalić, ale w żaden sposób nie mogli bo cudem niepojętym, niechciał się zająć. Do dziś dnia istnieje tam rodzina: Starczewskich, (Stark??) pochodzenia szwedzkiego, nosząca przydomek: Szwed! — Na każdego z nich przy lada sposobności wołają ludzie: Ty! Szwedzie! coś chciał

a nie mógł S. Annę spalić. — Nawet na dzieci pasące inne pastuszęta tak wołają.

Piechota spiska z Gerlichowskiem odeszła, a komendantem Nowego Sącza był: Giza, kapitan.

Niezaniedbywał on żadnéj ostrożności i wcześnie się przygotowywał do wytrzymania napadu Szwedów. Miasto żywiło ciągle więźniów szwedzkich, aby więc darmo nie jedli użył ich do robót około murów miejskich, do pomocy Gryglowi murarzowi miejskiemu, bo prócz dziury w kącie za Dunajcem, było nie jedno naprawić.

Sprawiło miasto ośm beczułek do windowania prochów z ratusza na wieże. Na baszcie rzeźniczéj i kuśnierskiéj kazał zrobić nowe wiązanie pod strzelbę i nowy żelazny klin do działka. Także: *pewny kunszt na municyą miasta* — do czego trzeba było pięć fur buczyny. Rynsztok ów przy bramie krakowskiéj niebezpieczny już dawniéj zamurowano. Kiścienie? pod żelazo do murów? — narobił stolarz już poprzednio. A musiało coś wiele tego być kiedy dostał aż złp. 10 za to. Kołowrot u bramy krakowskiéj naprawiono i tarcicami obito; zwod sporządzono. Przykopę wybrali i wyczyścili pracowici: Piątkowianie, poddani miejscy.

Tak więc spokojniej wyglądano Szwedów tem bardziéj że i strzelanie do tarczy się odbywało na generalnéj monstrze; podczas której zapłacili panowie (*rajce*) 3 achtele piwa: jeden dla mieszczan; drugi przedmieszczan; trzeci dla *wsianów* (*sic.*) „aby: *accidente aliquo casu*, ochotniéj szli do murów i obrony“. — Sami zaś panowie którzy na téj monstrze prezydowali, wypili wina garncy 3. Regimentarze wojska tego miejskiego dostali garniec wina, dobosz gr. 12; a na piwo dla różnych osób znaczniejszych którzy byli *presentes* przy téj *monstrze* dali panowie: groszy 18.

Skoro się zaś wieści o Szwedach stwierdziły wysłał pan kapitan Giza posłańca do Muszyny do pana starosty, donosząc wcześnie i prosząc o posiłki. Wysłał oraz *szpiegaczów* ku Tarnowu, dowiadywać się kędy się obracają wojska szwedzkie i polskie; do Wiśnicza zaś spalonego i opuszczonego przez Szwedów wysłał na szpiegi a oraz i z listem do p. Majora (Gerlichowskiego?) prosząc o przysłanie zdatnego puszkarza. Także za Rabę i do Starego Sącza powysełał.

Że zaś ołowiu trzeba było kazał zabrać z rurmuza (wodociągu) gdzie go wiele było do lutowania rur.

Szpiegowie wrócili a od Starego Sącza nadbiegły złe wiadomości o zbliżających się Szwedach. Pochwycono też jakiegoś nieznajomego szpiegującego: co się w Nowym Sączu dzieje? — Więc go oddano katowi aby go badał. Jakoż wzięty na męki wnet wyśpiewał: że Szwêdzi już idą na Stary Sącz. — Czemprędzéj dano znać do Muszyny, a pan starosta Muszyński co tchu przypadł na pomoc.

Wdzięczne miasto przywitało go 6 garncami wina. Lud jego przeszedłszy łabowskie góry stał obozem w Jamnicy o pół mili od Nowego Sącza w wyniosłéj kotlince zkąd niepostrzeżenie wszystko widać i miastu na równi każdéj chwili w pomoc bieżeć można było. Tam wrócił się i starosta Muszyński a mieszczanie posłali mu pieczeni wołowéj za złotych dwa, a chłopi którzy z niem przyszli; dostali piwa za złp. 7. — Rozesłano też o dalszą pomoc. Pod Pilzno pojechał konno St. Górecki pod chorągwie aby się wróciły, a do Krościenka jechał inny goniec, lewym brzegiem Dunaju: aby chłopów górali sprowadzić na załogę miasta. Panowie mieszczanie jak widać, niedowierzali swéj odwadze. — Dowiedziawszy się: że pod Tuchowem kilka chorągwi polskich stoi posłali i tam *kursora*: aby się chorągwie wróciły.

Ale i Szwedzi niedowierzali. Zamiast więc kuszenia się o Nowy, rabowali Stary Sącz; a rabowali go bezpiecznie bo to miasteczko nie warowne i zewsząd otwarte. Chcieli palić kościoły i byliby może uczynili gdyby nie poświęcenie Szablika wójta tegoż miasta. Wedle podania mieszkał on na podzamczu gdzie dziś cegielnia miejska, a był bardzo bogatym i bardzo poczciwym. Cały swój majątek oddał Szwedom prosząc i żebrząc: aby tylko miasta i kościołów nie palili. Jakoż odstąpili nie tak może zmiękczeni prożbą jak może lękając się zemsty ludu i chcąc łup uprowadzić.

Po ustąpieniu z Starego Sącza (na początku września 1656), odgrażali się Szwedzi jeszcze na Nowy Sącz od Krakowa. Więc wysełano częste szpiegi do Czchowa i nawet aż za Rabę. Raz postąpili już byli pod Czchów, więc miasto czemprędzéj wysłało gońca do Muszyny z listami do starosty tamecznego o pomoc i do Tuchowa, dowiadować się o chorągwiach polskich.

Niebawen też nadeszedł Gerlichowski z swą piechotą. Natychmiast wysłał kozaka do Warszawy, a gońców do Muszyny, Czorsztyna i Nowegotargu aby powstawali i gromadnie uderzali na wroga. Przejechał też i poseł królowéj JMści bo rzeczy na Szląsk wróciwszy na powrót przywozić miano; a królowa była już we Lwowie.

Szczęśliwie powrócił zdaje się pod osłoną górali i piechoty spiskiéj. Ale w Nowym Sączu musiał się trzy dni zatrzymać, aż do przybycia piechoty Muszyńskiéj; podejmowany od miasta piwem i miodem. Skoro zaś P. Żylicz rotmistrz piechoty Muszyńskiéj nadciągnął, pojechał sobie daléj a przedmieszczanie nowo-sądeccy odprowadzali go aż do Biecza.

Kapitan Giza w krótce odebrał rozkaz pochodu pod Kraków. Posłał przodem posłuchy a ubezpieczywszy się poszedł sam a mieszczanie odwieźli rzeczy jego aż na

miejsce; bo Lubomirski marszałek podstępywał pod Kraków. Chłopi z Piątkowéj odnieśli armatę do obozu.

Pierwszych dni września przejechał poseł turecki przez Nowy Sącz dążąc także pod Kraków do Lubomirskiego marszałka. Uprzedzone o jego przybyciu miasto dało szafarzom swym pieniędzy na rozchody: tego posła tureckiego i na pisarzów kwarcianych i na więźniów szwedzkich, których prowadzono na Lubownią i na inszych więźniów razem złp. 102 gr. 18.

W połowie października nadjechał do Sącza sam Jerzy Lubomirski marszałek koronny, a za niem przyciągła łanowa piechota pod kapitanem Śladkowskim. Miasto uradowane przyjmowało marszałka uroczyście jako zbawcę miasta i Ojczyzny, i ofiarowało na przywitanie: dwie parze jarząbków za złp. 2. — Ale Jerzemu Lubomirskiemu wtedy pewno przez myśl nie przeszło: że za lat dziesięć, od tegoż samego Jana Kazimierza którego obecnie ocalił, od czci i wiary odsądzon, smutno do swéj ulubionéj Sobotki na Spiż uježdżać będzie. Ani tego przeczuwał: iż w tym samym kościele kolegiaty, gdzie obecnie wśród nieprzeliczonego ludu radosne Bogu dzięki składał: że utrapiony i znękany, Bogu żal swój ofiarując srebrną koronę cierniową z własną u spodu liciną jako *votum* nabożne powiesić będzie miał powody: zaznawszy żalu jaki sprawia wieniec wawrzynowy w cierniową zamienion koronę. — Korona ta istniała na wielkim ołtarzu w górze aż do niedawna; wraz z innem srebrem zabrana do mennicy w r. 1811. Nawet piśmienny ślad zaginął i ledwie ocalały szczątki inwentarza z roku 1749 a pod 41mo stoi: *In majori Altari*, korona cierniowa; na (*tabliczce?*) *effigies Lubomirij picta*, z krajami w srebrne floressy.....

Miasto Nowego Sącza uspokojone co do Szweda, zwróciło całą uwagę na zbójce i opryszki górskie: bo też nazbyt się wzmogli i szukając stonników szwedzkich w około dwory i drogi napadali. — Ale o tem osobno!!

Szczęsny Morawski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Wspomnienie o Zygmuncie Krasińskim.

Les grands poëtes ne sont pas des instrumens passifs, de simples échos de leur siécle; investis d'un double pouvoir, en même temps qu'ils le représentent, ils le gouvernent.

W przeciągu niespełna czterech lat gaśnie drugi wielki wieszcz narodu.

Po Adamie, Opatrzność powołała do siebie Zygmunta.

Każda inna literatura jak nasza, zniosłaby stoiczniéj podobne ciosy. Gdzie indziéj żal po wieszczu ledwo zastygłym, prędko przeszedłby w rozpamiętywanie, rozkładanie i przymierzanie jego pism, jego wpływów; przetrząsniętoby go do nitki, zważono na drachmy, wyzyskano do ostatniéj kropli esencyę myśli — zgoła usypanoby mu mogiłę z książek, tak samo powstałych z jego ducha, jak z ciała rozkładającego się powstaje robactwo.

U nas poeta długo zostaje ze swemi tworami. Gmin wierzy że po śmierci człowieka dusza przez trzy dni

krąży nad ciałem; podobnie i my dla wybranych duchów przeciągamy ten pobyt dopóki nieprzejdziem wszystkich stopni upojenia się ich treścią, dopóki ich ogień, czucie, wiara, aż do marzeń, niewcielą się w nasze życie. Na nóż anatomiczny dość będzie czasu; pokąd urok i czar żyjącem słowem wprost działa, póty wierzymy że wieszcz pośród nas czuwa.

Bolesna rzeczywistość wydaje się być snem, ale snem obłąkania, jak owego starca w Nocy letniéj, co woła: „Sen uparty, długi, przeklęty, ale wkrótce ranek być musi, i przebudzę się“.

Żal głęboki ma to do siebie, że milczy; bo wielkość straty niedaje się zmierzyć żadnym znakiem zewnętrznym.

Gdzie literatura jest jedynym żywotnym objawem wewnętrznego życia, co jak kwiat przyjmuje w siebie rosę niebieską i patrzy w słońce, tam każda strata, każdy ubytek, podwójnie dotkliwe. Jeżeli w téj napowietrznéj Jerozolimie opasanéj murem słów świętych i wielkich zaklęć, runie jedna i druga obronna wieża; jakiż to powstaje wyłom w państwie ducha! Czujna straż trudzi się wprawdzie naprawą muru, ale czyż robota jéj, zastąpi wiązania samorodnéj skały?....

„Kto jest poetą — ten nie żyje długo“.

Przeczuciowe te słowa napisał Zygmunt Krasiński przed dwudziestu kilku laty, kiedy mu jeszcze młodość uśmiechała się, kiedy trudno wierzyć w utratę zdrowia. I odgadł na nieszczęście, jak wiele innych rzeczy, które umiał wieszczo zgadywać.

Żył krótko, bardzo krótko — nie życiem poety, bo tem żył najsilniéj i przez nie zdobył sobie państwo szerokie — ale życiem rzeczywistem, obywatelskiem, co się zasiąga w służbę twardego obowiązku, prozaicznych konieczności, co się skazuje na codzienną ofiarę z godności, z dumy, przekonań, co wszystkie siły, nawet fizyczne, wytężać musi aby się na stanowisku utrzymać.—

Takiego życia prawie niezakosztował; nie żeby nieczuł wzniosłości jego, lub nierozumiał potrzeby — lecz że wcześnie uniesiony skrzydłami Anioła poezyi przesiadywał na kopułach i ruinach grodu wiecznego, na szczytach Alp i Apeninu, aby z tych wyżyn orlem spojrzeniem zdobywać szerokie horyzonty dziejów ludzkości i w wielkich kartach czytać wyroki bliższych przeznaczeń.... Nie był to latawiec oderwany od ziemi — raczéj lutnia któréj struny uwiązane u rodzinnego zagona, oddawały każde drgnienie w sferze wysokich jego dumań... „Poezyję nosił — że zastosuję jego własne wyrazy — gdyby gwiazdę na czole swojem, a nieoddzielił się od jéj miłości przepaścią słowa. On kochał ludzi...*)“ a że niedopełnił drugiéj części zadania, to nie skutkiem przeniewierstwa Bóstwu poezyi, pojmowanemn, jak on go pojmował....

Zygmunt Krasiński zmarły na dniu 23 lutego b. r., urodził się w r. 1811 — w tym samym Paryżu gdzie i ostatnie tchnienie oddał. Ojcem jego był Wincenty hr. Krasiński wówczas adjutant Napoleona Igo, matką księżniczka Radziwiłówna. Pod okiem ojca miłującego nauki, odbierał bardzo staranne i gruntowne domowe wychowanie aż do r. 1825, w którymto czasie wszedł do szóstéj klasy liceum Warszawskiego. Wybornie ćwiczony w greczyźnie i łacinie, obeznany ze starożytnymi klasykami, wcześnie zdobył to wszystko, co człowieka robi zupełnie światłym i jak to mówią: do ludzi. Po ukończeniu Liceum przeszedł do Uniwersytetu, i z wiosną w r. 1828 wyjechał do Genewy. Odtąd życie jego było ciągłą podróżą po Szwajcaryi, Niemczech, Włoszech, Francyi. — Do

*) Nieboska Komedya. — Wstęp.

kraju rzadko przyjeżdżał, chyba tylko w ostatniéj konieczności — chociaż sercem ciągle żył między swoimi. Położenie jego było wielce trudne w stosunkach jakie go najbliżéj łączyły; niechcąc też uledz pokusie, którą w tak wymownym obrazku późniéj odmalował, trzymał się zawsze z daleka od ponętnych, a śliskich dróg próżności. „Widoma rzeczywistość nieprzemogła w nim nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą“ *). Z resztą do tych wieloletnich pielgrzymek po obcych krajach, zmuszały go najróżnorodniejsze choroby, rozwinięte przedwcześnie. Ciepły klimat, najzawołańsi lekarze — wszystko to ciągnęło go w nowe coraz strony, zwłaszcza takie, gdzie znajdował wdzięk uroczy natury, zasoby naukowe, i towarzystwo miłych przyjaciół jeszcze szkolnych z którymi mógł oddawać się ulubionym rozmowom o rodzinnych stosunkach. Sprawy domowe znał też wybornie nietylko z oczytania się w bieżącem piśmiennictwie, ale z opowiadań ustnych i korespondencyj, co mu przychodziło z łatwością, gdyż każdą rzeczą zajmował się gorąco, i z tą miłością, która klucz daje do wszechwiedzy, a raczéj najłatwiéj przenika tajemnice serca ludzkiego.

W pełni młodości zagrożony utratą wzroku, długoletnich potrzebował starań aby ocalić oczy. Może to wtedy skreślił tę rozdzierającą scenę w *Nieboskiej* gdy przywołani lekarze uznają że Orcio na zawsze oczy postradał. Zapewne w tych słowach Orcia jego własny jęk się rozlega?

„Precz odemnie ciemności — jam się urodził synem światła i pieśni. — Co chcecie odemnie — czego żądacie odemnie. Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd, i oczy moje rozogni płomieniem“.

---

*) Noc letnia. Berlin 1850.

Następnie rozwinęły się choroby nerwowe, tak zwykłe u ludzi czucia i wyobraźni, zwłaszcza gdy tym dwom władzom nietylko pozwolą zapanować nad sobą, ale jeszcze podniecają je wytężając na utwory które dla tego tak potężnie działają na drugich, że wola twórzyciela nieszczędziła ich do ostatniéj kropli, do ostatniego połysku. Znać to w każdym rysie jego pióra że je maczał w krwi serca; w każdym objawie uczucia, że je przebolał, przecierpiał, wypłakał. Nie urojony to sentymentalizm — ale rzeczywistość jego wnętrznego nastroju przepalona trawiącą gorączką natchnień poezyi — tym „nieznośnym gościem“ jak go nazywa Kochanowskiego Kassandra. Stan ten, który niemógłbym nazwać chorobliwym w znaczeniu ujemnem tego wyrazu, ale stanem najwyższego sił duchowych wytężenia, odbił się tak wyraźnie w pismach jego, nacechowanych dziwnem jasnowidzeniem, prawie proroczością. On sam wiedział o tem usposobieniu swojém, o tym wielkim przymiocie bez którego niema najwyższéj i najgłębszéj prawdy poetycznéj, kiedy robi wyrzut Juliuszowi że nie głębszego głosu, tylko kaprysów fantazyi słucha.

W bańce własnych siedząc marzeń
Nie przeczułeś zdarzeń?
Niewcieliłeś się w to ciało
Co tak cierpieć miało!
Ach! niewziąłeś ran — przed ciosem
W pierś twą magnetycznie —
Aleś jednym wciąż piał głosem
Tylko fantastycznie.

Kto pierś swą otworzył na wszystkie bóle, i pozwolił szturmować w nią falom wypadków póki niepękła — ten z życia zrobił ofiarę; taki poeta niemógł żyć dłu-

go. — Galopujące suchoty sprowadziły mu śmierć prawie nagłą, w wieku, co choć niedoszedł jeszcze kresu męzkiego peryodu, ale już dźwigał na sobie dwadzieścia lat nieprzerwanych cierpień i dolegliwości.

Żywot tego męża zbyt trudny do skreślenia, nietylko z przyczyn których wymienić niemam potrzeby, lecz jeszcze i z téj, że się różni od zwykłych żywotów naszych znakomitości umysłowych, zazwyczaj dotykalniéj spojonych z ogółem pośród którego żyli. Szczegóły życia, koleje losu, walki z niedostatkiem, łamanie się z opinią, z wyobrażeniami pewnych szkół, udział w pracach publicznych, aż do najdrobniejszych przygód, właściwości charakteru i anegdot — wszystko to interesuje świat literacki i nieliteracki. Znając dzieła, autora każdy pragnie poznać lub sobie wyobrazić jak wygląda, jaki w codziennem zachowaniu się, jakie ma oryginalności? i tym sposobem przez znajomość bliższą z człowiekiem dopełnia sobie jego pisma, i nawzajem pismami dopełnia człowieka. Świat bowiem zawsze niedowierzający lubi tę kontrolę może z obawy by niepadł ofiarą słów igraszki, a prędzéj jeszcze dla tego, że nierad oddzielać twórcy od utworu. — W niniejszym przypadku świat nasz zna dzieła Zygmunta, a o ich twórcy wie tylko w ogólnych rysach: że się urodził w pańskim, zamożnym domu, że przystęp do skarbów wiedzy stał mu otworem, że czego zapragnął, mógł mieć — zgoła droga życia ścieliła się mu różami... a jednak, nigdy niesłychać było aby z tych łask fortuny głośno korzystał — przeciwnie, imie jego wymawiano po cichu, ze czcią, dodając z westchnieniem: On chory — on nieszczęśliwy! — kiedy tylu tak łatwo szczęśliwymi się czują, nawet w mniéj pomyślnych warunkach bytu? — Była to zagadka, którą niewszyscy umieli rozwiązać — a jednak tłómaczy się ona wymownie utworami poety, rzucanemi w świat bez nazwiska, lecz mimo tego po-

zwalającemi odgadnąć, kto był tym nieznajomym? Wcielić się w pracę ogółu, cierpieć jego cierpieniem, czuć każde drgnięcie, spuszczać z wyższych sfer ducha krople balsamu, wskazywać niechodzone tory aż do gwiazd, zapalać kwiaty wiary i miłości — a często ostrzegać proroczem słowem, lub piorunami spędzać z krzywych dróg, któremi ciągnął obłęd i zepsucie wieku — oto jego zawód. Pod tym ogromem zadań, możnaż było bawić się szczęściem pospolitego dziecka fortuny, usypiać — jak mówi Mąż w Nieboskiéj: „Snem odrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta“. — „Swiat cały jakoś zasnął w około mnie, na podobieństwo moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecie ma mi się naradzić, myślałem o mamce“.— Prawdziwe to męczarnie nowego Prometeusza przykutego jak do skał Kaukazu, do téj rutyny życia w któréj na lekkomyślne błyskotki drobnych uciech, czczych zajęć, rozpraszają się najcenniejsze skarby ducha! Zygmunt umiał się skupić, umiał oderwać się od tego, co gmin szczęściem nazywa, a co najczęściéj jest snem żarłoka, snem fabrykanta. Zapewne tem szczęściem niebył on szczęśliwy! Ale zato kochać wszystko co wielkie, szlachetne, piękne, gardzić poziomem i podłem — niejestże to żyć ciągłą poezyją?!

Niemając szczęścia znać osobiście autora „Nieboskiéj“ powtórzę, co mi o nim wspólny nasz przyjaciel pisze.— Wyrazy te rzucone w liście nieprzeznaczonym do publikacyi, niemogą rościć sobie prawa do skończonego wizerunku, a tem mniéj, do obrazu życia poety — jest to raczéj doraźne wspomnienie, skreślone pod wrażeniem świeżéj wieści o śmierci przyjaciela. „Tylko pośród nas mogła się pojawić podobna anormalna pozycya, aby wielki poeta i cnotliwy obywatel, wypierał się przez całe życie swojéj chwały literackiéj, i krył się z zacnemi uczynkami, jak inni kryją się z podłością i

występkiem, a wszystkie usiłowania wytężał na to, aby marne zaszczyty i błyskotki, za któremi próżność tak goni, omijały jego osobę. . . . Bóg zlał na niego wielkie dary; dał mu miłość i szacunek ziomków; wielkie serce, umysł jenialny; Żonę piękną, cnotliwą, i najzacniejszą z niewiast — miłe i dorodne dzieci — licznych i wiernych przyjaciół — nakoniec znaczny majątek. Brakło mu tylko zdrowia, i tego — czego niedostawało Alfowi. . . . . Banalnych i pstrych rozmów nielubił, i dla tego stronił od modnych salonów. . . . . Najmilszą mu była wieczorna pogadanka z kilkoma przyjaciołmi, rozmowa gorąca, poważna, szczególniéj z historyi i filozofii w pytaniach najżywotniejszych. — O jakże świetniała wówczas jego wymowa! Jakie zdrowe i wielkie myśli wybłyskiwały z tych improwizacyj! Nieraz słuchając go z uwielbieniem, myślałem sobie: gdyby ten mąż był anglikiem lub francuzem i miał przystęp do publicznéj mównicy, stanąłby niezawodnie narówni z Pittem i Burkiem, z Guizotem i Thiersem, stanąłby na równi rozumem i mową — a sercem, niezawodnie by ich przewyższył. — Bogobojny, wylany dla rodziny i przyjaciół — dobroczynny, prawie do rozrzutności. . . Można zastosować do niego własny jego wiersz w którym scharakteryzował zasługi Rycerstwa:

On się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzu swéj ojczyzny.

Trudno, niepodobna prawie było skreślić charakter wieszcza we wszystkich położeniach jego życia, gdy to życie objawiło się nam jakby za zasłoną, i w kilku oderwanych szczegółach — z resztą niejest to chwila do odrysowania téj postaci, kiedy żyjemy pod wrażeniami jéj utworów, zawsze tak świeżych, tak jeszcze niewy-

czerpanych jak koleje przyszłych wyroków. — Nieprędko też i sąd o dziełach i o człowieku dojdzie do ogółu w zupełności; najwięcéj jeżeli ułamkowe pokażą się studia, z których kiedyś powstanie więcéj zaspakajająca całość. Późniejszemu pokoleniu pozostawioną jest ta swoboda uczuć, na jakiéj nam zbywa; znajdujemy się bowiem w tem samem usposobieniu w jakiem znajduje się publiczność na drodze z teatru do domu. Widowisko się skończyło, ale promienie różnorodnych wrażeń nie zbiegły się jeszcze w ognisku sądu. W spokoju tylko, w zaciszy dumania, wzruszony umysł może się zebrać i zdać sobie sprawę z tego, co widział i czuł, aby poznał co ma na wieki w nim zostać, a co odpaść jako niepotrzebne. Im wyższe szczyty gór, tem więcéj trzeba oddalić się od ich podnóża aby cały ich majestat przejrzeć i ogarnąć. Któż potrafi dziś ocenić donosność takich kreacyj jak: Nieboska, Irydyon, Sen Cezary, Legenda i tyle innych tego pióra. Wielkie te pochodnie pozapalane na szczytach kapitolu i kopuły Św. Piotra, na Alpach i na wieżach katedr gotyckich, biją w niebo, ale odblask ich niepolał się jeszcze strumieniem światła po nizinach ziemskich. . . .

Wieszcz myślał o wiekach, kiedy pisał. . . .

Pragnąc, o ile da się, uzupełnić wizerunek zgasłego męża, wypadałoby wyliczyć jego prace, od najpierwszéj młodości, opierając się na niepewności podań przypisujących mu ten i ów utwor, albowiem pod żadnym nigdy niepołożył swego nazwiska — rezygnując z téj sławy, która w pojęciu wieszcza sięgającego po najwyższe cele prawdy, była niczem innem tylko tym orłem zdjętym z palu a wypchanym w piekle, co pokuszał Męża w „Nieboskiéj“.

Kiedy jeszcze był uczniem Liceum, napisał powiastkę historyczną z wojny trzydziestoletniéj pod tytułem: *Grób Rodziny Reichstalów*, drukowaną w dodatku literackim

do Korespondenta Warszawskiego. O ile pamiętam utwor ten zwrócił na siebie uwagę publiczności, i zapowiadał pisarza wyższego rzędu. Że to była epoka romasów *à la Walter Scott*, więc i Zygmunt idąc za nią doświadczał swego pióra na przedmiocie z dziejów ojczystych; tym sposobem powstał: *Władysław Herman i dwór jego* drukowany w Warszawie r. 1829. Znalazł się i drugi taki utwor pod tytułem: *Zawisza Czarny*, lecz ten nieujrzał światła, albowiem rękopis w przesyłce z Genewy do Warszawy pod koniec 1830 r. zaginął. — Dopiero w cztery lata (1834) wydana we Wrocławiu powieść historyczna: *Agay-Han*, z początkowemi literami na tytule: A. K. narobiła więcéj hałasu w świecie czytającym. Autor wziął przygody Dymitra i Maryny, a osobliwie charakter ostatniéj przeprowadził przez rożne koleje miłostek i żądzy panowania. Styl brylantowy, podziwiany późniéj w Nieboskiéj i w Irydionie, występuje tu z całą młodzieńczą bujnością, a raczéj przesadą.....

Na tem się kończy poczet prac młodzieńczych Zygmunta. Odtąd zczyna się okres utworów które odrazu, wstępnym bojem zdobyły sobie najprzedniejsze miejsce w literaturze: Nieboska komedya — Irydion — Trzy myśli pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie — Noc letnia — Pokusa. — Są to poemata w formie dramatycznéj lub powieściowéj pisane poetyczną prozą; — Zygmunt bowiem acz urodzony poeta długo niemógł się odważyć na wiersze — dopiero około 1845 r. ogłosił pierwsze poezye swoje w odpowiednéj formie, i prędko zrównał najlepszym wzorom.— Odtąd w pięciu poematach przemawiał tylko tym językiem bogów, niekiedy przewlekle i zawile, lecz często w wielkich momentach poetycznego natchnienia wysokością i namszczeniem Dawidzkich psalmów.

Spuścizna pism nieogłoszonych drukiem ma być dość znaczną; — mówią o dwóch częściach nieznanych jeszcze „Nieboskiéj komedyi“ — i o poemacie mistycznym: Ś. Teresa. Co do ostatniego czytaliśmy osobno drukowaną szczytnych piękności jego glossę do znanych słów Ś. Teresy zamkniętych w tekście tych wierszy hiszpańskich:

Vivo sin vivir en mi
Y tan alta vida espero
Que muero porque no muero!

(Żyję nie żyjąc w sobie, a życie którego pragnę tak jest wzniosłe, *że umieram dla tego że nieumieram!*).

Poeta myśl tę mistyczną tak wyraził:

Przed życiem czuję, nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski, grobową żałobą;
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Dotąd drukowano tylko ułamek (Kraków 1858) będący zapewne częścią większego utworu, w duchu tak odpowiednim usposobieniu wieszcza, który pierwszy znalazł u nas ten język niemateryalny i najdelikatniejszych cieniowań, oddający myśli i uczucia z świata tajemnic nadziemskich, język oczyszczonego ducha co się rozpływa w rozpamiętywaniu rozkoszy niebiańskich zgotowanych tym co wielką miłością Chrystusa pałali za życia.....

Ten jest bukiet słonecznych kwiatów któremi posypał naszą ziemię umiłowaną przez niego najczystszą miłością, miłością bez cienia samolubnéj przymieszki nazywającéj się sławą autorską... a jednak sława ta, nie jak „orzeł wypchnany w piekle“, ale jak rosa łez wdzięczności osiędzie na murawie jego mogiły.

Jakie miejsce zajmie zgasły wieszcz na naszym Parnasie? Obok którego z wybranych stanie, czy między innymi zasiędzie? Czy też weźmie państwo udzielne? — Są to pytania przedwczesne i niepotrzebne, aby wyrywać się z niemi, jak to już w mowach i pismach często obiło się o moje uszy. Czy większy Adam, czy Zygmunt większy? — pusty spór o hierarchię w państwie gdzie miejsca niebrak na wiele słońc; pusty spór i dla miłości naszéj; dla sądu zaś o donosności wpływów każdego z nich, nieprzyszła pora. Oba oni — jak już mówiłem — pisząc, myśleli o wiekach; i wieki też sądzić ich będą, z tych wszystkich stron jakie się odsłaniają dopiero z biegiem lat, zmianą stosunków i pokoleń... dziś, można ledwo coś powiedzieć o charakterze i duchu ich utworów poetyckich, i to jeszcze z wielkiemi ograniczeniami.

Jedno najwybitniejsze piętno w poematach Zygmunta, odróżniające go od wielu poetów jemu współczesnych, jest prawdziwa wieszczość będąca wpływem nie jakiéjś gry fantazyi i kombinacyi, ale wyrazem apokaliptycznych widzeń....

W „Nieboskiéj“ gdzie wystawia walkę starego społeczeństwa z nowem, co wszystko w proch starło, a nawet samego Boga — dziwnie pochwycił ten prąd pojęć burzących jaki przeleciał Europę w lat kilkanaście późniéj, a w którym znalazły się wszystkie te myśli i figury nakreślone nieśmiertelnym pędzlem w jego dramacie społecznym.

Któż zaprzeczy jasnowidzenia téj znowu pieśni gdzie w przeczuciu krwawéj demagogii śpiewa ostrzegająco:

Wszystko, wszystko wiecznie wszędzie
Rwie się w górę z Bożéj myśli!
Z wiecznym Bogiem ten niebędzie
Kto inaczéj świat swój kréśli!

Kto nie szlachcić naród cały,
Lecz chce szlachtę zedrzeć z chwały;
Może chwilkę w gruzach siędzie
Braci zchłopi, lub obali —
Lecz niewzniesie ludu daléj.
Bo wszech świata prawom wbrew
Sennych zbudzi, nie na ludzi,
Zbudzi sennych na zwierzęta!

A jednak Mickiewicz wówczas prof. literatury Słowiańskiéj — rozbierając na katedrze „Nieboską“ obok wysokich zalet przyznanych temu jenialnemu dziełu — które mieni być narodowem — (było to już na trzecioroczonym kursie) — przygania autorowi nieznajomość ducha ludu Słowiańskiego, dla tego, że usymbolizował go w chórze Łokai i Rzeźników — Zdaniem mojem niesłuszny to sąd, z téj miary, że poeta właśnie chciał wydać wyrok potępienia na to, co się dzieje ludzkim wymysłem, a nie po myśli Bożéj. Wymysły ludzkie, fałszywe doktryny, najłatwiéj przecież przylegają do pewnych warstw ludu co liznąwszy tak zwanéj miejskiéj ogłady, pozbył się prostoty i wiary... Widzieliśmy przecież to w rzeczywistości, co profesor naganił w poezyi.— Cała Nieboska, niczem niejest, tylko piorunem gruchocącym tę doktrynę samolubstwa i pychy człowieczéj, co wypowiedziała posłuszeństwo Bogu; — dla tego na ruinach zburzonego świata, zwątpiałemu w siebie bohatyrowi ukazał poeta znak odkupienia — Zwycięztwo Chrystusa. Jest to zatem i pogrom na złe, i ukazanie prawdy wiekuistéj.

Drugi raz Juliusz Słowacki — także w obronie niby ludu — cisnął mu w oczy cudną fantazyją — ale tylko fantazyją — na którą wieszcz odpowiedział zwycięzko, zwłaszcza gdy rzeczywistość przepowiedziana, stanęła jak widmo Piotrowina na świadectwo przy boku Zygmunta...

Autor Nieboskiéj i Irydiona został się zatem sam jeden z namaszczeniem proroczem. . . .

Poezyja nowożytna od czasów Danta niemiała większego tryumfu . . . . Tryumf ten, jeśli śmiem przepowiedzieć, zapowiada nowy jéj okres. . . . . .

Nowy okres w poezyi! Zawoła kto wzruszając ramionami, z niedowierzaniem że może być co nowego pod słońcem.

Mniemam że nikt mię niepomówi jakobym miał na myśli samą sztukę, w któréj już dziś dobrano się do dna, próbując wszystkich experymentów i kombinacyj będących w mocy wiedzy i rutyny; albo jakobym odkrywał tę erę w przerzuceniu się na pole erudycyi i metafizyki, jak to się praktykuje dzisiaj we Francyi gdzie falanga młodych poetów zapowiada szumnie nową erę poezyi mającą *osadzić się na sercu i naturze i żywić się poezyją ludową północy, podobnie jak klasycy żywili się starożytnością* *). Już dzisiaj, mówi tenże manifest, są wyżsi poeci.— W jaki sposób wyżsi; niech mi wolno będzie zapytać? Oto dla tego, że jeden wyraża w harmonijnych wierszach poruszenia swego serca i odkrywa z wielkim kunsztem najtajemniejsze myśli Danta; — inny od zwierciedla w swéj pogodnéj duszy majestatyczny spokój angielskiego pejzażu; ów śpiewa przepychy Grecyi w stylu szczytnym jak homeryczny; znowu inny zagłębia się w najoderwańszy mistycyzm szkoły Alexandryjskiéj, kiedy jego kolega z nieporównanym wdziękiem maluje ułudę czarów kobiecych — ostatni zaś, zapewne najtęższy ze wszystkich, wskrzesza poezyję ludową, mieszając hymny tytaniczne z uroczemi melodyami pasterskiéj fletni. . . . .

*) ... éclosion d'une nouvelle poésie fondée sur le coeur et sur la nature, et qui se nourrira de la poésie populaire du Nord, comme nos écrivains classiques s'étaient nourris de l'antiquité.— Thalés Bernard et l'Ecole allemande par León Rogier Membre de l'Union des Poétes. Paris 1859.

Jestże to co innego, jak rozebranie pomiędzy siebie materyałów poetycznych? — ale gdzie dowód, żeby wschodziła nowa era poezyi? Rzucenie się przecież na przedmiot nietknięty niedaje bynajmniéj namaszczenia na poetę, owszem dowodzi, że boski duch nieraczył zstąpić na niego, kiedy jak turysta znudzony jeździ po świecie i szuka wrażeń, aby mógł opowiadać o nich.— Nowa ta szkoła zapalczywie protestuje przeciw tym, co śmieli na poezyję we Francyi cisnąć klątwę upadku i zgrzybienia.... i czemże się usprawiedliwia? oto że dosiada pegaza erudycyi i metafizyki, że idzie naśladowawać Niemców....

Przytoczyłem umyślnie ten świeży fakt, abyśmy wiedzieli jak uszanować wysokie, prawie kapłańskie posłannictwo zesłanych nam poetów i wieszczów, którzy państwo ducha założyli u nas na szczycie niedostępnym dla przeżytych i szczęśliwych, przez to, że poezyję zrobili nie igraszką pięknie nizanych słów, nie barwnem malowidłem fantazyi, tylko językiem natchnienia, i intuicyi, objawem bożéj prawdy dobytym z wnętrza przez ból, ofiarę, i miłość. Całkiem to nowe państwo, nieznajdziesz go na żadnéj mapie — to państwo ducha! W obłokach mgieł, w promieniach gwiazd i księżyca, w głosach zaświatowych snują się znane, cierpiące, wielkie, święte postacie — niby pośredniki, zwiastuny objawień stające do boju z szatanem padołu, z naszemi ułomnościami i upadkami — z naszą historyą. i sprawa rozstrzyga się w krainie pozaświatowéj...

Piersi ludzka — kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie — patrz?
Gdzie wrzał dawniéj płacz,
Stęk — zgrzytanie — wrzask;
Dziś, z niebieskich łask
Drugi Boży dom!....

Ta myśl, że pierwéj każda rzecz rozstrzyga się w świecie duchów, nim się rozstrzygnie na ziemi, stała się nowym żywiołem naszéj poezyi, wszakże dla tych tylko, co umieli wejść w stosunek z tym światem, rozumieć jego potrącenia i tajemną mowę. Mickiewicz w jednéj z prelekcyi opowiedziawszy treść dwóch poematów Zygmunta: *Sen - Cezary*, i *Legenda*, przytoczył fakt potwierdzający wymownie powyższy dar intuicyjny. „Przy wyjściu ztąd (z kolegium francuzkiego) powiada on — spotkał mię cudzoziemiec niedawno przybyły do Paryża, i wszczął rozmowę o tem że poemat bezimiennego autora wydany przed kilku laty, z którego czytałem tu wyjątki, niekoniecznie jest utworem poetyckim, ale raczéj *opisem widzenia* jakie miał autor, jemu dobrze znajomy. „Widziałem poetę — dodał — pod gorącem jeszcze wrażeniem téj wizyi okropnéj; nalegałem na niego żeby ją zanotował, tym sposobem powstał ten utwór".

Ta więc jest droga którą powstawały w części kompozycye Zygmunta — droga trudna, lecz wielka, rzadka lecz jedyna, dla wielu niepojęta, choć głęboko prawdziwa.

Przy takiem podniesieniu ducha wieszczego, jakże nisko spadają wszystkie z strasznem zarozumieniem budowane dziś rusztowania estetyki, wszystkie metody poetyk i retoryk! Cóż innego ów język doktryn społecznych i dyplomacyi, co na każdą godzinę bełkoce taką prawdę i za nieomylną przedaje, jaka wystarcza na zamaskowanie pozioméj namiętności lub interesu!

Biorąc pochop z powyższéj rozmowy skreślił Mickiewicz przyszły kodex poezyi w tych słowach: kiedyś niebędzie wolno mówić niby z natchnienia wyższego, niebędąc istotnie natchnionym; że ktoby prawił, jak to bywa dzisiaj, o aniołach o szatanach, o tajemniczych rzeczach w naturze, niewidziawszy ich w duchu, będzie miany za bezczelnego.

Tym porządkiem poezyja stanie się znowu, czem była niegdyś w czasach proroków, czem była za Orfeusza i Muzeusza — a wtedy odzyska prawo do względu i szacunku ludzi.

Podniósłem w krótkim tym rysie, poświęconym żywemu wspomnieniu zgasłego wieszcza tę jedną tylko stronę, ten jeden przymiot — który, dla tego że obejmuje wszystko, krom artyzmu w większéj lub mniejszéj ilości — zdaje mi się być wystarczającym do scharakteryzowania autora Nieboskiéj, Irydiona, Legendy i innych jego utworów jeszcze silniéj naznaczonych piętnem proroczych widzeń. . . .

Widzenia — stosunek z zaświatem — czyż niemogą równie obłędną prowadzić drogą, jak wymysły rozumowéj doktryny? Pytanie to nasuwające się tak naturalnie, stawiam sam — uprzedzając tych coby je słusznie postawić mogli. Zapewne — każda droga, mimo Boga, choćby jak pięła się wysoko, musi zaprowadzić na manowce, i im pyszniéj się wzbije, im bardziéj świat omami, tem większe zrządzi klęski i zniszczenia. Można też widzieć w pochodzie kreacyi wieszcza naszego, w przeprowadzeniu kolejnem jego idei, jak się doskonalił wewnętrznie. Z razu były boleśne zwątpienia i zboczenia ku owemu panteizmowi, téj zdradliwéj skale o którą uderzają umysły zbyt entuziazmowane dla bóstwa natury, zbyt skłonne do rozpływania się w uczuciu nieskończoności, i brania go za jedno z owym *Wszech-duchem* pochłaniającym zarówno stworzenie, jak Stworzyciela, świat i Boga. Wszakże obawa była możebną, ażeby poeta szukający duszy symbolów pogańskich i duszy rzeczy stworzonych, niezrobił z niéj tchnienia samego Boga, wszechżycia ponawiającego się od wieku do wieku, nakoniec bożego słowa zformułowanego dla gminu w dogmatach i obrządkach, a dla mędrców zamykającego się w harmoniach i wielkościach ziemi i nieba. . . Że poeta

przechodził przez ciężkie zwątpienia, zdradne systemata, że się cierpieniem, tą pracą ducha wciąż oczyszczał, i zasługiwał wyraża to cudowna strofa jednéj z najpiękniejszych jego poezyj:

Ach! żyłem, żyłem w téj przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą;
Jak Dant — za życia — przeszedłem przez piekło.
Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,
Któréj się wzroku czarne duchy boją;
I mnie też Anioł wybawił z otchłani,
I ja też miałem Beatricze moją! —
. . . . —.
Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła
Co w serce moje, przez twój wzrok, wróciła!

Zamykając krótkie to wspomnienie o zgasłym wieszczu, dodać mi jeszcze wypada czem on jest w dzisiejszem społeczeństwie, i jaka jego waga w świecie umysłowych kreacyi. On to, drugi po Adamie wskrzesił wysoki i poważny typ poetycznego kapłaństwa w literaturze, gdzie tak często znachodzą się lekkomyślni przywódzcy prowadzący za sobą społeczność zwątpiałą i gorączkową w kraje chimer, powabnych zgorszeń, i proroctw zdradliwych — on to lgnących do egoizmu, nurzających się z roskoszą w realizmie, porwał ku ideałom i wiecznéj pięknocie ofiary i miłości. Nieznałem go — lecz patrząc na jego wizerunek stworzony pędzlem Ary-Szeffera, który zawsze umiał chwytać podobieństwo duchowe — widzę na pięknem czole wyraz zadumy, w przyćmionych oczach wzrok sięgający poza światy — a w całym układzie, postać człowieka, co słucha tylko głosów wewnętrznych, co wie naprzód że na drodze którą idzie niespotkają go ani oklaski, ani owacye, ani wrzawa popularności, ani

teatralne wieńce. Prosty i silny, spokojny i zrezygnowany w odosobnieniu swojem, i stojący — że tak się wyrażę, w sprzeczności — nie z rozumem, sumieniem, prawem bożem, uczuciem sprawiedliwości i prawdy w świecie i w duszach, — lecz w sprzeczności, z nikczemnemi namiętnościami, wyrachowaniem egoizmu, zapomnieniem godności, na długo zatrzyma w swéj mocy rząd dusz, powierzony mu w dobrowolnem poddaniu się, chociaż niewziął za dywizę pysznego współzawodnictwa z Bogiem, i niewyrzekł:

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie
Rządzić jak Ty wszystkiemi zawsze i tajemnie.

Takim jest poeta nowego okresu — takiego wzywają wielkiemi głosami inne pyszne literatury świata — i jeszcze niemogą znaleść go śród swoich.

Niedający się poznać za życia, skreślił w przeczuciu, którem tyle rzeczy odgadywał, kilka wierszy, rodzaj *exegi monumentum*, dla siebie i dla swojéj Beatriczy:

My tu skonamy, lecz pieśń co niekona
Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
By jak stróż Anioł, strzedz nas spiących w grobie!

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

PRZYPOMNIENIE POLITYCZNE.

Kiedy w r. 1831 Francuzi zajęli Ankonę, posłowie mocarstw w Paryżu, udali się do prezesa rady ministrów p. Kazimierza Périer, żądając wytłómaczenia się z tego kroku. Rozmowa przybrała z początku ton nieco cierpki, przypisać to jednak głównie wypadało, że minister francuzki, będąc słaby bo mu właśnie stawiano pijawki, w wielkiem znajdował się rozdrażnieniu nerwowem. Po kilku ostrych przemówieniach, zapytał go poseł pruski baron Werther: „czy istnieje jeszcze prawo publiczne w Europie? “ „Jakto! czy istnieje?“ zawołał p. Perier zrywając się z kanapy i stając przed p. Wertherem. „Któż lepiéj o tem wie odemnie, który je ciągle bronię? Czy Pan sądzisz, panie Werther, że to tak łatwo nieprowadzić wojny? Honor Francyi wymagał tego kroku. Zasłużyłem sobie na zaufanie Europy, i na nie liczę.“— Odpowiedź ta zadowolniła dyplomatów jak się zdaje, bo wizyta skończyła się w najlepszéj harmonii, a w kilka dni późniéj p. Périer oświadczył z trybuny w Izbie deputowanych, że zajęcie Ankony nastąpiło w po-

rozumieniu się z dworami a celem jego jedynie utrzymanie i wzmocnienie pokoju.

Po ostatniem oświadczeniu w *Monitorze* zdawaćby się mogło, że Francya chce prowadzić daléj politykę tak śmiało postawioną przez ministra Ludwika Filipa. „Rząd francuzki— pisze dziennik urzędowy— zajmuje się niepokojącem położeniem we Włoszech dla tego aby je załatwić wspólnie z sprzymierzeńcami swymi w interesie pokoju europejskiego“. Francya nie ma już trybuny ale ma *Monitora*.

Lecz polityka p. Périer we Włoszech była jasną i widoczną. Była to polityka wpływu francuzkiego na półwyspie: zajęcie Ankony odpowiadało zajęciu legacyj przez wojska austryackie. Dziś okoliczności są inne. Francuzi są w Rzymie, Austryacy w Ankonie i Bononii; nie chodzi o zajęcie ale o ewakuacyę — a raczéj... któż odpowiedzieć zdoła ze świadomością rzeczy na to pytanie: o co chodzi?

Jest to prawdziwym fenomenem w polityce, aby w kwestyi rzuconéj od trzech miesięcy, tak ważnéj że wszystkie inne stały się w obec niéj podrzędnemi i niezajmują wcale; tak groźnéj, że codzień stawia się pytanie: pokój czy wojna, i to wojna europejska; tak powszechnéj, że wszystkie interesa europejskie są w zawieszeniu od chwili jak ją podniesiono— aby w takiéj kwestyi niewiedziano dotąd o co istotnie chodzi. Inaczéj brzmi ona w mowie cesarskiéj, inaczéj w broszurze która miała być jéj kommentarzem; inaczéj rozprawiają nad nią w parlamencie angielskim inaczéj w turyńskim; inaczéj rozumieją ją w Wiedniu, inaczéj w Berlinie, różnie tłómaczą ją w Niemczech, każdy dziennik ma swoje własne o niéj zdanie, słowem opinia publiczna w Europie niewie dotąd i pyta się ciągle z niemałą obawą: o co chodzi?...

Na cóż by się przydało powtarzać tutaj koleje jakie w broszurach i artykułach sprawa ta od Nowego Roku przechodziła, są one wszystkim wiadome. Sprawdziła się uwaga pełnomocnika pruskiego p. Manteuffla na kongresie paryzkim w r. 1856, który w chwili poruszenia téj kwestyi wyraził obawę, aby przez to postępowanie nie wywołano nadziei i ruchów całkiem nieodpowiednich ideom i zamiarom jakie miano na celu. Coraz więcéj zdaje się silniejszem parciem objawiać przekonanie, że reformy a zwłaszcza obietnice takowych niezaspokoją życzeń i dążności które się w polityce zbrojnéj Piemontu przebijają. Wywołać nadzieje było łatwo; uspokoić je nie zaspokoiwszy, nierównie będzie trudniéj. Któż temu uwierzy, że stan półwyspu będzie spokojniejszy skoro ewakuacya państwa papiezkiego nastąpi? Czy umysły we Włoszech będą zadowolnione, gdyby nawet, o czem jeszcze niema mowy, traktaty Austryi z państwami włoskiemi rewizyi jakowéj uległy? Czy kwestyę włoską tak rozumieją na półwyspie, że zamiana protektoratu Austryi na protektorat całéj Europy, uważać będą za dostateczne rozwiązanie? Otwarcie dwom państwom protestanckim Prusom i Anglii wpływu we Włoszech katolickich, miałoż by się nazywać postępem cywilizacyi? Z resztą protektorat całéj Europy na wschodzie nie okazał się jeszcze w tak korzystnem świetle aby go Włochy biednym chrześcianom tureckim pozazdrościć miały....

Dotyka się tu tylko tych stron które mogą być przedmiotem dyplomatycznych negocyacyj, bo wszakże oświadczonem zostało, że kwestya włoska musi być postawioną dyplomatycznie, i że można mieć nadzieję, iż szczęśliwie na téj drodze rozwiązaną zostanie. Jak dotąd, niewiadomo, czy udało się ją dyplomatycznie postawić. Próbował tego podobno lord Cowley w Wiedniu.

Jedna uwaga, jeśli uczynić ją wolno, nasuwa się tu na myśl. Dyplomacya z polityką osobistą w innych cał-

kiem zostaje stosunkach, niż z polityką jawną i wiadomą. Hrabia St. Aulaire poseł francuzki w Rzymie, podczas zajęcia Ankony wiedział wybornie czego chciał p. Périer wyprawiając wojska z Tulonu do tego miasta. Wątpić można, aby książę Grammont dzisiejszy poseł francuzki w Rzymie, był w tak szczęśliwem położeniu jak hr. St. Aulaire, i znał myśl Cesarza Napoleona gdy podnosił kwestyę włoską. Dyplomacya chcąc skutecznie działać, musi koniecznie wiedzieć co ma osiągnąć, musi wiedzieć o co chodzi?.... Wprawdzie Talleyrand był jak wiadomo wybornym dyplomatą, ale sam się przyznawał że za Napoleona I nie on negocyował ale działa. Nic łatwiejszego, mówił, jak być dobrym dyplomatą, gdy zwycięztwo popiera podaną notę...

Może zanim tych słów kilka dójdzie do publiczności, horyzont się rozwidni i wiadomem będzie o co rzeczywiście chodzi?...

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w marcu.

Kiedy cała Europa wrzała wojną, zgiełk przygotowań wojennych musiał się obić i o Kraków. Miasto nasze przedstawiało też w ciągu tego miesiąca bardzo wojenne usposobienie. Przechody wojsk, kwaterunki, spadek papierów publicznych były oznakami, że to co się dzieje nad Ticino odbija się aż nad Wisłą. Minęły te czasy, kiedy można było powtórzyć słowa filistra we Fauście, że nic wyborniejszego, jak w niedzielę albo w święto rozmawiać sobie o wojnie i popijać piwem, kiedy gdzieś tam daleko w Turcyi biją się; a wracając wieczór do domu błogosławi się pokój. Niech sobie tam łby płatają mój sąsiedzie, niechaj się świat do góry nogami przewraca, byle tylko w domu nic się nie zmieniło. Minęły zatem owe czasy, i dla tego Kraków nietylko z gazet wie o przygotowaniach wojennych. Wprawdzie niebrak u nas na politykach, co przy szklance piwa rozstrzygają losy świata, ale nie dzieje się to z obojętnością owych filistrów niemieckich, których Goethe tak wybornie w tych kilku wierszach odmalował.

Politycy krakowscy mają także swoje wyłączne cechy; żadnego jednak między nimi nie znajdzie, coby

jak w znanym obrazie Hogarta, zaczytał się tak głęboko w gazetę, że nie spostrzegł jak mu się kapelusz na głowie zajął od świecy, lub co z Aloizym Ziółkowskim zjadł gazetę przy kawie zamiast sucharka. Politycy krakowscy tem się właśnie różnią od wielu innych, a może i od wszystkich innych na świecie, że nie czytują gazet, bo im się to zbyt nużącem być zdaje, lecz albo gonią za bajkami i wszystkim pogłoskom prędzéj gotowi dać wiarę niż telegrafowi, albo też zaczepiają jednego z téj małéj liczby wybranych, którzy czytują dzienniki z upodobania lub potrzeby, chcąc, aby im w kilku słowach powiedzieć to wszystko co mieszczą w sobie noty dyplomatyczne, rozprawy sejmowe, narady gabinetowe choćby najskrytsze, a nawet co myśli Cesarz Napoleon.

Są znowu inni politycy, co dowiedziawszy się przypadkiem z dziesiątych ust, że w jakimś tam dzienniku był jakiś artykuł, dziwią się że go nieznajdują w *Czasie*, niebacząc na to, że jeden dziennik nie może mieścić w sobie *in extenso* tego wszystkiego, co nadrukują jednego dnia w Europie; ale powiedzieć im, że to już było innemi słowy powiedziane, innego może dnia, albo że pominięte zostało jako nieważne — nie uwierzą temu. Bo zwykle bywa, że tego rodzaju politycy mają wielkie uszanowanie dla każdego drukowanego słowa. Rozumowanie dziennika lub korespondenta, domysł, przypuszczenie, ewentualność, mają w oczach ich wartość faktu dokonanego.

Inni znów chciwi tylko rezultatów ostatecznych, obojętni są na cały przebieg sprawy choćby najważniejszéj, pytając: No i cóż z tego? Ci wszelako najwięcéj może okazują politycznéj przenikliwości, jakkolwiek nacechowanéj egoizmem.

Rzadko napotka się u nas zaciekłego czytelnika gazet, jakich widywać można po zagranicznych kawiarniach, którzy otoczeni stosem dzienników pochłaniają je codzień wszystkie, i wtedy dopiero wracają zadowoleni do domu, gdy ani jeden dziennik nie uszedł ich ręki. W przeciwnym razie sen mają niespokojny, głód umysłowy dokucza im, bo właśnie w tym dzienniku którego nie mogli do rąk dostać, znajdowało się to wszystko co potrzeba im było wiedzieć. Do dziś dnia mam na sumieniu jednego z takich czytelników. W dziesięciu czy

dwunastu spikniętych, aby go wygnać z ulubionéj kawiarni, gdzie od lat niepamiętnych był postrachem wszystkich czytelników, zbieraliśmy się dzień w dzień o jego zwykłéj godzinie, i pochwyciwszy wszystkie znaczniejsze dzienniki, nie dopuściliśmy go do ich czytania. Kiedy wyciągał rękę drżącą po gazetę, którą jeden z nas już kończył, odbierał znowu odpowiedź: „zamówiona“ i w téj chwili gazeta przechodziła do rąk jednego ze spiskowych, a w zamian za nią odbierało się inną. Kilkogodzinna ta lektura przez dni kilka przywiodła go do rozpaczy. Widywaliśmy go potem krążącego machinalnie z melancholijnem wejrzeniem przededrzwiami, a dość mu się było z daleka pokazać, cofał rękę od klamki i przez cały dzień nie śmiał już zajrzeć do kawiarni. Ile razy pakę gazet z poczty odbieram, przypominam go sobie. Jakżebym mu chętnie udzielił dziś wszystkich gazet, które od deski do deski przeczytać muszę, a nikt niesięgnie po nie ręką z tym słodkiem przymileniem jakie na ustach jego igrało, w którem się malowała nadzieja otrzymania dziennika żądanego i przygotowawczy ruch warg, aby podziękować za grzeczność. Natomiast jakże mi często przychodzi się zdybać z tymi politykami, którzy nigdy gazety nie wziąwszy w rękę, radziby, żeby im opowiedzieć wszystko co się czytało przez cały dzień, przez cały nawet tydzień.

Wielce odmienną jest od powyższych czytelników gazet, owa klasa prenumeratorów stałych, co w jednym zamiłowawszy się dzienniku, żyją jego życiem, myślą jego zdaniami, rozprawiają jego wyrażeniami, i w takiéj z nim zostają harmonii, jakby do składu jego redakcyi należeli. Domowe nawet sprawy dziennika obchodzą ich jak swoje własne. Błąd drukarski sprawia im boleść, a każde sprostowanie jest jakby wyznaniem winy. Takich czytelników znajdzie tylko na prowincyi, i to zdala od głównych dróg, któremi zwykły chodzić publiczne wieści, w zakątach, gdzie gość rzadki, a do najbliższéj poczty konny tylko posłaniec dostać się może. Powrót tego posłańca oczekiwany bywa z niecierpliwością, przyjazd jego witany jako przybycie miłego gościa. W domu tego czytelnika, nigdy nie spotka gazetę los upokarzający służenia pod placki; owszem każdy jéj numer troskliwie wyrównany z fałdów, składany by-

wa do końca kwartału, aby potem związany albo niekiedy i oprawny zalegał pułki, których jedynym jest foliałem w skromnéj ósemkowéj bibliotece.

Czytelnik tego rodzaju nie daje dziennikowi podpory moralnéj, ale jest jego kapitałem żelaznym, podstawą jego bytu i rękojmią trwałości. O podporach moralnych dziennika niemoże u nas jeszcze być mowy. Życie publiczne nie jest tak rozwinięte, aby się objawiało w stronnictwach któreby wymagały organu swego. Kierunek, nawet i duch pisma jest dla większéj liczby czytelników nieświadomym, i możeby niezwróciło nawet ich uwagi, gdyby zaszła jaka wewnętrzna w nim zmiana, choćby nawet nie bardzo stopniowa.

Wypadłoby z kolei powiedzieć jeszcze o czytelniczkach dzienników. Jeżeli mężczyźni tak mało się niemi zajmują, jakże żądać od płci niewieściéj, by się wdawała w politykę. Rzadko téż napotkać kobietę, która po za felieton i kronikarskie wiadomostki rzuci oczyma, nie dla tego, aby obojętniejszą być miała od mężczyzny na losy świata, lecz że wychowanie nieuczyniło jéj sposobną do tego. Dla tego w zebraniach towarzyskich, jeśli i kobiety biorą w nich udział, rozmowa rzadko wybiega po za sferę ploteczek, mód, a co najwyżéj jeśli sięga do zakresu romansu lub sztuki teatralnéj.

Do pierwszych dają teraz łatwy i nieustający powód wspomnienia niedawnego karnawału, do drugich nadchodząca zmiana pory roku, romanse czytują się zwykle najwięcéj pod zimę i teraz gdy zimowe zabawy ustały a do kąpiel jeszcze zawczasu jechać, teatra zaś... mieliśmy temi czasy wiele prywatnych teatrów. Dla czego? oto dla tego, że grywanie komedyi po teatrach prywatnych stało się modą w Paryżu. Żądać od mody aby się usprawiedliwiła z pobudek, byłoby rzeczą niepodobną: jest ona popędem chwili, wybrykiem natchnienia, samowoli, zachcianki, a niekiedy owocem naturalnego zbiegu okoliczności. Lecz kiedy w Paryżu wybryk ten leżał w usposobieniu umysłów, i był skutkiem upadku salonów politycznych, w Krakowie stał się mdłem naśladownictwem. Ze wszystkich dyletantyzmów, dyletantyzm aktorski stoi najniżéj, bo sam w sobie niema celu, bo nie jest wstępem do przybytku sztuki. Dyletant malarz i dyletant autor mają dla siebie szerokie pole,

na którém pierwsze próby dobrze jest odbywać w szczupłem i zamkniętém kółku, zanim się poczuje na siłach wyprowadzić zdolności swoje przed wielkie publikum; ale aktorstwo pokojowe nie może być wstępem do popisów na teatrze publicznym, chyba dla jakiego biednego studenta. Nie pamiętam, Iffland czy téż Lessing powiedział, że najlepszych aktorów dostarczają teatrom relegowani uczniowie uniwersytetów, ale nie słyszałem nigdy aby werbowano ich po salonach. Przekonano się również, że najtrudniéj samego siebie udawać.

Dziwném się wydawać komu może, skąd mi prawo służy wchodzić w domowe sprawy i zabawy — ależ gdzie niema innych manifestacyj życia prócz tych jakie się w prywatnych objawia stosunkach, tam kronikarz skazany jest podglądać je choćby przez dziurkę od klucza.

I nie inaczéj też sobie postąpił.

Berlin w marcu.

Kończę rozdział o stosunkach towarzyskich powiązanych z zmysłem dotykania. Mówiłem poprzednio o dotknięciach ciała ludzkiego, które ból sprawiają; mówię w niniejszym ustępie o takich, które sprawiają przyjemność.

Człowiek jest zwierzem towarzyskim. Był nim od początku swego, tysiące lat wcześniéj, nim postrzegł to i wyrzekł filozof grecki. Obcowanie ludzi pomiędzy sobą jest dwojakie: duchowe i fizyczne, moralne i cielesne. Jak pierwsze pociąga za sobą tworzenie się pewnych pojęć, ktore stają się źródłem i podstawą praw i obowiązków ludzi gromadnie i społecznie z sobą żyjących; tak drugie prowadzi do wyrabiania się pewnych sposobów stykania się ich z sobą, które przechodzą z czasem na panujący zwyczaj i obyczaj. Jedne i drugie bywały i są podziśdzień różne u różnych narodów. Leżą w nich początki, treść i forma każdéj odrębnéj cywilizacyi. Są zaiste prawa, zwyczaje i obyczaje, które się stały wspólną własnością cywilizowanego świata; ale są inne nierównie liczniejsze, mianowicie drugie,

które się trwale od siebie różnią. Ani ich niwelująca cywilizacya europejska porównać z sobą była dotąd w stanie, ani kiedy będzie. Przyczyna leży w nieskończonéj różności i rozmaitości fizycznéj i duchowéj natury ludzkiéj. Żadne wychowanie nie potrafi sposobów uzewnętrzania się jéj sprowadzić do jednego, że tak powiem, mianownika; nie potrafi nigdy oderwać zupełnie ani pojedynczych ludzi ani społeczeństw od warunków i wpływów duchowéj ich i fizycznéj indywidualności. „Co kraj to obyczaj", słusznie mówi przysłowie nasze.

Nazywamy obyczajem, w najobszerniejszem znaczeniu słowa, sposób obcowania lub zachowania się ludzi pomiędzy sobą, który przeszedł w zwyczaj. W ściślejszem znaczeniu nazywamy obyczajem pewne formy ucywilizowanego i do wyższych towarzyskich przyjemności podniesionego życia. W najściślejszem znaczeniu obyczajowość znaczy tyle co stósowanie się do zasad moralnych, a więc prawie tożsamo co moralność. Tutaj jest mowa o obyczajach i zwyczajach w dwóch pierwszych znaczeniach.

Formy towarzyskiego obcowania nie są tak czczą rzeczą, za jaką się częstokroć uważają. Związane one są z przyrodzonemi stosunkami, bytem, temperamentem, wykształceniem, zajęciem, potrzebami, charakterem i z innemi różnemi warunkami i właściwościami życia tak pojedynczych ludzi jak całych społeczeństw. Związane są z historyą narodu; wszakże w wielkiéj części, mianowicie w nowszych czasach i z modą. W pierwszym względzie są to charakterystyczne rysy oblicza narodowego, powtarzające się i w pojedynczych członkach społeczeństwa, przez które, jak w arcydziele sztuki, i dusza jego przegląda; w drugim względzie są to wyroby fantazyi, kaprysu, chwilowego uwidzenia lub popędu, zmienne, znikome, ustępujące miejsca innym, które jednak dają świadectwo o smaku i towarzystw i pojedynczych ludzi. W wielkiéj części są to już tylko proste, powszechnie przyjęte i przestrzegane konwencyonalne formy towarzyskiego obcowania, bez tego czucia, które się pierwotnie przez nie objawiało, i które im dało początek. W wielu przypadkach formy te ulotniły

się w czcze, martwe, nic nieznaczące słowa, przechowywane skrupulatnie w słowniku rozmowy towarzyskiéj.

Zwróćmy uwagę na niektóre z tych, co się objawiają przez rzeczywiste stykanie się ciał ludzkich z sobą. Mam naturalnie głównie berlińską publiczność na względzie. Stykanie się ciał z sobą napotykamy przy witaniu się, żegnaniu się, składaniu życzeń, dziękowaniu, oświadczaniu i okazywaniu przyjaźni i miłości, zanoszeniu prośb, w prowadzeniu się na przechadzkę, w tańcu itd.

Nie wszystkie narody jednym i tym samym sposobem w przypadkach się tych zachowują. Nie we wszystkich nawet towarzystwach i stanach jednego narodu panuje ten sam obyczaj. Powszednie witanie i pozdrawianie się berlińczyków pomiędzy sobą odbywa się pospolicie bez dotknięcia się cielesnego, skinieniem głowy, podniesieniem do niéj ręki, uchyleniem lub zdjęciem kapelusza na ulicy, ukłonem mniéj więcéj głębokim w domu. Jest to powszechny zwyczaj europejski, który cywilizowany berlińczyk zachowuje i w knajpie, do któréj wszedłszy, zdejmuje przyzwoicie kapelusz, trzyma go w ręku, choćby mu go w natłoku zgnietli na *chapeau claque*, lub odkłada na bok, patrząc pilnie, aby mu go nie skradli. Istnieje tu jednak towarzystwo „*Immer mit dem Hut*“, które opozycyą swoję przeciw panującemu zwyczajowi tak daleko już rozciągnęło, że w lokalu w którym się zbiera, zatrzymuje kapelusz na głowie, i nie uczęszcza do lokalów, w którychby mu go, jak to się często zdarza np. u Krolla, lada kiep kielner zdjąć kazał. W cukierni tylko Spargnapagnego, gdzie się na gazety najwięcéj zbiera cudzoziemców, ale i amatorów dobrych kapeluszy, wolno siedzieć z nakrytą głową.

Podawanie sobie rąk, zwyczajnie pomiędzy bliższymi znajomymi i po dłuższem niewidzeniu się, upowszechniło się od niezbyt dawnego czasu, przy spotykaniu się jak na ulicy tak w towarzystwie, skutkiem wpływu angielskiego. Zwyczaj ten przyjęła i płeć żeńska, witając i żegnając się nietylko pomiędzy sobą lecz i z mężczyznami. Niejedna panna i mężatka podaje wprawdzie tylko palce lub powierzchnią dłoni, bez przyciągnienia palców. Jest to nakaz matki lub udany wstręt, w tym przypadku często nie na swojem miejscu i jeden i drugi. Bo lubo ściśnienie ręki może być bardzo wymowne, to

traci wiele na znaczeniu, skoro staje się formą towarzyską. Wszakże i to prawda, że w niewinnéj formie téj można wyrazić jawnie, w obec rodziców i całego towarzystwa, bardzo skryte i gwałtowne uczucia, bezpieczniéj niż oczyma, bo przystępnie i zrozumiale tylko dla tego, kto ściśnienie odbiera. Obawa więc matki o spokojność córki w tym względzie nie jest całkiem bez przyczyny.

Całowanie rąk damom przy witaniu, pożegnaniu i w licznych innych okolicznościach, co w wielkiej części podziśdzień polskim jest zwyczajem, przytrafia się bardzo rzadko w towarzystwach berlińskich. Kiedy się zdarzy, bywa zawsze znakiem wysokiego uczczenia. Dama, nawet sędziwa, matrona, matka, gospodyni domu, znajduje się częstokroć w ambarasie, gdy ją kto mniej dobrze znajomy, niespodziewającą się tego, chcę w rękę pocałować. Odciąga ją, wzbrania lub nieśmiało podaje. Przywykła ona odbierać hołd ten chyba od grzecznego zięcia lub bardzo bliskiego przyjaciela domu, wreszcie od sługi lub żebraka. Młode mężatki rzadziéj jeszcze ten zaszczyt spotyka. Świadcząc go, nie mówię już na balu lub w większém towarzystwie, coby mogło obudzić podejrzenie bliskiéj zażyłości, nie będąc w zebraniach takich zwyczajem i formą przyjętą, lecz tylko w gronie familijném lub przyjacielskiém, można sobie zaskarbić niemałe względy u tak uczczonéj damy, w każdym razie zasłużyć na przydomek człowieka wielkiéj galanteryi. Pannom zaś wcale się rąk nie całuje. Czyniąc to przy drugich, możnaby je narazić na obmowę, lub dać powód do nieuzasadnionych domysłów. Narzeczony nawet rąk kochance swojéj przy mniéj znanych świadkach nie całuje, chociaż bywa z nią wszędzie, publicznie i prywatnie, sam na sam, gdzie mu się podoba, nawet w własnem mieszkaniu. Wreszcie nie całują pospolicie rąk i dzieci rodzicom; mówią im ty, i całują ich w usta. W ogóle też niemki, z tych zapewne powodów, nie mają i nieznają owych pełnych gracyi poruszeń, pokładań, posuwań, podawań, podnoszeń, uderzeń, trzymań rąk, któremi się odznaczają polki. Czyby to wszystko było i dlatego, że rzadko tak piękne ręce mają i tak troskliwie je pielęgnują? Czy dlatego tak nie pielęgnują, że mężczyźni rzadko je całują?

Rzadszym jeszcze jest u niemców berlińskich zwyczajem, przy powszedniem witaniu się i żegnaniu, przy wstawaniu od stołu, przy składaniu życzeń, powinszowań, podziękowań, i przy innych przyjacielskich, familijnych, serdecznych zetknięciach się, całować się w twarz, w lica, w ramiona, jak u nas, albo w głowę i w czoło, starsi młodszych, dostojniejsi pośledniejszych, jak u Rosyan. Skinienie głowy, ukłon, podanie ręki, wystarczają na okazanie uczucia swego i w takowych przypadkach. Przy stole obejdzie się i bez tego, co zresztą i w innych krajach jest modą, która jednak mojem zdaniem, trochę na obyczaj inny jak ludzki zakrawa. Leży to niezawodnie w temperamencie niemców, że uczucia swe tak słabemi uzewnętrzniają oznakami. Zapewne, że powinna być w nich zachowana pewna miara, ale niedozwalać wewnętrznemu usposobieniu objawiać się mniéj więcéj wyraźnie i gorąco, dlatego, że to nie zgadza się z jakąś tam modą, jest to czynić gwałt naturze ludzkiéj, i zmieniać żyjącego człowieka na automat wyrabiający machinalne ruchy.

Inną bardzo zwyczajną sposobnością cielesnego stykania się ludzi z sobą jest przechadzka. Mężczyzn prowadzących się pod ramię rzadko spotyka się w Berlinie, dam prawie nigdy. Z pomiędzy pierwszych czynią to tylko młodzi ludzie, przyjaciele, dobrzy koledzy, studenci, rzemieślnicy, wreszcie pijani; ci ostatni więcéj z potrzeby jak z zwyczaju, co powiedzieć należy i osobach podeszłego wieku. Prowadzenie dam przez mężczyzn także nie jest bardzo pospolite. Prowadzi mąż żonę, syn matkę, brat siostrę, narzeczony narzeczoną. Daléj się zwyczaj ten nie rozciąga. Prowadzenie damy przez mężczyznę jest znakiem bliskiego ich z sobą stosunku, ale nie znakiem grzeczności. Najlepszy przyjaciel domu nie śmie na publicznem miejscu podać ramienia mężatce. Panna nie pozwala nigdy prowadzić się kawalerowi. Przywiléj ten służy tylko jéj narzeczonemu. Wyjątek stanowią tylko ludzie obojéj płci klas niższych. Tam nie masz tylu względów, ani obawy wystawienia się na złe języki, a w każdym razie więcéj naturalności. Lecz i mąż wychodzący z familią na przechadzkę nie zawsze bierze żonę pod ramię; idzie zwykle na czele jak gąsior, żona z dziećmi za nim, jak gęś

z gąsiętami. Snać pierwsze lata miłości przeminęły, a z niemi ustały i usługi najpospolitszéj grzeczności. Szpisbyrgier berliński pracuje na utrzymanie familii, stara się dla niéj o jaką zabawę i rozrywkę w niedzielę i święto. To dosyć. Miałżeby jeszcze myśleć o grzecznościach i innych drobnych usługach? Da sobie pokój. Mężowie berlińscy nie słyną z galanteryi dla żon swoich.

Ulubioną sposobnością bliskiego stykania się obojéj płci z sobą podczas zimy jest ślizganie się na lodzie, mianowicie bieganie na łyżwach, które od kilku lat stało się namiętnością panien i mężatek berlińskich. Zabawa ta pełna życia i ruchu, zbliża do siebie najrozmaitszym sposobem znające i nieznające się osoby. Płeć męzka i żeńska, młodsza i starsza, zmięszane tu z sobą jak żywioły w chaosie, biegą, lecą, skaczą, krzyżują się, krążą, trzymają się za ręce, popychają z tyłu i z przodu, padają sobie w objęcia, wstrzymują się od upadku, wywracają, dźwigają, podnoszą się, otrzepują, poprawiają upięcie łyżew (kawaler pannie), chwytają się za ręce i lecą daléj — rozegrzani i rozmarzeni ruchem i fantazyą; kiedy matki jak kury za kaczętami gdaczą na brzegach lądu, nie widząc i nie wiedząc, co się dzieje z ich córkami. Boska zabawa! w któréj Kupido nie pozwala marznąć Wenerze na lodzie, któréj Helleni nie znali, bo byliby jednę z muz uczynili jéj przełożoną.

Z bieganiem na łyżwach równą prawie ma wartość pod względem przyjemności stykania się ciał ludzkich, obojéj płci z sobą, taniec. Z pomiędzy wszystkich starożytnych i nowszych narodów, niemiecki najdaléj posunął zbliżanie się ciał ludzkich w tańcu do siebie. Nie wymieniając tańców starożytnych, które po większéj części stały w związku z przedstawieniami scenicznemi i miały pantomimiczny charakter; wszystkie nowsze narodowe tańce, francuskie, hiszpańskie, szkockie, polskie, ruskie, węgierskie, stawiają kawalera i damę w pewnym rozdziele od siebie, jedno obok drugiego lub naprzeciw siebie, i zwyczajnie w obec i w nierozerwanym związku z jedną, dwiema, trzema lub kilku innemi parami, które czynią osobno lub wspólnie z drugiemi pewne kroki, przechody, promenady, koła, figury, grupy, dotykając się zwykle tylko rękoma, to prawą

to lewą, jedną lub obiéma razem. Jest w tańcach tych powaga, szlachetność, rycerskość, elegancya, poezya, idealność; jest w jednym i drugim i namiętność i pożądliwość, ale ta stoi pod strażą tańcującego społem towarzystwa, a panujący respekt dla damy nie dozwala na żadne zbyt bliskie z nią kawalera zetknięcie się.

Wcale przeciwnie rzecz się ma w niemieckim narodowym tańcu, którym jest walec, i w wyrodzonych z niego, z zmienionym rytmem, galopadzie i polce. Taniec rozbity jest na pojedyncze pary, z których każda sobą tylko zajęta, z sobą i dla siebie tylko tańcująca. A tańcująca, wirując kołem, w jakiém osób do siebie zbliżeniu! Dama znajduje się, w prawdziwém znaczeniu słowa, w objęciu mężczyzny. Kochankom tylko, i to nie w towarzystwie lecz na osobności, tak się pochwycić wolno. Czém to się stać może rzecz w zwyczajnych stosunkach nieprzypuszczalna, zmieniona na formę towarzyską tańcującego koła! Walec pierwotny różnił się znacznie od dzisiejszego. Miał poważne i wolne tempo, osoby tańcujące trzymały się za ręce obracając się w koło, miewały w nim udział najstarsze osoby, powodowane pewną sentymentalnością i czułością ku sobie, które taniec ten szczególnie wyrażał. Dzisiejszy walec, wraz z swemi siostrzycami galopadą i polką, jest przeważnie zmysłowy. To téż na niektórych dworach uważa się dotąd za nieprzyzwoity, i jeżeli się go tańcować dozwala, to tylko dawnym sposobem. Francuzi nie bez racyi nazwali galopadę tańcem koszarowym. A polka trzęsąca mogła tylko powstać razem z panowaniem demimondu.

O innych tańcach zagranicznych, które w Berlinie są w używaniu, przemilczam. O elegancyi, gracyi, sztuce, nie ma dziś mowy. Tak samo tańcują u Krolla, i częściowo lepiéj, jak na balach pierwszych towarzystw stolicy. W kontradansie jeśli która dama ma gracyą, żenuje się pokazać ją w obec drugich bez gracyi. Kawaler jakże ma tańcować, kiedy on ani stać ani chodzić nie umie. Tańcuje jednak, chociaż nie wie jak się ruszać, co robić, bo żadnéj figury nie zna lub nie pamięta. Mazur wyszedł chwała Bogu z mody, produkując się przez długi czas w salonach w postaci najpocieszniejszéj w świecie karykatury. Nowsze kompilowane przez Francuzów tańce

także się już sprzykrzyły. Trzebaby się ciągle nowych uczyć, a to ani czas ani smak po temu. Pozostał walec z siostrzycami. Te nigdy z mody nie wyjdą, bo zawsze pożądaną będzie sposobność lubieżnego stykania się osób tańcujących z sobą. Daje ona przeczucie, a częstokroć i otwiera podwoje do raju miłości, o którym mi w końcu mówić przychodzi.

Lękasz się może, szanowny Redaktorze, znany mi przyzwoitości dziennikarskiéj przestrzegaczu, lekasz się może tego erotycznego ustępu? Nie masz do tego powodu. Polka-knajpy, inaczéj bawarskie piwiarnie z dziewczęcą usługą, na wzór warszawskich kawiarń, kwitnące wraz z wolnością w czasie rewolucyjnego epizodu, przepadły nazawsze z bachanaliami swemi. Domy publiczne, inaczéj świątynie kapłanek miłości, zamknięte od kilku lat lub zmienione na prywatne mieszkania dla filistrowskiéj prozy; a kapłanki wywiezione jako towar do Hamburga, handlującego z Rygą, Rewalem i Petersburgiem, i utrzymującego sławę dawnéj Hanzy wywozem najobfitszego płodu niemieckiego. Na ulicach przechadzają się same Westalki, w zasłonach na twarz zapuszczonych; co właśnie bardzo utrudnia czynienie postrzeżeń odnoszących się do zmysłu dotykania. Widzisz więc, łaskawy cenzorze, że chociażbym chciał, nie mam pisać o czém w ustępie o raju miłości.

Wiadomo ci zaś, że jestem nieżonaty. Nie należąc więc do cechu małżeńskiego, nie wypada mi dowiadywać się, jak się kochają małżonkowie niemieccy? „Miłością fabrykantów“, powiedział ś. p. wieszcz niedawno temu pogrzebiony. Bardzo dobrze, ale jak się ta fabrykancka miłość przedstawia i uzewnętrznia, jakie są jéj sposoby i maniery? To dla mnie ważniejszém jest pytaniem. Popędy donżuańskie uciszyły się, człowiek spoważniał, Cerlinny, Anny, Elwiry rozwiały się w mitologii młodości. Trudno dziś zaglądać, nawet w interesie artykułu tego, do misteryów raju małżeńskiego.

Powiedz więc przynajmniéj, jak się umizgają berlińczycy do swych kochanek? Co do tego, to ci mogę służyć. Umizgają się istotnie jak fabrykanci, ktorzy całe życie mając z wszelkiemi narzędziami do czynienia, przywykli do pewnych ruchów ciała i rąk, które i w umizganiu się zachowują. Najpierwszy i jeszcze nie-

śmiały sposób okazywania swéj przychylności jest, brać rękę ulubionéj osoby, trzymając w jednej dłoni, a drugą głaskać i klepać. Dalszym, już wiele śmielszym znakiem jest, chwycić za brodę i także pogłaskać; jeszcze śmielszym, który już jest dowodem wzajemnego upodobania i pewnéj poufałości jest, głaskać i klepać odkryte ramiona i plecy. Znakiem gorącej, namiętnéj i pożądliwéj miłości jest, uszczypnąć narzeczoną w policzek. Zatem już idzie bezpośrednio pocałunek, który jest ostatnim objawem uczucia przed zupełnem posiadaniem.

Pocałunek nazywa się po niemiecku „kuss". Jest to w językach europejskich najkrótszy wyraz na pocałowanie. Nie jest to bez znaczenia w rozdziale miłości. Zostawiam kwestyą tę otwartą dla badaczy charakterów narodowych. Może dla téj krótkości słowa i rzecz jest krótkiego i znikomego znaczenia? Toby było błędnem mniemaniem, bo są wyrazy jednozgłoskowe nieskończonego pojęcia. W rzeczywistości jednak tak jest. Pocałunek u niemców daje się i odbiera z nierównie większą łatwością jak u innych narodów. Jest to znak przywiązania, używający się pospolicie nie tylko pomiędzy rodzeństwem i narzeczonemi, pomiędzy przyjaciołami pomiędzy przyjaciołkami, ale i pomiędzy ludźmi obojéj płci w bliższym jakimkolwiek stosunku z sobą zostającymi. Nie ma on więc téj świętości co gdzieindziéj i nieobowiązuje do niczego. W Niemczech narzeczeni kilka, kilkanaście lat niekiedy czekać muszą, zanim się pobiorą. Czyżby wytrwać mogli w miłości tak długo bez możności całowania się? Na tém najmilszém zetknięciu się ciał z sobą polega większa część szczęścia ludzkiego. W obec niego uśmierzają się wszystkie bolesne dotknięcia. Nie wspomnę zatem o żadnych innych, i kończę na tem niniejszy, piąty z porządku, rozdział kroniki berlińskiéj

---

Paryż w marcu.

Będzie-li pokój czy wojna? Nie wiem nic więcej od pierwszej lepszej broszury — ale to wiem, że nigdy krwawsza do dzienników nie wdarła się inwazya jak

temi czasy. Czy to przegląd, czy gazetę weźmiesz do ręki, natrafisz niezawodnie na opis jakiego morderczego wynalazku, na recepty bomb niweczących, rac siarczystych, pękających granatów, obrazy pływających fortec, flot płonących od jednej kuli, miast wysadzonych w powietrze jedną zapałką chemiczną przytkniętą do garści piorunującego prochu, itd. itd. Tegoczesne Nerony opiewają wszystkie te nowe sposoby niszczenia *con amore*, rozbierają głęboko, ogłaszają z zapałem; publiczność zaś im przyklaskuje, jak czarnym zdrajcom na bulwarze *Zbrodni*.

Wyobraźnia Zachodu dzień i noc roi wojnę, i wytężona w tym kierunku pracuje niezmordowanie; co rano do kawy mamy tu najmniej jedną broszurę świeżą, mniej-więcej przetwarzającą świat, i parę dobrze osaletrowanych exterminacyjnych pasztecików. Broszury po większej części znasz, bo one jak ptaki przed burzą rozlatują się kracząc — ale z nauką exterminacyi może mniej jesteś obeznany, dla tego donoszę ci o nowym wynalazku kapitana Norton, anglika, który tu sprawił pewne wrażenie.

Jestto wynalazek kieszonkowej edycyi, a olbrzymiej potęgi — jak te maleńkie Danta wydania, co pod drobną okładką całe chowają piekło.... Norton wynalazł kulki w rodzaju rac kongrewskich. W taką racę włożywszy gałeczkę jego maści, nie większą od laskowego orzecha, można nią spalić wszystkie maszty wojennego okrętu.

Wynalazek wyborny. Ale cóż się stało? Nazajutrz po jego ogłoszeniu, Francuz nazwiskiem Carteron, odpowiada w sąsiednim powiecie, że wynalazł płyn którym posmarowawszy choćby muślin, wytrzyma piekielny ogień nie rozgrzawszy się nawet. Anglik nuż w śmiech, na co Francuz czując się dotknięty w honorze, wyzywa go do próby, donosząc mu, że z namaszczoną swym olejem piersią, czeka jego racy siarczystéj.

Próba będzie ciekawa i stanowcza; ma się odbyć niedługo na polu marsowem — tem rychlej, że pora do popisów dobra, bo zima tutaj, jak podobno wszędzie, *wyłuszcza* się swoją nieobecnością.

Polityka, o któréj kierunku powszechność tutejsza nie więcéj wie od nas i autorów broszur, jest wyłącznym

przedmiotem badań, rozpraw i rozmów paryzkich; zastąpiła ona Francuzom ulubione szarady, rebusy i logogryfy, i tak dalece potrzebną stała się rozrywką, że aby na balu nawet nie rozstawać się ze sfinksem, wynaleziono nowy taniec stósowny do okoliczności: tak zwaną *polkę polityczną*, która tem różni się od zwykłej, że zamiast pląsać bezmyślnie, ma wzrok skierowany do celu; tancerz obejmujący jedną ręką tancerkę, w drugiéj trzyma roztwartą broszurę, w którą wlepiwszy oczy walcuje.

Taniec ten dogadzający zarówno ciekawéj głowie i niecierpliwiącym się nogom, ma ogromne wzięcie w Paryżu, który w tej chwili najwięcej jest ożywiony; najupartsi amatorowie wiejskiego życia, a raczej najzaciętsi konserwatorowie grosiwa, powrócili ze wsi, pozbawieni już pozoru iż dla polowania tam siedzą; nikt zaś jeszcze nie wyjechał niby dla użycia wiosny, od wycieczek więc i podróży przedziela nas jeszcze jaki miesiąc — tak więc, mówiąc stylem kronikarzy, cały Paryż jest w Paryżu.

Korzystając z tej sposobności malarze śpieszą z otwarciem wystawy. Kiedy będziesz czytał te słowa, bramy pałacu wystawy odmykać się będą przed tłumem idącym oglądać nowe arcydzieła. Czy *prima aprilis* przypadkiem spotkał się z wystawą — czy też to umyślnie przez komisarzy umówiona schadzka, doniosę ci późniéj — teraz rzucam to pytanie nie rozwiązując go, jak to zwykł czynić Guizot, ilekroć ma jakie zdanie do objawienia.

Stolica jest tedy ludna i gwarna — i tak będzie przez blisko dwa miesiące, po czem, mówiąc znów stylem dziennikarzy — niebędzie nikogo w Paryżu. Dotąd napływ jest ciągły. Prócz dwóch nowych komet spodziewamy się kilku znakomitości: Suluka, Dumasa, Tamberlika i pani Ristori, która nie posuwając prawdy aż do miłości prawdziwej cykuty, przybywa co prędzej do Francyi, gdzie bezpiecznie z rąk saméj tylko Melpomeny będzie odbierać kielichy.

Oczekując Suluka paryżanie bawią się „Czarnym doktorem“. Doktor to nie lada! na lwa patent ma, bo przybywa z krainy gdzie ryczą lwy; jak ona jest synem pustyni, a do tego czarny jak noc! Pojmujesz że

kolor głównie się do sławy jego przyczynia. Doktor biały, urodzony w Paryżu, nigdyby podobnego nie obudził zajęcia, bo doktor biały nie działa na imaginacyę — doktor żółty jużby większe sprawił wrażenie, choć kolor żółty nie malowniczy — Albinos, z pąsowemi oczyma, miałby pewną wyższość nad białym i żółtym, nie imponowałby jednak chorym... ale eskulap czarny łączy w sobie wszystkie pożądane przymioty. To też wzięcie jego ogromne i wszędzie o nim mowa. Widziałeś czarnego doktora? Znasz czarnego doktora? To jedyne pytania które przeplatają kwestye polityczne, jak naprzykład: Czytałeś „Les Traités de 1815?" Co sądzisz o „Austryi i Anglii"? Znasz „L'Europe nouvelle"? „Manin et l'Italie"? „En avant"? itd. itd. itd.

Otóż, Cagliostro nie narobił większego hałasu w końcu ostatniego wieku, lecząc konające i wskrzeszając umarłe, jak ten indyjski Hipokrates. Doktor czarny, nazywający się rzeczywiście Vriès, podobny do Cagliostra tem, że leczy tajemniczą apteką wszystkie *nieuleczone* choroby. Dziwny ten człowiek urodził się nad Gangesem, i nad tą rzeką nazbierał ziół cudownych, które namoczone w spirytusie, tworzą ów elixir droższy od dyamentów Golkondy. Vriès celuje w leczeniu raków. Mówią o kilku jego cudownych kuracyach, wymieniają nawet osoby.... pojąć łatwo, jaki odbyt mają te mixtury zaprawione nadzwyczajnością, w Paryżu, gdzie jak wiadomo, sprzedaż tajemnych lekarstw jest niewyczerpaną kopalnią złotą dla szarlatanów, gdzie lada pastelki na kaszel, obwinięte wymowną reklamą, przynoszą rocznie swemu wynalazcy czterdzieści tysięcy dochodu.

Przy takiem usposobieniu powszechności, nic dziwnego że Indyanin ma tu już swoich fanatyków piszących o nim poemata. „Twarz jego oliwkowa wyraża geniusz.... oczy ogniste czytają w głębi duszy", (styl przyjęty) do tego początku stosuje się reszta. Fanatycy Czarnego doktora gotowiby policzyć do rzędu jego cudownych kuracyj i tę molierowską anegdotę, o dziecku co spadło z dzwonnicy i nasmarowane przez wielkiego lekarza jego tajemniczą maścią, poszło zaraz grać w piłkę. Cóż w tem dziwnego? wołają stronnicy Vriesa, przebywając między dzikimi, miał sposobność wyuczyć się tajemnic medycyny pierwotnej, naturalnej — odszukał

zagubione tradycye, leki boże zatracone przez naszą cywilizacyę — cóż dziwnego, że posiadając takie środki, cudów dokazuje?

Niedowiarki, jak zawsze, żartują sobie z wierzących; śmieją się z medycyny *pierwotnéj* i utrzymują iż doktor Czarny nikogo nie wyleczył.

Pośród zdań tak sprzecznych trudno wyrokować; sami nawet lekarze paryzcy nie jednako sądzą swego czarnego kolegę; jedni uśmiechają się gdy o nim mowa — inni bardzo znacząco kiwają głowami, niechcąc potępiać a bojąc się chwalić. Ci ostatni wyprawili mu niedawno wspaniały obiad w hotelu du Louvre. Leczenie raka było przedmiotem rozmowy przy obiedzie — szczęściem muzyka Guidów łagodziła walcami tę patologiczną pogadankę.

Skoro się tylko opinia Czarnego doktora ustali, coś pewniejszego o nim ci doniosę.

Mimo niepewnej politycznej pogody — mimo Czarnego doktora i karnawału — budowanie Paryża idzie swoją drogą. Program upiększeń na rok bieżący tak wiele obiecuje, że niezadługo Paryżanie nie będą potrzebowali innych zwierciadeł jak marmury, szyby i lustra stojące po obu stronach ulicy. Nie dyskretnie jest czytać ten program poza plecami rady miejskiéj, dla tego nikt z pewnością go nie zna, ale przeniesienie dwóch teatrów oper już zdaje się pewne.

Opera Wielka i Włoska staną na Polach elizejskich, przodem do Tuilleryów i Luxoru, który ma być przeniesiony na właściwsze miejsce, równie jak posąg Moliera.

Uznano nareszcie, że umieszczona tak jak dziś stoi, na rozstajnych drogach z fontanami u spodu, statua Moliera wygląda na pomnik wystawiony przez wdzięczność publiczną bezimiennemi Auverniakowi, który założył instytucyę nosiwodów. Takie przynajmniéj wrażenie czyni ten monument na pierwszy raz go widzących cudzoziemcach — i dla tego ten wiecznie moczący sobie nogi posąg, bardzo właściwym się im wydaje. Co do mnie, wyznaję, że nieraz płakać mi się chciało, widząc w téj pozycyi ulubionego Moliera; w ogóle fontanny jako pomniki pamięci wydają mi się bardzo nieszczęśliwem uczczeniem wielkich mężów — z wielką tedy radością

dowiedziałem się, że pomnik króla komedyi ma być przeniesiony na plac nowy, który w tych dniach naprzeciw teatru francuzkiego się otworzy. Tam przynajmniéj Molière właściwe zajmie miejsce — bo nietylko będzie mógł słyszeć co się czyta w *lektoryum*, ale złapać każdego bazgracza któryby szedł płodami swemi przybytek jego zaśmiecać. Puszczono pogłoskę, że Scribe sprzeciwia się przeniesieniu pomnika — ale wiem z pewnego źródła że to nieprawda — przeciwnie — autor „Więzów“ oświadczył nawet, że zaraz po inauguracyi statuy, pośle swego Leporella z zaproszeniem Moliera na kolacyę.

Wyzwolenie więc Moliera z rąk Auwerniaków już postanowione, i właściwe dlań miejsce znalezione; ale większy kłopot z obeliskiem, do którego rada miejska czuje antypatyę – poczęści słuszną. Są pomniki ciekawe, potrzebne; niepotrzebne i zawadzające: otóż Luxor do rzędu tych ostatnich należy. Stoi jak drąg pomiędzy Magdaleną a Izbą prawodawczą — psuje perspektywę, nie harmoniuje z niczem — słowem jest niepotrzebny. Zdjąć go łatwo — ale gdzie go podziać? Trudno go schować w kieszeń — a gdzie go postawisz, wszędzie będzie odgrywał taką rolę jak czterołokciowy spektator na parterze, który zasłania ludziom scenę, a na którego nawet kiedy siędzie wołają żeby usiadł.

Municypalność tedy w wielkim kłopocie nie wie co począć z obeliskiem. Złodziéj któryby go ukradł oddałby prawdziwą przysługę radzie miejskiéj — kto wie czyby mu nawet nie wystawiła statuy na miejsce Luxora. Ale niema prawdopodobieństwa żeby go się pozbyto tym sposobem: monumentalni złodzieje wolą wynosić srebrne zastawy królowi pruskiemu.

Książek nowych powychodziło mnóstwo — ale znikają w literaturze politycznéj: wyliczam te które z morza broszur wyłowić mi się udało.

Najprzód najgrubsza ryba: drugi tom „Pamiętników“ Guizota. Były minister krocząc poważnie przez ten dwudziesto-dwu miesięczny peryod monarchii lipcowéj, (od lipca 1830 do października 1832), jak paw' ciągle na swój ogon się ogląda, przedewszystkiem kolorami jego zajęty. Jeżeli, jak się zdaje, przez wszystkie sześć tomów tak przejdzie, dziejopisowie przyszłości będą mieli

więcéj kłopotu niż pożytku z tych materyałów dostarczonych sobie przez Guizota.

Zarażony pamiętniko-manią, która teraz tak tu mocno grasuje, były kuglarz Houdin, dziś właściciel rozległych włości pod Paryżem, także wydał swoje pamiętniki — dzieło to zawstydza wielu pawiów. Pokazuje się z niego, że Houdin gdyby był chciał, mógłby był zostać królem duchów, zawracać stoły i głowy — a ograniczył się na prostem kuglarstwie; posiadał sekret Huma, sekret boski — a poprzestał na roli człowieka i nie zapukał nigdy do nadziemskiego świata. W pamiętnikach swoich nie fanfaronuje — podaje się po prostu za to czem jest: za biegłego mechanika który z pomocą téj nauki do cudownych dochodził rezultatów. Opowiada że w Afryce tak zadziwił Arabów, iż chcieli go wielbić jak Boga: gdyby był sobie upodobał rolę proroka, od niego tylko zależało zostać Machometem.

Mówią wiele o jakimś dramacie napisanym przez sławną panią Lafarge w więzieniu Montpellier, pod tytułem „Histoire d' une femme perdue". Nikt wprawdzie nie czytał tego dramatu, ale wszyscy zaręczają, że był czytany w kilku salonach, i że sprawił ogromne wrażenie. Dramat przyprawiony przez kobietę, która stawała w kryminale oskarżona o zabójstwo męża... domyślasz się że na samą wzmiankę takiego utworu serce bije Paryżanom. Gdyby jaki autor ozdobiony medalem cnoty ogłosił w dziennikach, że napisał tragedyą, anons przeszedłby niepostrzeżony — ale dzieło rozbójnika.... to rzecz wcale inna: dotąd pamiętają tu piosneczki mordercy Lacenaira; gdyby tamten miał szczęśliwą myśl napisania choć vaudevillu przed wstąpieniem na rusztowanie, słyszałby był pewnie na tamtym świecie oklaski jakiemiby utwór jego przyjmowano. Paryżanie choć z wielu miar odmienni, w tym punkcie nie różnią się wcale od reszty świata.

Pan Viennet, akademik, wydaje także swoje pamiętniki. Pokolenie młode dowie się nareszcie coś pewnego o istnieniu sławnego Arbogasta, od którego niegrzeczna paryzka Melpomena tyłem się odwróciła.

Cousin nie poprzestając na pani Longueville, ciągnie daléj prace odkopywania z popiołów wielkich dam siedemnastego wieku.

Jules Simon autor „Obowiązku“, wydał nową książkę pod tytułem „Wolność“. Jestto jakby druga część „Obowiązku“. W seryi artykułów pod napisami: „Wolność pracy“, „Wolność cywilna“, „Wolność wyznań“ Simon zastósowuje do kwestyj politycznych i socyalnych zasady wyłożone teoretycznie w dziele „*Devoir*“.

Lenient napisał wyborną „Historyę Satyry we Francyi w wiekach średnich“. Satyra nie małą gra rolę w dziejach świata: przez nią rozsądek napomina ludzi, jestto zwrotka którą postęp idąc daléj a daléj, śpiewa na pożegnanie ruinom. Jest ona wszędzie: w legendach, bajkach, tak pisanych jak malowanych poematach Tam jéj szukał pan Lenient, i bardzo zajmującą na tem tle napisał książkę.

Kauffmann wydał romans pod tytułem: „*Brillat, le menuisier*“. Jestto prawdziwy obraz pragnień i cierpień życia rzemieślniczego we Francyi. Uczucia proste i miłość pracy wspierają tu prostą osnowę niekłamanéj rzewności.

Daléj wyszła „Literatura Muzykalna“ pana Scudo. W przedmowie poprzedzającéj zbiór całoroczny artykułów, autor powstaje na muzykę nowoczesną, a mianowicie na Verdego. Daléj „Parlament i Fronda“, Baranta — daléj „*Récit de la revolution Venitienne de 1848*“, wydał jenerał Ulloa, czynny aktor téj dramy, adjutant jenerała Pepe itd. itd.

W teatrach, nowością zwracającą tu oczy i uszy wszystkich, jest „Herkulanum“, opera Felicyana Davida, z librettem Merego. Muzyka téj nowéj sztuki często powszednia—ale treść jéj zupełnie nowa. Pierwszy raz to dopiero wprowadzono na scenę chrześcianina odstępcę: legenda przedstawia zawsze pierwotnych chrześcian jako ludzi umiejących się oprzeć wszelkiéj pokusie — tu, duch poganizmu wcielony w piękna kobietę, tryumfuje — prawda nie ostatecznie, ale tryumfuje aż do końca czwartego aktu nad wyznawcą Chrystusa. Oto osnowa sztuki:

Po zdobyciu Judei, Rzym widząc wszędzie zagrożone przez chrześcian bałwochwalstwo, podwoił prześladowania wyznawców nowéj wiary. W tym czasie przybywa do Italii z głębi Wschodu królowa Olimpia prosić cesarza o podparcie swojego tronu. Piękna ta poganka,

w zamian za panowanie absolutne w Azyi, obowiązuje się wraz z bratem swoim Nikanorem, karą i ponętą tamować propagandę chrześciańską.

Kiedy ugoda stanęła, a uznana monarchini obchodzi swoją koronacyę w herkulańskim pałacu — lud przyprowadza dwoje chrześcian schwytanych na zakazanéj modlitwie. Helios i Lilia piękni i młodzi oboje, mają się wkrótce połączyć węzłem małżeńskim. Obaczywszy ich, królowa z królem przedsiębiorą dzieło skażenia. Młody chrześcianin wnet pada ofiarą pokus kobiety; z chrześcianką sprawa trudniejsza; Nikanor niemogąc pozyskać jéj wzajemności, chce ją porwać gwałtem. Wtedy dziewica wzywa pomocy Boga... na jéj wołanie niebo się odmyka, piorun pada i zabija poganina. Duch zabitego Nikanora zmienia się w szatana i bierze czynny udział w dalszéj akcyi. Jestto dystrakcya trudna do pojęcia w tak świattym jak Méry autorze: szatana można pojąć tylko w legiendzie średniowiecznéj— mięszać go pomiędzy Muzy i mitologię starożytną, wydaje mi się krzyczącym nonsensem. Ale ponieważ człowiek w ponsowym płaszczu zawsze dobrze figuruje na scenie, poświęcono tu — nie pierwszy i nie ostatni raz zapewne sens dla efektu.

Idźmy daléj. Helios coraz głębiéj grzęznąc w pogańskiéj ciemnocie, pędzi dni i noce na ucztach u nóg Olimpii. Daremnie anielski głos Lilii chce go wyrwać z zatracenia — on głuchy na głos prawdy, straconą wiarę odzyskuje dopiero w chwili fatalnéj katastrofy — w chwili, kiedy zniszczenie kruszy przeklęte miasto.

Na gruzach walącego się Herkulanum niewierny kochanek otrzymuje przebaczenie kochanki.

Wśród kataklizmu natury — wśród zapadających się pałaców — pod tumanami popiołu i piorunowym deszczem stoją dwie pary: Szatan pokazuje wylękłéj Olimpii płynącą rzekę lawy czerwonéj, mówiąc: „Oto kara twoja! Oto śmierć! Oto piekło!“ Lilia pokazuje ją Heliosowi i woła: „Oto niebo! Oto życie!“

I na tem koniec. W kilku słowach podałem ci prostą i jasną treść rzeczy; zapełnienie tych czterech aktów zostawiam twojéj wyobraźni, bo wiadomo że to lepsza od wszelkiéj plastyki mistrzyni.

Jeszcze tylko słowo o muzyce. Jest ona bardzo nie jednostajna; miejscami piękna, po większéj części płytka i powszednia. Chóry w ogóle złe; sola jak *cavatina* Olimpii w pierwszym akcie i pieśń Lilii w ostatnim, znakomite. Wystawa téj nowéj opery przechodzi przepychem wszystko co dotąd widziano — dekoracye prześliczne: przedstawienie wybuchającego Wezuwiusza nie ma sobie równego widoku na scenie.

Londyn w marcu.

Wiele dochodziło nas w tym mięsiącu nowin z kontynentu o balach, maskaradach, teatrach i rozmaitych zabawach zapustnych wyprawianych nie tylko po stolicach, ale i po małych prowincyonalnych miasteczkach; słyszeliśmy pomimo tego skargi, iż nie tyle tej hulatyki było podczas ostatnich zapust jak za lat dawniejszych. Niechcę twierdzić, żebyśmy podobnych rozrywek i tu w stolicy nad Tamizą lub na prowincyach niemieli, tylko że one niezawiśle od pory zapustnej nie odznaczyły się niczem, albo zresztą bardzo mało od owych jakie się tu zwyczajnym trybem toczą przez rok cały. Nie stuka przeto po skończonych dniach karnawału do niczyjego tu domu rano w popielcową środę ów *bonhomme carême* surowéj miny i wejrzenia, jak to się w wielu innych krajach a nawet i u was dzieje, wzywając rozkoszników karnawałowych do upamiętania, aby posypywali popiołem głowy, skazując winnych równie jak niewinnych minionych uciech na sześciotygodniowy post. W protestanckiéj Anglii nieobchodzą karnawału, a Wielki Post utracił dawne swe znaczenie. Gdzie niema karnawału, tam niema też wyradzających się zeń grzechów, a przeto odjęty i powód do nakładania różnych prywacyj i pokut, prócz powszechnego rozpamiętywania i skruchy. Niczego więcéj nad to kościół anglikański, albo jako czasem go mianują „parlamentowy“, od swych wyznawców nieżąda, ani nakazuje. Wygodnie z tem arcybiskupowi kanterburskiemu, ułatwia bowiem i upraszcza nawet jego klerowi

curam animarum, poruczając im samym monitorstwo nad sobą. Zostaje to z resztą w zgodzie z innemi instytucyami tego kraju.

Jeżeli jakiemu Anglikowi przyjdzie jeszcze na myśl uczcić popielec, to jada w ten dzień rybę w maśle ale obok ryby musi być razem na stole para pieczonych kurcząt, bifstek lub pieczeń cielęca; a jeśli kto przypomni sobie ostatni wtorek, to chyba plackami *pancakes,* na które dziatwa zwykła cieszyć się jak na wielki przysmak. Wszelako zachowuje się to jedynie między wyższą klasą społeczeństwa, obznajomioną z historyą; gdyż niższa klassa nic o tem nie wie, ani rozumie. Puzeiści wprawdzie radziby widzieć przywrócenie postu jako i wielu starodawnych obrzędów kościelnych; lecz o potrzebie postu w téj porze jeden z nich ledwie tyle z kazalnicy powiedział: aby bogatsi ujmowali sobie podczas wielkiego postu z ilości i jakości strawy; wyłączył wszakże z pod tego prawidła wszystek lud ubogi, jako mający dość umartwienia by mu go więcéj dodawać. Z tem wszystkiem taka potrzeba poszczenia, jako zasadzająca się na wstrzemięźliwości, różni się daleko od postu jaki kościół katolicki wiernym poleca, ile że nie wymienił kaznodzieja jakiego nawet rodzaju mają być potrawy, aby tylko używanie ich nie było zbytkowe; a tem bardziéj różni się od postów do jakich kościół grecki obowiązuje, że przez cały Wielki Post mięsa dotknąć się niewolno, a w Wielki tydzień ani jaj ani masła. Anglik żywi się głównie mięsem. Lud tak nawykł do mięsnego pokarmu, że prawie niepodobna skazywać go na pokarmy postne i jarzynne. Sama sztuka przyprawiania tych ostatnich, a z któréj kucharstwo w Niemczech, we Francyi, we Włoszech jako i nasze tyle słyną, zdaje się u ludu angielskiego być zatraconą i niemal wywołaną; a jeśli się jeszcze gdzie przechowuje, to chyba po klasztorach lub w domach katolickich.

Co jednak uderzającego w Popielec, to ta okoliczność, że chociaż w nim nieskazują się Anglicy na przyoblekanie się we włosiennice i na posty, wszystkie jednak teatra w ten dzień bywają zawarte. Dzieje się to za rozkazem wielkiego szambelana dworu, który jest oraz cenzorem, a to jedynym w Anglii sztuk dramatycznych, i żadna nowa sztuka niemoże być graną w teatrze bez

jego aprobaty. Zawieszenie to przedstawień teatralnych w Popielec rozciąga się na Wielki Piątek i również na dni śmierci i pogrzebów króla lub którego z członków rodziny królewskiéj. W tych dniach jedynie aktorowie mają wakacye, chociaż woleliby ich niemieć, bo jak u nas „bez pracy niema kołaczy“, tak dla nich „bez gry niema płacy“. A co jeszcze wydawać się będzie dziwniejszem, że pomimo zakazu widowisk w teatrach, wolno przecie w te same dni dawać bale, koncerta, widowiska konne, panoramy, kuglarstwa; niema na to bowiem postanowionego przez parlament prawa. Widzą tę niedorzeczność anglicy, ale te i tym podobne anomalia w ich kraju więcéj ich bawią niż gniewają. Nastręczają one niewyczerpane źródło dla humorystów do żartowania z zwyczajów dochowujących się w narodzie.

Ale dosyć o tem, bo wszystko to spowszedniałe i oklepane, a wasi czytelnicy *Kroniki* wyglądają nowości. Lecz gdzież tę nowość znaleść, gdzie jéj szukać? Pewnie nie w Europie ucywilizowanéj i oczytanéj o wszystkiem, że wielu mniema, iż wiedzą wszystko, i dla nich sprawdziło się przysłowie: „nic nowego pod słońcem“. Powtarzanie wielokrotne opisów tych samych przedmiotów, rafinerya tych samych wyobrażeń i uczuć przytępiły u nas w znacznym stopniu ciekawość czytelników, i tożsamością sprawiają znużenie. Takowego znużenia i niemal ckliwości musiał doznawać Rousseau, kiedy stan dzikości przekładał nad stan cywilizacyi i za nim tęsknił. Nikt z piszących kronikę współczesną do waszego *Czasu* niepodziela téj tęsknoty francuskiego filozofa, ani ja ją podzielam. My idziemy za duchem czasu, a kiedy o dostarczenie nowości chodzi, szukamy ich gdziekolwiek się znajduje, i taka właśnie w téj chwili nastręcza mi się daleko po za morzami. Przedmi tem téj nowości są: Wyspy Fidżyjskie („Fiji“ według angielskiéj pisowni) i Fidżyanie, o których z geografii i z historyi ledwie co komu wiadomo. Wyspiarze ci mogą być stawieni za przykład ludu zostającego zupełnie w stanie natury, bez postępu i wyższego ukształcenia. Ujrzą w nim czytelnicy jak wielka przestrzeń przedziela barbarzyństwo od cywilizacyi, i nikt z nich zapewne nie będzie wzdychał za niém. Nim jednak do samego opisu Fidżjan przystąpię, niech mi wolno będzie kilka słów

dorzucić dla lepszego związku rzeczy z dalszym ciągiem opowiadania.

Wiadomo, jak obszerne jest panowanie W. Brytanii na okręgu ziemskim. To co się mawia: że nad jéj posiadłościami nigdy słońce niezachodzi, przestało już być poetyczną przenośnią, ale jest rzetelną prawdą. Ludy wszelkich ras i rozmaitych kolorów ciała podlegają i hołdują królowéj angielskiéj. Tyle między niemi można słyszeć różnych mów, ile ich się natworzyło przy budowaniu wieży babilońskiéj; tyle można widzieć odmiennych zwyczajów, sposobu życia, instytucyi w zakreślonych im granicach, a wszystkie pod jedném jéj berłem. Ile to energii, ile to zwycięstw trzeba było, aby tyle krain jedne po drugich i plemion różnych religii shołdować i podbić— a ile to teraz praktycznego zmysłu, aby niemi rządzić i w posłuszeństwie utrzymać. We wszystkich częściach świata Anglia ma swe osady i dla połączenia ich z sobą wszędzie między niemi pozaprowadzane komunikacye lądowe lub morskie. Nie tylko ucywilizowana ludność obszernych królestw uległa jéj przemożnéj potędze, lecz także pokolenia najdziksze, różniące się uczuciem i zwyczajami; plemiona różnych barw i budowy ciała, odmiennych religij i filozoficznych pojęć, uznają zarówno nad sobą jéj władzę. Pod wszystkiemi strefami kuli ziemskiéj, na oceanach i na stałych lądach, tak pod skrzepłych od mrozu pasach północnego bieguna, jak pod piekącemi promieńmi słońca skwarnych zwrotników powiewają jéj chorągwie i wszędzie ma ona swych poddanych, co używają jéj praw i opieki. O ile się to Anglii jako narodu dotyczy, wielkość tą tak obszernego panowania i ciężące ztąd brzemie odpowiedzialności codzień mocniéj czuć się dają. A przecież nie tak to się rodzajowi ludzkiemu wydaje, i czy Anglia chce lub nie, coraz więcéj ludów ciśnie się pod jéj berło.

Powód do tych wstępnych uwag podała mi nowina, którąśmy pocztą świeżo odebrali z Australi, że Takomban król licznéj grupy wysp Fidżiańskich, między którym a rządem Stanów Zjednoczonych Ameryki, miały zajść pewne zatargi, pragnie poddać swe państwo pod zwierzchnictwo i opiekę Anglii, i konsul angielski na wspomnionych wyspach p. Pritchard ma już być w dro-

dze do Anglii, w celu przedstawienia rządowi swemu warunków ugody, na których ten nowy hołdownik chce pomnożyć liczbę poddanych królowéj. Cóż w tym razie wypadnie rządowi angielskiemu uczynić i jak postąpić? Uderza to poniekąd tak jak gdyby kto upraszał o piastunkę dla sąsiedzkich dzieci, i właśnie w takowym stosunku powyższa prośba króla stawia Anglię względem sąsiednich Fidżian. Przychylenie się do niéj, krom nowych trosk i kłopotu, niezapowiada odpowiednich korzyści, zwłaszcza, że sposób życia i same obyczaje tych wyspiarzy nie zalecają ich bynajmniéj do współobywatelstwa z Anglikami. Nie przeczymy — pisze z powodu tego jeden z tutejszych dzienników — że na świetnych pokojach naszéj szlachty często bywali przyjmowani zbójce indyjscy i niechluje chińscy dla tego jedynie, że przybierali sobie tytuły książąt i mandarynów; lecz co do fidżyjskich murzynów, zbyt są oni czarni aby ich umyć można, aby którego z nich można wprowadzić do domu jakiego gentlemana, a tem mniéj prezentować na pokojach królowéj w pałacu Buckingham.

Pomimo téj ledwie nie exkomunikacyi, jaką pisarz angielski rzuca na Fidżian, aby ich do obywatelstwa nie przypuścić, wyspy posiadane przez nich, ci co je widzieli, opisują jako najpiękniejsze w świecie, z ziemią arcyżyzną i klimatem łagodnym. Archipelag tych wysp *Fije* albo *Feejees* wedle pisowni angielskiéj, a których wymowę dla łatwiejszego czytania tu przepolszczam na fidżyjskie, rozciąga się szeroko na południowym Oceanie Spokojnym, lubo w zwyczajnych geografiach ledwie o nim znaleść wzmiankę. Leży między 15° 30' a 20° 30' szerokości południowéj, a od 117° wschodniéj do 178° zachodniéj długości, obejmując do 40,000 mil □ przestrzeni. Liczą wszystkich wysp 225, a z nich jest 80 zamieszkałych. Największa między niemi jest Vitilevu, mająca do 360 mil ang obwodu, z urodzajną ziemią i przystaniami bezpiecznemi dla okrętów; przerzyna ją rzeka Rewa, spławna od ujścia swego na 91 mil. Grupa tych wysp ma być cudnéj piękności dla oka, tak dla mnóstwa wysepek koralowych po brzegach, jak dla wzniosłych gór wewnątrz, powstałych z wulkanicznych wybuchów. Boki ich pokryte lasami, z wybornem drzewem do budowy okrętów; potoki wód toczą

się w głębokie wąwozy, przerzynając najśliczniejsze doliny i błonia. Na nich obfitość rozmaitych drzew: palmy, platany, banany, drzewa chlebowe, gaje kokosów i drzew orzechowych; ziemia wydaje także bawełnę, tytuń, kawę, kukurudzę, morwy; rosną dziko melony, ananasy. Z całego opisu tych wysp, jaki pan Tomasz Williams w swem dziele: „*Fiji and the Fijans*“ podaje, policzyćby je należało do owych wysp „szczęśliwych“, o których starożytność grecka marzyła, a nikt ich dotąd nie odkrył; a że one leżą od Sydney tylko na 1,700 mil, czyli 6 dni drogi parowcem, a na 1000 mil od Nowéj Zelandyi, niemal w pośrodku tych osad angielskich, powinnyby dla Anglii być niemałą ponętą do zajęcia wraz z ich ziemskim nowym rajem pod swą opiekę, ile że dobrowolnie pod nią się poddają, a król ich nawet o to prośbę zanosi.

Taka jest piękna i urocza obrazu strona; odwróćmy go, czy niema w nim i czarnéj? Zobaczmy jaki jest charakter i obyczaje ludu ziemskiego raju. Fidżianie ze wszystkich ludów polinezyjskich mają być najdzielniejszem pokoleniem, trzymającem środek między plemionami malajskiem i papuańskiem, ale wszyscy są — ludożercy — kanibale, od których ludność europejska musi mieć odrazę. A co większą zgrozą, że dla dogodzenia swemu sprosnemu epikureizmowi dopuszczają się go nietylko na obcych nieprzyjaciołach, ale zarówno na osobach z jakiemi ich związki wspólnéj krwi i przyjaźni łączą. Dzikość to nad dzikościami, bo trudno wyobrazić sobie większéj. Dziki nowo-zelandczyk nakarmia się mięsem nieprzyjaciela którego zabił w bitwie, zachowując uszy jego dla dozorcy swych żon; lecz fidżianin pożera ciała najbliższych krewnych bez wstrętu od tak odrażającéj strawy. Wiek sędziwy i siwizna miasto obudzać cześć, znajduje u niego pogardę — rodzice duszeni bywają od własnych dzieci. Również bez litości obchodzą się z chorymi i ułomnymi: wysadzają ich w odludne miejsca, lub innemi gwałtownemi sposobami pozbawiają ich życia. Kiedy król lub jaki znakomity wódz umrze, zwyczajem jest wyprawiać tak zwane *loluku*, pogrzeb połączony z ofiarami ludzkiemi, na ich cześć. Nieszczęśliwe te ofiary zowią oni „trawą“ służącą na posłanie zmarłym w grobie. Taki widziano pogrzeb ro-

ku 1840 dla jednego z wodzów imieniem Mbithi. Naprzód żona jego młodziutka została uduszoną, a po niéj pięciu mężczyzn z żonami; ciała ich poukładane były rzędem na matach i na nich położono trupa zmarłego wodza. Czasem też zdarza się, że mężczyźni w czasie głodu zabijają swe żony, i zgotowawszy posiekane ich ciała, zjadają je sami, a nieraz zapraszają nawet sąsiadów na tak okropną ucztę. Tacy to są Fidżianie jak ich nam opisują missyonarze angielscy, co po ośm i nawet kilkanaście lat między nimi bawili. Na najniższym oni pozostają szczeblu dzikości, tak że ludy uobyczajone wzdrygają się na samą o nich wzmiankę, a ludzie stanu muszą wprzód dobrze rozważyć, czy takową dziczyznę przypuścić można, chociażby tylko pod opiekę ucywilizowanego społeczeństwa.

Pogląd na obecny stan Fidżian da nam jeszcze dokładniéj ich poznać, przypominając wiele co najgorszego wiemy z dziejów najdzikszych ludów, a osobliwie plemion indyjskich ciemniejszych barw, z któremi zdają się zostawać w pokrewieństwie. Rząd Fidżian jest monarchiczny, samowładny, lud niema głosu w rządzie; rada, która jest złożona z celniejszych wodzów i urzędników, może jedynie wpływać na postanowienia króla. Co do sukcesyi, brat królewski ma pierwszeństwo przed synem. Osoba króla uważana jest za świętą, a w niektórych razach przywłaszcza nawet sobie atrybucye boskości.

Pod względem społecznym Fidżianie podzieleni są na sześć klas: 1. Królowie, ich małżonki i rodzina; 2. Wodzowie i rządcy pojedynczych wysp lub okręgów; 3. Burmistrze miast i księża; 4. Wojownicy niższego stanu co się odznaczyli męztwem, głowy zgromadzenia ciesielskiego i głowy rybaków na żółwie; 5. Lud pospolity; 6. Jeńcy wojenni. Wojsko Fidżian niestanowi osobnego stanu ani kasty, ale zaciągane jest z wszystkich klas bezwzlędnie na wiek i wzrost. Przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich ujmują bogów darami na swych sprzymierzeńców. Ich bronią są pospolicie maczugi, dzidy, topory, łuki i proce, a teraz i karabiny. Używanie broni palnéj za ostatnich czasów wpłynęło znacznie na umniejszenie między nimi wojen.

Kary na przestępstwa nie wywierają się na wszystkich zarówno, lecz różnią się według stanu zbrodniarzy. I tak, morderstwo popełnione przez wodza nie jest w ich mniemaniu ohydniejszem nad kradzież przez człowieka niższego stanu. Prostota ich kodeksu karnego nierozciąga się do wielu przewinień, są niemi tylko następujące: kradzież, cudzołóstwo, uwiedzenie, czarodziejstwo, podpalanie, nieuszanowanie dla wodza, i zdrada kraju. Kary za kradzież lub za brak uszanowania są: zwrot rzeczy skradzionéj, grzywny i okaleczenie: na wszystkie inne zbrodnie postanowiona kara śmierci.

Co do przemysłu, sztuk i handlu, wszystko u Fidżian jeszcze w kolebce i wymaga rozwinięcia. Poświęcają się wprawdzie rolnictwu, ale to ogranicza się głównie do uprawy gruntów pod kukurudzę, tytuń, kawę, bawełnę, morwy i trzcinę cukrową. Narzędzia ich gospodarskie są najprostszego rodzaju: szyldkretowe noże, motyki i łopaty z drzewa. Za ostatnich lat dopiero poczynały się między nimi okazywać noże, kosy, rydle i inne żelaztwo dostarczane im z fabryk shefieldzkich. Roboty w polu bywają udziałem mężczyzn, kobiety trudnią się jedynie domowem gospodarstwem. Podobnie jak się kobiety u nas zajmują przędziwem, tkaniem lub szyciem, tak kobiety u Fidżian wyrabiają gatunek płótna na odzież z łyczastéj włóknistéj skóry drzewa *malo*, splatają śliczne w różnych deseniach rogóżki i maty służące na upięknienie ich mieszkań. Inne wyroby przemysłu Fidżian są wazy i naczynia gliniane, karbowane maczugi, spisy i czółna. Próbki ich rzeźb i użycie farb do deseni nie są bez zalety, a przynajmniéj wskazują ich zręczność w farbowaniu; lecz sztuki w ogólności są tam w stanie uśpienia. Instrumentami ich muzycznemi są muszle, flotrowers, piszczałki, bębenek i dromla. Ulubionemi ich rozrywkami są zapasy, bieganie na wyścigi, huśtawki, gra w ślepą babkę i słuchanie opowiadania bajek. Ze wszystkich zabaw wszelako najbardziéj lubią taniec.

Piszący o Fidżianach podziwiają postawę ich ciała jako najpiękniejszą ze wszystkich plemion Oceanii; nie mało też powiedziećby mogli na zaletę ich umysłowych przymiotów i charakteru, gdyby nie owo obrzydliwe ludożerstwo, o którem wyżéj była mowa. Inną jeszcze

upatrują wadę, że jak powszechnie między azyatyckiemi ludami tak i u nich panuje wielożeństwo, przynajmniéj między wodzami, co daje powód do wielu dzieciobójstw. Nie bronią im jednak zwyczaje, owszem upowszechniają przybieranie opuszczonych sierot za dzieci własne, co nie dowodzi braku między nimi wrodzonéj dobroci. Wzajemność przywiązania i szacunek między członkami rodzin, według świadectwa pisarzy, mają im od saméj religii być nakazywane. Co więc w nich złego i ich skazą, musi iść na karb i jest zabytkiem zastarzałego zdziczenia.

Co się tyczy ich religii, według pisarzy angielskich, fetiszyzm w niéj jest połączony z politeizmem. Istnienie niewidzialnéj i najwyższéj Istoty jest powszechnie przez nich uznawanem. Bóg czyli raczéj bałwan któremu największą cześć oddawać zwykli, zowie się N dengi, będący uosobieniem idei wiecznéj i niezmiennéj trwałości. Inne istoty ich czci są dwojakiego rodzaju: bogowie właściwi, i jak w mitologii greckiéj śmiertelni a dzielni ludzie ubóstwieni, duchy wodzów i wielkich wojowników, ludzi stałych w przyjaźni, a nawet strasznych potworów. Pewne gatunki kamieni poczytują za posiadające przymioty bogów; ptastwo, ryby, rośliny mają pewną część bóstwa w sobie; zgoła, cały świat stworzony jest jego siedliskiem. Dla tego w mniemaniu Fidżian wszystkie ich doliny, jaskinie, skały i knieje lasów, przepełnione są niezliczonem mnóstwem istot niewidzialnych dla oka; zkąd powstała pośród nich wiara w upiory, czary, złe oczy i urok. Nadając zwierzętom, roślinom i nieorganicznym nawet jestestwom duchowe przymioty, Fidżianie sądzą, że one wszystkie mniéj więcéj są nieśmiertelnemi; lecz tak je klasyfikują, że mało które z nich zdoła osięgnąć nieśmiertelność. Człowiekowi przysądzają dwa duchy, ciemnego i jasnego; pierwszy po zgonie idzie do podziemnych krajów, a jasny którego podobiznę widuje się w wodzie lub zwierciedle, pozostaje w miejscu gdzie kto umarł. Chociaż przypuszczają istnienie pogrobowe, niemają jednak czystego wyobrażenia o karze i nagrodach za złe i dobre; świat przyszły w ich mniemaniu, nie wiele różny od teraźniejszego. Miejsce Mbulu bywa siedliskiem zmarłych, gdzie dobrzy i źli razem z sobą mieszkają. Muri-

murya jest siedliskiem mniejszéj szczęśliwości w Mbulu; w niéj mniéj lub więcéj używają zmarli bólu lub rozkoszy, bez względu atoli na złe lub dobre postępki za życia. Właściwym rajem fidżyjskim jest Mburoty, obfitujące w wonne gaje, kwieciste błonia, pod jasnem i niezachmurzonem nigdy niebem.

Co do oddawania czci bogom, Fidżianie niemają ustanowionych na to pewnych dni, lecz uciekają się do nich tylko z błaganiem w ciężkich dla kraju przygodach dla odwrócenia niedoli. Duchowieństwo u nich jest dziedzicznym stanem albo raczéj kastą, i wywierało dawniéj wielki wpływ na umysły ludu, który się jednak za ostatnich czasów znacznie zmniejszył. Świątynie swe zowią burami. Jednym z religijnych obchodów jest ofiarowanie w świątyniach pierwiastków z *Yamu*, gatunku ziemniaków rosnących pod zwrotnikami. Ludożerstwo jest także religijną instytucyą, bo w ich mniemaniu bogowie lubią nasycać się krwią ludzką. Dla wstępujących w progi świątyń nakazuje się milczenie i uszanowanie miejsca. Uroki, sądy boże, jasnowidzenia i sny stanowią ważną część ich wiary i zabobonów. Wiarę w nie podkopały i znacznie osłabiły misye Metodystów angielskich, przysposabiających fidżian do przyjęcia wiary chrześciańskiéj, i przyczyniły się znacznie do złagodzenia dzikości obyczajów, że przecie bezpiecznie dla europejczyków między nimi przebywać. Pod tym względem niemożna odmówić tym ludziom poświęcenia i wielkiéj zasługi dla ludzkości.

Atoli zastarzałe obyczaje i złe skłonności nie dają się od razu wykorzenić. Zdarzyło się bowiem niezbyt dawno, że Fidżianie dopuścili się niegościnnego gwałtu nad drużyną okrętu amerykańkiego który na ich wyspy był zawinął; zabili kilkunastu ludzi, z których podobno swym obyczajem smaczny sobie bankiet wyprawili, a drudzy poranieni ledwie życie z sobą unieśli. Rząd Stanów Zjednoczonych upomina się teraz u króla Takomban wynagrodzenia 45,000 dolarów, a co gorzéj, może gotuje się z zemstą. Owóż aby jéj uniknąć i zasłonić się od niéj, król ten umyślił z całem swem królestwem ludożerców poddać się pod opiekuńcze skrzydła Anglii. Jeśli ona go pod nie podgarnie — co wszakże jest jeszcze rzeczą wątpliwą — wypadnie jéj za 45,000 dolarów za-

ręczyć lub saméj takową sumę rządowi Waszyngtońskiemu wypłacić. Protektorat nad tym archipelagiem wysp niebyłby dla Anglii bez korzyści, gdyż zrównoważyłby wpływ francuzki na Tahiti i Nowéj Kaledonii, przecinając zarazem linię francuzkich posterunków na Oceanie spokojnym.

Jeszcze parę słów dla filologów, a skończę. Język Fidżian ma wiele właściwości wspólnych językom malajo-polinezyjskim; jest on wyrazisty, płynny, bez różnicy rodzajów. Naliczyć w nim można do piętnastu różnych narzeczy. Obfituje w synonimy i złożone wyrazy. Misya Wesleyska ogłosiła drukiem jego gramatykę i słownik tak fidżyjsko-angielski jak i angielsko-fidżyjski. Przybył więc dla filologicznych stowarzyszeń nowy skarb do poznania. James Calvert, który wśród Fidżian 17 lat przepędził, ogłosił ciekawy raport o pracach téj ewangelicznéj misyi Metodystów między tą dziczą mnogowyspnéj Oceanii.

Miejcie to co się tu o wyspach Fidżyjskich pisało za przyczynek do nowoczesnéj geografii, bo za taki go wam udzielam. Dla kronikarstwa z Anglii najobszerniejsze dla piszącego otwarte pole; gdyż niedość jedynie pisać o niéj, ale trzeba także obejmować wzrokiem mnóstwo jéj osad rozsianych po całym okręgu ziemskim i oceanach, zespolonych z nią pod jednem berłem, a których ona jest wielką metropolią.

Nie znano dotychczas, choć dawno poszukiwano sposobu do zachowania roślin lub ciał zwierzęcych w całości, podlegających rychłemu zepsuciu. Ten środek ważny teraz odkryty, p. Raddi go wynalazł. Dzieje się to ochronienie ciał od dekompozycyi za pomocą kwasu krzemiennego *acidum silicicum* nasiąkając go nim. Próbki takich substancyj w ten sposób zachowanych, mianowicie: kilka ryb, sztuka jedna wołowiny, druga baraniny, kura, kuropatwa i ostrygi, znajdują się złożone w Kensington-Museum, i wydają się tak świeże jakby były w pierwotnym swoim stanie. Ten proces skamieniania, raczéj skrzemieniania przedmiotów roślinnych i zwierzęcych, z natury swéj tak prosty i łatwy, może z czasem stać się nieoszacowanym do robienia preparatów do gabinetów historyi naturalnéj i anatomicznych, zwłaszcza w takich razach w których przecho-

wywanie przedmiotów w spirytusach nie jest dostatecznem, lub nieda się wcale uskutecznić.

W Jeruzalem zawiązało się Towarzystwo literackie do zbierania w Ziemi Świętéj pamiątek historycznych i zabytków starożytności, a z czasem niknących. Zagaił posiedzenie konsul angielski p. Finn i w mowie stosownéj do okoliczności wzywał do obowiązku chrześciański świat dla uratowania pozostających pamiątek od zagłady. Konsulowie wielu państw europejskich byli obecni na posiedzeniu i oraz spory poczet znakomitych podróżnych z różnych krajów. Uznano potrzebę wezwać na ten cel do składki, i w Anglii ksiądz M'Caul upoważniony został do zbierania onych. Gorliwy ten kapłan znany jest wielu rodakom, kilka lat bowiem bawił w Warszawie aż do roku 1832, jako naczelnik misyi angielskiéj do nawracania żydów w królestwie polskiem i wschodnich Prusach. Podczas pobytu swego u nas, za pomocą nowochrzczeńców przetłumaczył on i wydał drukiem *Nowy Testament* na zepsuty żydowski język, jakiego żydzi u nas między sobą używać zwykli. Po wydaniu ukazu przez Cesarza Mikołaja niepozwalającego misyom angielskim przebywać w krajach pod jego berłem zostających, ksiądz M'Caul powrócił do Anglii, gdzie objął katedrę języka hebrajskiego w tutejszem kolegium królewskiem i teraz jest dziekanem katedry ś. Pawła.

Rzym w marcu.

Jesteśmy w pełni rzymskiego karnawału, najpierwszego w świecie, zwłaszcza po przywróceniu zabronionéj maski, albowiem weneckie zapusty opiewane przez wieszcza „Maryi“ utraciły świetność swoją, odkąd perła adryatycka wypadła z potężnych szpon lwa ś. Marka. Tego roku rzec można sprawiedliwie, iż nieba sprzyjają niezmienną pogodą i niezaćmionemi uśmiechy zabawie śmiertelników; nigdy czas nie był tak wiosennym, tak ciepłym; letnie powiewy wabią wszystkich na przechadzkę, urocze widowisko południowéj rozkwitającéj natury zatrzymuje wszystkich na podniebiu; zdaje się jakoby pogoda dokoła rozlana wnikała w oddech i

w życie każdego, i krew ulatniała w żyłach. Niechce ci się wierzyć wśród tego ciepła, zieloności, kwiatów i powszechnego rozjaśnienia, że istnieje gdzieś ciemność, burza, niepogoda, iż „na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,“ iż „robak się lęgnie i w bujnym kwiecie“... Szczęście i wiosna mają to do siebie, że napełniają serce ludzkie niedowiarstwem w niedolę i w zimę...

Zapewne to wpatrując się w wiekuistą krajów swych pogodę i wiosnę, teogonia starożytnych nabierała tego spokoju, harmonijnego natchnienia i elizejskiéj słoneczności, jaka cechuje greckie myty, jaką tchnie postać Apollina i sióstr dziewięciu, wiersze Homera, Wirgiliusza i rzeźby Partenonu. Epikureizm wylęgał się wprawdzie jak płaz poziomy pod temi kwiatami natury, poezyi i sztuki, zmysłowość kalała najświętsze uniesienia i ciążyła kamieniem na najśmielszych polotach; lecz niepodobna znowu obyczajem dzisiejszych stetryczałych purystów hołdujących osowiałości w pożyciu, szpetności i chudziznie w sztuce, a grubiaństwu w literaturze, kochać się w samych abstrakcyach, zaprzeczać wszystkiemu co starożytność miała szczytnego i nieskażonego, i utrzymywać, że tchnienie rajskie nie ożywiło snów Platona, helleńskiéj Psychy i Wenery Uranii.... Lecz cóż, kiedy dla szanownych purystów pierwsza nawet miłość obraną jest z dziewictwa, moralna przyroda nie miewa nigdy swego kwietnia, pożądliwi są od kolebki, pijani są od goryczy, umartwieni bez miłości, a ze sztuki gotyckiéj którą wyłącznie uwielbiają, przejęli tylko jedną rzecz— nie szczytność i strzelistość, lecz jedynie ostrość kątów...

To zboczenie odwiodło nas pozornie od karnawału rzymskiego a zbliżyło ku starożytnéj teogonii, lecz pozornie tylko, albowiem ścisły zachodzi stosunek między pierwszym a drugą. Ośmnaście wieków pełnych usiłowań papieży nie zdołało dotychczas wyplenić pogaństwa na siedmiu pagórkach; wkorzenione w rdzeń ludu-króla kiełkuje ono dotąd we wszystkich jego zwyczajach i przebija we wszystkich zabawach. Rzymianin został wprawdzie chrześcianinem w wyższéj poważniejszéj części swéj istoty, w wiecznéj jéj połowie; niższa zaś doczesna połowa została tém czém była za Jowisza i Afrodyty, zachowała białą szatę augurów i kozlą skórę lu-

perków pod chrzestną sukienką. Porównałbym chętnie dzisiejszego rzymianina do jednego z tych chrześciańskich posągów, w jakie obfituje wieczne miasto, a jakie stoją na podnóżu dawnego Bachusa albo na ołtarzu wotywnym, kędy się czytać daje: *diis manibus* tego lub owego. Karnawał rzymski jest mieszaniną dawnych luperkalii, saturnalii i bachanalii; rozdawanie cukierków i kwiatów należy do saturnalii, na których się wzajemnie upominkami obsyłano; luperkalie, obchodzone także w lutym lub marcu, zostawiły zwyczaj ćwiczenia się wzajemnie pęcherzami, co się u starożytnych *cantomidiare* nazywało, od greckiego wyrazu *κατ᾽ ὤμων*, po plecach, albowiem luperkowie, kapłani bożka Pana, biegając nadzy po Rzymie, uderzali niewiasty poddające się w zawody takim razom, którym przypisywały własność czynienia ich płodnemi. *Moccoletti* zaś czyli świeczki bez liku zamykające tutejsze zapusty, przypominają święta Wulkana, na ktorych wyprawiano wyścigi z lampami w ręku, a kto wyprzedzonym zostawał, winien był oddać lampę swą innemu, zkąd powstało potoczne u Rzymian wyrażenie: *lampadam suam alteri tradere*. Lukrecyusz *De Rerum Natura* II, 77, i scholasta Arystofanesa w przypiskach do *Żab* wspominają o tym zwyczaju.

Chciałbym, aby ci z was którzy nie byli w Rzymie, powziąść mogli z mego niekształtnego opisu jakie takie wyobrażenie o tém jedyném w świecie widowisku; ale cóż kiedy ten opis okaże się zawsze w stosunku do rzeczywistości tém, czém jest fotografia w stosunku do oblicza: zarys twarzy pozostał, ale życie, barwa, koloryt, gra duszy w oczach a krwi w jagodach, wszystko to uleciało. Pragnęliśmy żwierciadlanego odbicia drogiéj nam osoby, otrzymujemy jedynie cień jéj znieruchomiony i czarny, jakoby go zaklęcie wróżki wywołało od bogów podziemnych....

Corso całe, główna ulica Rzymu, w milowéj długości swojéj zamienia się w ogromną teatralną galeryę: okna, balkony, bramy pałaców, drzwi domów i sklepów stają się łożami téj galeryi przystrojonemi w najjaskrawsze poduszki i obicia; kilkopiętrowe facyaty kamienic znikają pod kaskadą adamaszku i aksamitu, pod strumieniem złotogłowu, każda z tych lóż jak napowietrzny

kwietnik, jak zdrobniały ogród Semiramidy, napełnia się młodemi i niemal zawsze ślicznemi niewieściemi główkami. Mówię młodemi, albowiem godna uwagi, iż nowożytne rzymskie matrony mają dość taktu, aby rzadko, nader rzadko, prawie nigdy nie wplatać się w tę jednolitą girlandę hożych główek, jaka wielorakiemi rzędy bieży od jednéj kończyny *Corso* do drugiéj. Jeśli daje się tu i owdzie spostrzedz sędziwe jakie straszydło, jestto niezawodnie angielka, niemka lub rossyanka, która mści się garściami gipsowych oślepiających konfetów na płci męskiéj, iż ta jéj kwiatów nie rzuca. Starsze krajowe niewieście pokolenia bawią się rozmową lub rozmyślaniem, przyglądając się z kanapy rozrywkom młodego wieku. Owóż wspomniona żywa girlanda, na którą to zapewne patrząc nieodżałowany Granville powziął oryginalny a tak misternie przez siebie wykonany pomysł *Kwiatów ożywionych*, przetykana jest bukietami rzymskiemi jak fryza greckiéj świątyni z ludzkich i kwietnych postaci uwita. Znacie rzymskie bukiety z widzenia lub opowiadania, zna je Europa cała. Jestto cudna mozajka, w któréj Italia celuje zarówno jak w mozajce drogich kamieni: barwy rozsiane przez Stwórcę w łonie i na powierzchni ziemi splatają się w dłoniach téj mistrzyni, téj Penelopy narodów, we wzory jakich niezna przyroda; klejnoty zamieniają się w równianki a równianki w kunsztowną emalię z kwitnących klejnotów.... Bukietom rzymskim zarzucają nienaturalność i sztywność; co do mnie, upatruję w nich tylko malowniczą harmonię. Są one bez liścia, jak starożytne rzeźby bez odzieży, bo liść to odzież kwiatów, wyraz całéj rośliny znajduje się w jéj kwiecie jak największa piękność niewiasty w jéj obliczu; liść jest tylko harmonijnym dodatkiem do tego oblicza rośliny, jak piękna suknia, jak modny kapelusik. Bukiet rzymski uważam nadto za godło Włoszki, istoty bez kolców ni zasłon liścianych, w charakterze swoim pełnym naiwności, ognia i anielskiéj prostoty. Charakteru tego nie skaziła przesada i towarzyska obłuda, nie uwiądł on od pychy i miłości własnéj, jak w naszych salonowych trepauzach, gdzie zagraniczna guwernantka wmawia przez dziesięć lat w młodą panienkę, i to jeszcze obcym językiem, iż najprzedniejszém staraniem niewiasty winno być *unika-*

nie śmieszności i podobanie się przyszłemu mężowi za pomocą tak zwanych *talentów. Nie ubliżając licznym wyjątkom*, weźcie proszę młodą Polkę, jaką porozbiorowa arystokratyczna *edukacya* uczyniła, i postawcie ją obok młodéj Włoszki: ta ostatnia będzie jak kwiat na bujnéj niwie wyrosły i samodzielnie rozwijający się pod południowém słońcem, kwiat pełen wdzięku, barwy i słodkiéj miodowéj woni; panienka zaś nasza przy niéj wyda się jak piękny kwiatek zasuszony w angielskim lub francuskim słowniku, albo wychuchany w sztucznéj cieplarni, gdzie uczą gładkich formułek, eleganckich przepisów, drobiazgowego pamiętania o sobie i wiecznego trzymania się *sur le qui vive*, ale gdzie nigdy nie nauczą zapomnienia siebie na korzyść ogółu lub nawet jednostki. Przepraszamy was, że wśród opisu karnawału znalazła się mimowolnie pod piórem naszem tak bolesna i tak poważna prawda... Przypatrujemy się od dawna w milczeniu, ale dotąd nic upatrzyć nie zdołaliśmy w wychowaniu naszych panien z wyższego towarzystwa oprócz szumu, dymu i przesady, nic coby podobném było do wychowania córek zagranicznéj szlachty, wyjąwszy wspólną znajomość tańca, śpiewu i rysunku. Nad każdą z tych złoconych lalek, nad każdym jéj szlachetnym popędem i poważném uczuciem wisi podwójny miecz Damoklesów: oględności na ludzi i obawy śmieszności, czyli zrozumialéj dla nich *le respect humain et la crainte du ridicule.* Nigdy Moskwa i Tatarzyn babek naszych tak niestraszyły jak je straszy śmieszność i niebezpieczeństwo skompromitowania się w lada fraszce. Brakuje im zaiste do spoważnienia i rozdarcia stucznéj atmosfery, w któréj są uwikłane jak muchy w pajęczynę, brakuje im powiadam walnéj nędzy, lub wielkiéj raz w życiu boleści, lub nareszcie prawdziwego polskiego żywiołu — wojny, a téj ostatniéj z duszy im życzę... Nie wiem doprawdy dla czego nasi Teofraści i Labruyerowie tak mało się dotąd na tém spostrzegli; co do nas, wolny głos zabieramy o wadach naszego kobiecego wychowania, jak ci dawni posłowie którym mówić dozwoloném było *cum respublica in discrimine versaretur*, albowiem przekonani jesteśmy, że złe się w nas tak rozwielmożyło przezto jedynie, tż pisarze nasi woleli być częściéj poetami, krytykami i dworakami niż mora-

listami, przezto iż brak im cywilnéj odwagi względem kobiet... Zresztą dalecyśmy od rzucenia klątwy na wychowanie całego narodu jak Scypion na ojczyznę a Katon na cnotę, i nie tajno nam:

Że w niskich chatach i po starych dworcach,
Gdzie niedosięgła pycha ni zepsucie,
Jeszcze tam mają...............
Jeszcze tam mają poczciwe uczucie...

Ale dokądże nas nie zawiodły bukiety rzymskie, których z resztą miła woń nie jednego już wyprowadziła w pole?... Więc od drażliwéj kwestyi wróćmy znowu do bukietów, do niewinnych kwiatów ogrodowych i polnych, których kosze wszędzie się widzieć dają. Są to pociski na kobiety lub mężczyzn, co się podobają rzucającemu lub rzucającéj; na niemiłych zaś są *confetti*, rodzaj gipsowych krup, któremi ich obsypują i obielają niemiłosiernie, i dla tych to właśnie konfetów osoby nienoszące nawet maski, ubierają się w płócienne domina na karnawałową przejażdżkę lub przechadzkę po *Corso*, i opatrują się w drucianą przyłbicę dla bezpieczeństwa ócz. Cudzoziemcy odznaczają się nierozważném miotaniem konfetów na wszystkich bez wyjątku; Anglicy mianowicie oddają się z zapamiętałością młynarskiéj rozrywce obsypywania publiczności mąką. Zabawa w taki sposób pojęta utraca wszystko co stanowi jéj oryginalność, delikatność i zaletę; zamienia się w proste uliczników psoty, w rozrywkę tejże wykwintności co boxowanie i francuska *savate*. I dla tego to wyspiarze, toż inni cudzoziemcy napróżno usiłują bawić się tak jak się bawią Rzymianie i Rzymianki: zbywa im na tym wdzięku i żywości bez grubijaństwa, na tym dobrym smaku i publicznym, że tak powiem, takcie, które bywają wykwitem starodawnéj samorodnéj oświaty, długoletniego pielęgnowania estetycznych kunsztów i odróżniają ucywilizowane społeczeństwa od innych, jak wrodzona delikatność w obejściu się odróżnia nieraz szlacheckie dzieci od mieszczańskich. Trzeba widzieć rodowitych Rzymian i rodowite Rzymianki na *Corso*: z jaką zgrabnością, zręcznością i wybrednością rzucają, przyjmują i wracają bukiety! Jak każdy ruch ich jest zna-

czącym, każde skinienie dobitném, każde spojrzenie wyrazistém! Jak wiele milczanych wyrazów i oświadczeń mieści się w sposobie, w jaki ten piękny młodzieniec w stroju transteweranina podaje téj panience wiązankę fijołków, i w jaki ta śliczna panienka w narodowéj na czarnych splotach zasłonie oddaje mu w zamian cukierek! Jakie mnóstwo tych malowniczych, spokojnych i niemal sielankowych epizodów spotyka się co krok pośród największego tłumu i zgiełku, pośród kaskad i chmur z konfetów, pośród powozów pełnych zakapturzonych dam i mężczyzn, pośród bukietów ciskanych jak grad lub spuszczanych na nitkach z góry dla podrażnienia masek, pośród skaczących pulczynellów, brigellów, stentarellów, professorów, markizów, szarlatanów i innych tysiącznych figur włoskiéj maskarady w perukach, w kapeluszach, w czepkach, z oślemi, kociemi i małpiemi łbami, na których sterczą kominy lokomotyw, sążniste czapki astrologów dosięgające balkonów kamienic, i w koło których wzdymają się krynoliny szerokości ulicy!

Każda maska ma jakiś dowcip do powiedzenia, a każdy dowcip puszczony w obieg wzbudza oklaski i wybuch kilkotysięcznych śmiechów. *Lazzi* takowe stosują się szczególnie do lóż, w jakie się pozamieniały okna i drzwi domów, a kędy zasiadają najpiękniejsze dziewczęta. Tam to dopiero przed niemi zawięzują się żwawe rozmowy, przycinki i żwawsze jeszcze rzucanie konfetów i kwiatów! Tam to dopiero burzy się i mąci ludzka fala mieniąca się pstrocizną wszystkich barw i najeżona piórami, rogami, zawojami, oślemi uszami i dłońmi precz powznoszonemi ku ciskaniu lub łapaniu kwiatów i cukierków... Nad tą wzburzoną u stóp jéj falą, spokojna wieśniaczka— bowiem śliczny wieśniaczy strój włoski jest przyjęty przez wszystkie niemal Rzymianki podczas karnawału— unosi się i panuje jak cudna Galatea Rafaela nad tłumem igrających delfinów. Z królewską powagą a z południową żywością odpędza ona natrętnych i wybiera w całym tłumie najmilszego sobie młodziana by go udarować najpiękniejszym cukierkiem... Ale tłum niedługo się zatrzymuje, a fala jak na morzu przepływa za falą, bo żadnéj prawie dziewicy nie jest tutaj danem powiedzieć: jestem najpiękniejszą na *Corso*,

bo piękności tego zwłaszcza roku jest niezliczona liczba a jedna udatniejsza, zgrabniejsza i ognistsza od drugiéj, a wszystkie marmurowo-białe lub brzoskwiniowo-śniade, z oczyma, włosami, ustami i zębami, dla których wszystkie przyrównania do gwiazd, hebanu, róż, korali i pereł możnaby wysypać jak confetti z torby poetycznych przenośni, a nicby się jeszcze niepowiedziało!...

Lehman, ów artysta, który miewa częstokroć greckiéj czystości natchnienia i wniknął w tajemnice południowego piękna jak żaden z jego kolegów, Lehman, powiadam ukończył w tych dniach obraz przedstawiający pojedynczy widok jednej z wyż wspomnionych lóż na *Corso*. *Illustration* paryzka wkrótce wyda rycinę tego obrazu podług fotografii, którą jéj ztąd posyła znany Francyi i Włochom poeta p. Ludwik Delâtre, korespondent rzeczonego pisma. Nic sobie wyobrazić nie można świeższego i poetyczniejszego nad te niewiasty, które artysta umiał przenieść żywcem z natury na płótno; ale ta natura jest tak piękną, tak malowniczą, że niechce się niemal wierzyć, ażeby te postacie istniały po za idealną sferą. A jednak znam lożę zupełnie do téj podobną... Znajduje się ona na *Corso* w kamienicy pod n 506. Nie dacie mi wiary, gdy was zapewnię, że ją przenoszę nad obraz Lehmana i wolę od niego....

Jedna z dwóch dziewic, które w niéj widać, zaczyna dopiero piętnasty rok życia, ale dla Włoszki wiek ten jest pełnią wdzięków i urody. Typ niewieści rzymski grzeszy nieraz zbytnią czerstwością i wyrazem siły; ale w dziewicy, która zapewne służyła za wzór Lehmanowi, wszystko jest zespoleniem dziecięcéj delikatności z afrykańskim ogniem. Teokryt nieśmiałby u stóp jéj powtarzać swych sielanek, Ossyan nazwać ją Malwiną ani Goethe Małgorzatą; ale pradziad jéj Salvator Rosa, (należy ona bowiem do rodziny sławnego malarza) chcąc zadziwić widzów jedną z cudownych a zwykłych sobie sprzeczności, wyobraziłby ją pośród wulkanicznych skał, wyschłych potoków i przepalonéj do rdzenia przyrody jako upajające zjawisko jednéj z tych dziewic rzymskich, których wspomnienie ścigało ś. Hieronima na puszczy i wpijało się wonną różą i balsamicznym hiacyntem przez ogniwa włosiennicy w wycieńczoną i skrwawioną pierś anachorety... Jeśli branka, którą przywiedli

Scypionowi równie mu się piękną objawiła przy łunie pożogi, na tle pogorzeliska, i jeśli Scypion miał, jak wmawia w nas stary Liwiusz, odwagę odwrócić od niéj oblicze, nie dziwię się po takiém zwycięstwie, iż Annibala na głowę poraził i że wszyscy dziejopisarze wyśpiewali na wszystkie tony cnotę Scypionową. Odwrócenie ócz od takiej istoty czyni zapewne świętych i bohaterów, a jedno spojrzenie na nią poetów i szaleńców. Wieszcze, dawni wieszcze, ci którzy na dobre jeszcze marzyli i śnili, miewali niekiedy sny podobne do téj prawnuczki wielkiego mistrza; a sen taki, gdy raz stanął na jawie pod imieniem Kloryndy lub Ofelii, Laury lub Eleonory, chwytał dłoń co go wierszem odziała i wiódł śpiewaka prosto ku nieśmiertelności... Strój wieśniaczy nadaje ptasiéj lekkości jéj ruchom, posągowości jéj kształtom, a dziwnéj wyrazistości jéj czysto włoskiemu typowi, jaki szkoła Leonarda da Vinci uwieczniła w swoich obrazach. Biała narodowa zasłona pokrywająca z architektoniczną symetryą krucze zwoje ogromnych warkoczy, oprawia w swój czworokąt rysy, jakie wymarzyć tylko może gorączka artysty lub zachwyt sułtana upojonego haczyczem. Kibić uchwycona w aksamitną sznurówkę i w podwójną spodnicę zieloną i czerwoną, z których wierzchnia jest malowniczo podpięta, ma giętkość i chwiejność kwietnéj łodygi: nigdy nie widziałem kobiety tak podobnéj do kwiatu, a to bez wszelkiéj przenośni i uciekania się do oklepanych porównań...

Ale opis ten uniósł mię za daleko... Nie żałuję przecież tego, co mi się z pod pióra wymknęło, choć wydrukowanem zostanie, albowiem podając wam niestworny szkic rzymskiego karnawału, wypadało doń dołączyć dla poznajomienia was z jego osobami, drobną fotografię jednéj z jego bohaterek, nie podług obrazu Lehmana wykonaną, lecz z natury zdjętą. Jasną jéj stronę przypiszcie jedynie południowemu oświetleniu obrazu i bajecznéj piękności czarodziejki, wszystkie zaś cienie i plamy atramentowi pióra mego, co się pokusiło przenieść na papier utwór słonecznego promienia, sen nocy letniéj... Lehman ją misterniéj odemnie odwzorował, już przeto że jest wielkim artystą, już z powodu że ją widział i wyobraził ze spuszczonemi oczyma. Jam zaś

przechodził w chwili gdy podniosła oczy i . . . ręka mi zadrżała . . .

Dziś karnawał się kończy; za kilka godzin *moccoletti*, dawny zabytek świąt Wulkana, zamienią *Corso* w ogromną rzekę światłości; rzekłbyś że wszystkie gwiazdy obsypały cię z firmamentu jak przekwitłe róże i dokonywają obiegu swego ruszając się po ziemi. Każdy usiłuje zgasić świeczkę sąsiadowi a ocalić lub zapalić swą własną, jeśli mu ją zgaszono. Z okien powiewają chustki na długich trzcinach gaszące światła w niższych oknach albo na ulicy. Ztąd zgiełk, krzyk, szamotanie się nie do wypowiedzenia, gdy z powozów dmuchają i powiewają na publiczność, a piesza publiczność skacze na powozy i wdziera się do okien dolnych piąter. Jestto fantasmagorya, widowisko z Tysiąca nocy i jednéj, a te pląsające i krążące światełka przyrównać się chyba dadzą do płomyków latających w ostatnim akcie Roberta, kiedy zaklina dusze zakonnic.

Ale te błędne radości ogniki są zarazem zamknięciem karnawału i zawodzą pożegnalny taniec na ogromnem rumowisku kwiatów i konfetów, dopóki je złowieszczy Popielec nie przyprószy i nie udusi jak to Wezuwiusz uczynił z Pompeją . . . Więc czekając smętnéj i strasznéj wielkiego postu chwili, maski spieszą dokonać dziesięciodziennego istnienia swego w teatrze Apollo, gdzie bywa tego wieczora ostatni *festino* czyli bal maskowy... Balów takich było już trzy a dzisiejszy jest ostatnim. Bieżmy tedy spiesznie do rzeczonego teatru dla dostojnego pogrzebania karnawału 1859 roku, najświetniejszego jaki Rzym pamięta od lat kilkudziesiąt, bo kilku królów i królowych, niezliczona liczba książąt różnych rozmiarów i jaśniej lub ciemniéj oświeconych, między któremi był szwagier cesarza Lahory i brat cesarza Abissynii, tudzież cala Europa wzięła w nim udział, bo mu nareszcie sprzyjała ustawicznie cudna prawdziwie włoska niezaćmiona żadną chmurką pogoda.

Festino nosi piętno całkiem włoskie, wszystkie na nim kobiety są zamaskowane, wszyscy zaś mężczyzni bez masek. Nikt nadto nie tańczy, lecz wszyscy się tylko przechadzają po teatrze zamienionym w ogromną balową salę i oświetlonym *a giorno*. Drzwi od wszystkich lóż stoją otworem, tak iż maski mogą swobodnie

wchodzić do każdéj z nich. Nie spotykasz tutaj hałaśliwego szału, jaki cechuje bale maskowe w Paryżu; Rzymianie rzadko się śmieją... Patrząc na te pary tajemniczo przechadzające się po sali i szepcące sobie do ucha z pod aksamitnéj maski, wziąłbyś całe zgromadzenie za wielką schadzkę kochanków lub sprzysiężonych . . . Jakoż w rzeczy saméj rej tutaj wodzi nie polityczna lecz miłośna intryga, a Włochy pod tym względem, pomimo zaprzeczeń lub też odbierającéj wiarę przesady podróżników, nieprzestały jeszcze całkiem być Włochami.

Widnokrąg polityczny co raz się bardziéj zaciemnia... Bóg wie jaki *Czyściec* Dantejski czeka jeszcze piękną Italię, zanim *la nave senza nocchiero in gran tempesta* dobije do jasnych i pogodnych brzegów *Raju*... Jakkolwiek bądź karnawał 1859 roku zostanie najświetniejszym, jak zapewniają sami Włosi, z całego upłynionego półwieku karnawałem, a może niejeden romansopisarz przebiegając sprawozdania rzymskich korespondentów i patrząc na cudny obraz Lehmana, wysnuje z nich wątek do powieści i zapyta czytelnika jak Malczeski:

Czy znasz *rzymskie* zapusty?

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Nie wielka liczba nowości przybyła nam w ubiegłym miesiącu; niesłychać również o większych dziełach przygotowywanych do druku, wyjąwszy, że Opis historyczny katedry na Wawelu wygotowywany przez Księdza Biskupa Łętowskiego niebawem zacznie się drukować; zwłaszcza, że chromolitografie mające zdobić to dzieło, wykonane już zostały w większéj połowie, przez sławnego belgijskiego artystę Stroobanda. Oglądając te przepyszne widoki, śmiało możemy powiedzieć, że dotąd nigdy jeszcze ani pomniki nasze, ani ojczyste krajobrazy, nie były z równie wysoką artystycznością oddane. Pierwszy to raz występuje malarz godny wzoru.

Z drukarni Czasu wyszło: przemówiennie w czasie żałobnego nabożeństwa za duszę ś. p. Stanisława Rogaskiego ucznia instytutu technicznego zmarłego w 18m roku życia; miane d. 29 stycznia 1859 w kościele OO. Kapucynów przez ks. Henryka Księżawskiego: kaznodzieję kat. Krak. — Także w przedruku z Czasu: kilka słów o obecnym stanie akademii lekarskiéj w Warszawie p. Pr. Ditla. — *Kotwica* Towarzystwo zabezpieczenia życia i Rent.

Obok drobnych tych broszur, wydawnictwo Bi l. polskiéj K. Turowskiego wydaje zeszyty po zeszytach, tak Herbarza Rycerstwa Bartosza Paprockiego, jak rzadkich pod względem bibliograficznym pisemek. Co do ostatnich wyszły następujące dzieła: *Dyaryusz* Tranzakcyi wojennéj między wojskiem koronnem i Zaporozkiem w r. 1638 — tudzież *Kontynuacya* dyaryusza wojennego w r. 1638. Oba te pisma są utworem ks. Szymona Okolskiego, dominikana i kaznodzieję wojskowego, który jako kapelan towarzyszył hetmanowi polnemu Mikołajowi Potockiemu w wyprawach przeciw kozakom w latach 1637 i 38. — Następnie wyszła: *Polska niżna* albo osada polska przez X. Piotra Grabowskiego — tudzież *Zwierciadło* Rzeczypospolitéj polskiéj na początku r. 1598 wydane. — Celem tych pisemek jest ukolonizowanie stepów ukrainnych,

i zapewnienie tym sposobem tych prowincyi Rzeczypospolitéj.

Lwów. W ubiegłym miesiącu drukarnie tutejsze prawie zupełnie próżnowały. Nie pojawiło się nic ważniejszego z dzieł treści naukowéj ni beletrystycznéj. Stagnacya ta ożywi się zapewne po Wielkiéjnocy, kilka przygotowanych rękopisów ma wejść w owym czasie pod prasę — Między temi księgarz Wild zapowiada nowy poemat Lenartowicza.

Maniecki wydał książkę do nabożeństwa pod tyt. „Miesiąc Maj, poświęcony Bogarodzicy Maryi“. Książka ta zawiera rozmyślanie i modlitwy na każdy dzień miesiąca, przez ks. Jakóba Nowakowskiego. W końcu dodane są śpiewy nabożne i inne poezye treści religijnéj ks. Karola Antoniewicza. Ozdobiona dziesięcią obrazkami litografowanemi. Druku arkuszy 8 format 12°.

Wyszła także: „Praktyczna nauka o hodowaniu drzewa morwowego i gąsienic jedwabniczych w Galicyi“, przez Franciszka Ksawerego Kuhna, bezpłatnego nauczyciela jedwabnictwa w Przeworsku. Autor wielki miłośnik i znawca jedwabnictwa, który od lat dwudziestu plantacye drzew morwowych własnemi rękami pielęgnowanych w obfitości posiada, wylicza w dziełku swem gatunki drzew morwowych dotąd pielęgnowane w Galicyi, między któremi daje pierwszeństwo morwie czerwonéj, jako szczególnie dobrze klimat nasz znoszącéj. Następnie wykłada zwięźle i popularnie naukę pielęgnowania morwy i uprawy ziemi pod zasiew morwowy przeznaczonéj. W drugiéj części przechodzi do wykładu nauki o chowie gąsienic jedwabniczych. Dodane dwa rysunki litografowane, przedstawiają kilka gatunków drzew morwowych. Książkę poświęcił autor księżnie Cecylii Lubomirskiéj.

Aleksander Szedler, autor pięknéj powieści *Semeńko*, która wyszła w zeszłym roku nakładem K. Wilda, napisał komedyę z życia salonowego pod tyt. Pamiętniki ciotuni, w dwóch aktach. Odczytana w dobranem kole znawców, bardzo się podobała. Życzyć by należało ażeby autor nie ociągał się z udzieleniem jéj dyrekcyi teatru i swym pięknym utworem zechciał wzbogacić repertoar sceny tutejszéj.

Sanok. Znany zaszczytnie z wielce pożytecznego wydawnictwa dla religijnego kształcenia ludu, X. Antoni Zasłuski wychodzącego pod napisem: *Biblioteki Parafiańskiéj* wydał teraz w siedmiu zeszytach tworzących gruby jeden tom: *Katechizm* nauki, wiary i obyczajności chrześciańskiéj dla ludu katolickiego w zastosowanym do pojęcia każdego wykładzie. — Dotąd jak wiadomo, wyszły tą koleją następujące pisma: Rok kościelny, krzyż Chrystusów, Bractwo Różańcowe, Tom pierwszy katechizmu. — Byłoby z wielką korzyścią aby oprócz dzieł mających na celu nabożeństwo i samą praktykę religijną, wydawnictwo to przedsięwzięło obrobienie żywotów tak ze Skargi, jak z Matki świętych polskich Jaroszewicza — przez co wieleeby się przyczyniło do zaszczepienia i rozwinięcia moralnego i bogobojnego życia w stanie wieśniaczym.

Bochnia. Księgarnia Wawrzyńca Pisza ciągle się trzyma w przedsięwzięciu wydawania książek do użytku powszechniejszego dla ludu, dla młodzieży. Obecnie ogłosiła dziełko pod tytułem: *„Praktyczna nauka hodowania drzew owocowych z osobliwszym względem na włościan i młodzież szkolną po wsiach i mia-*

steczkach, przez F. W. Ulricha ułożona. Tłómaczenie J Lompy, członka Korr. c. k. Towarz. gospod. roln. w Krakowie — str. 75. 4ry tablice z rycinami.

Warszawa. Marcowy Zeszyt Bibliot. Warszawskiéj podaje następujące artykuły:

Urbi et orbi, powieść rzymska, przez Michała Budzyńskiego.

Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego Statutu Wiślickiego, podług przedmiotów ułożony, z uwzględnieniem poprawnéj wersyi w dziele pana Z. Helcla podanéj i z ocenieniem zdobyczy naukowych przez jego badania osiągniętych. Napisał Alexander hr. Stadnicki.

Królewicz Marko. Narodowe pieśni serbskie przełożone przez Romana Zmorskiego.

Adam na Melsztynie i Czekarzewicach Tarło, wojewoda lubelski. Ustęp z czasów Augusta IIIgo. Przez Leopolda Huberta.

Przegląd literatury zagranicznéj. Egipt współczesny, przez Pawła Merruan Przez Kazimierza Kalinkę.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Obrazy hiszpańskie w Luwrze.— Biblioteka pamiętników odnoszących się do historyi XVIII wieku, przez pana Barrière.

Renan'a przekład księgi Joba.— Alesia i Peru, przez profesora Desjardins.— Szczera explikacya Lamartina.— Izajasza przepowiednia suezkiego przekopu. — Zasługi roku 1858. — Wiadomości literackie.

Listy Adolfa Januszkiewicza ze stepu Kirgizkiego, pisane do rodziny i przyjaciół w 1846 roku.

Probostwo Poznańskie Jana Kochanowskiego. przez Józefa Przyborowskiego.

Kronika literacka. Pisma Józefa hr. Dunina Borkowskiego, wydał August Bielowski.— Poezye Edmunda Wasilewskiego. — Dziejopisowie krajowi Świętosława Orzelskiego Dzieje Polski. 3 tomy. Przez Leopolda Huberta. — Odpowiedź panu S. B. na kilka uwag o dowodach praw familijnych i o wypieraniu się dzieci nieprawych, z powodu rozpraw w tym przedmiocie Augusta Heylmana i Cypryana Zaborowskiego. Przez Adolfa Wolskiego. — Zarysy ekonomii społecznéj W. Ellisa, z zalecenia Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem, przełożył, przypisy dodał i uzupełnił Stanisław Budziński. Przez Z — Czas, dodatek miesięczny za miesiąc grudzień 1858. Przez W.

Rozmaitości. Spisy chronologiczne dawnych żupników w Polsce. Zbierał i ułożył Hieronim Łabęcki. — Wspomnienie Józefa Nowickiego przez A. Wagę.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia przez J. B...e.

Korrespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od W. P.

Kronika Bibliograficzna.

Doniesienia literackie.

Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc styczeń r. b.

Z doniesień literackich zawartych w tym zeszycie podajemy niektóre ważniejsze wiadomości.

Pomiędzy ważnemi dla kraju czynnościami, ma zamiar Towarzystwo Rolnicze ogłaszać konkursa na książki pisane dla ludu. Sądzimy, że czas dobrze wybrany, bo razem prawie z ogłoszeniem dekretu o oczynszowaniu włościan. System ten im prędzéj przejdzie w życie, tem bardziéj myśl ta będzie na czasie, bo czynszownik wszędzie w naszym kraju poczuwa więcéj potrzebę nauki czytania i pisania, niż chłopek pańszczyzniany. Zanim Towarzystwo Rolnicze myśl swą rozwinie, znany pisarz

ludowy J. K. Gregorowicz przedsięwziął wydawnictwo Biblioteki ludowéj, złożonéj z 10 tomików: każdy stanowiący całość w sobie. Każda część obejmuje powiastkę i popularny wykład nauki około roli, uprawy, nawozu, siewu, ogrodu, pasieki i t. p.

— Z listu Alex. Przezdzieckiego z Paryża, dowiadujemy się o ważnem odkryciu.

„Przezierając rękopismą Długosza (pisze) natrafiłem na M. S. księgi XII z XVI wieku, własność niegdyś ks. Chotelskiego, który odziedziczyl pozostałość po Kromerze. Na pierwszéj stronnicy odrysowany jest piórkiem portret Długosza w profilu z napisem: „Joannes Dlugoszus Canonicus Cracoviensis brevi, erat futurus Archiepiscopus Leopoliensis Obiit Anno Dn. 1480 *preceptor v. Institutor filior. Casimiri R. P.*“. Ostatnie wyrazy cursivą pisane są charakterem zupełnie Kromerowskim, jakem się przekonał, porównywając oryginalne listy Kromera. Twarz stara i zwiędła, ale pełna wyrazu, bez brody. Kopią już mam doskonale skalkowaną tym nowym sposobem, który ryciny i druki rozmnaża, tak, że poznać nie można oryginału od kopii. Zrobił mi to p. Piliński“.

— Pamiętnika Religijno-moralnego wyszedł zeszyt 2 za miesiąc luty i obejmuje: 1) Powołanie Mojżesza, przez ks W. Serwatowskiego. 2) Wykład historyi kościelnéj przez ks. Lavigerie profesora Sorbony, o Jansenizmie (dalszy ciąg). 3) O życiu w ogólności, konferencya pierwsza z mianych w Tuluzie przez ks. Henryką D. Lacordera. 4) Korrespondencya z Ostrowa Podlaskiego (przyjęcie biskupa Benjamina Szymańskiego). 5) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. 6) Kronika kościelna i Rozmaitości. 7) Missye.

— Nakładem S. Orgelbranda wychodzą poemata Juliusza Słowackiego w oddzielnych tomikach. Utwory tego poety dotychczas w kraju nieznane, znajdą, jak się spodziewamy, prędkie rozpowszechnienie.

— Wydanie Pamiętników Józefa Drzewieckiego raz ogłoszone w Athenaeum, następnie powiększone znacznie przez autora i korrespondencyą udzieloną przez zięcia jego C. S. i szambelana Skibickiego, najprzychylniejszego doznały przyjęcia. Teraz otrzymujemy wiadomość, że księżna Sapieżyna posiada nie mało listów szefa Drzewieckiego, które chętnie udzieli dla ogłoszenia ich drukiem — Karol Sienkiewicz, znany dobrze w literaturze naszéj, ma w ręku opis powiatu łuckiego przez Aloizego Felińskiego. Praca ta zasługuje, ażeby co rychléj wydaną została.

— Nakładem i drukiem J. Ungra wyszedł dramat wierszem Wacława Szymanowskiego w 5 aktach p. n.: „Michał Sędziwój“. Wydanie to poprzedziło przedstawienie na teatrze warszawskim. Autor zastrzega sobie prawo własności jeżeliby inne teatra chciały przedstawić ten dramat Zastrzeżenie to tyczy się prowincyonalnych w Królestwie Polskiem i Cesarstwie.

— Młody nasz artysta A. Lerue, znany z wydanych poprzednio ośmiu zeszytów Album Lubelskiego nakładem litografii A. Pecq'a, rozpoczął własnym kosztem drugi oddział tegoż Album, i wydał dwa zeszyty wraz z textem, obejmujące ośm widoków Puław, tak samego pałacu w dawnym kształcie, jak gotyckiego domku, świątyni Sybili, domu Marynki, i drze-

wa z Boga-Rodzicą na kępie puławskiéj. Staranny rysunek i dokładne odbicie, nadają wysoką wartość téj publikacyi, obznajamiającéj ogół z owem siedliskiem możnéj rodziny, która tyle potrafiła zebrać w niem dawnych narodowych pamiątek. P. A. Lerue w dalszych zeszytach obejmie równie ważne pomniki, jak kościół w Radzyniu, pomnik Mniszchów, pałac Eustachego Potockiego jener. art; widok Włodawy i Włodawki, pałac w Rożanie Pocieja, kościół i starożytną cerkiewkę w Kodniu, Sapiehów, w których mieszczą się ich wizerunki familijne, (o nich pisał J. Łoski rozprawę); pałac w Biały Radziwiłłów i Lińskich, sala rycerska, wieża w Litwie, ratusz w Siedlcach, kaplica grobu Piotrowina, pomniki w Kraśniku Tenczyńskiego i królewnéj szwedzkiéj, kościoły w Radecznicy i Szczebrzeszynie, pomnik Uchańskiego w Uchaniach, miasto Chełm z wieżą na Bielawinie (Olszówku), oraz wieża w Stołpi, Czemiernik, kościoły w Bychawie i Strzyżowicach, rozwaliny: Tarłów pod Lublinem i t. p. Tak więc widzimy, że znaczną część 2go oddziału stanowić będą widoki naszego Podlasia.

— J. I. Kraszewski wezwanym został przez Kuratora Pirogowa do Kijowa, dla zasiadania w Komitecie urządzającym Gimnazyum pedagogiczne dla tamtejszego Okręgu Naukowego.

— W r. 1813 w kościele Liceum krzemienieckiego wykonano za duszę Tadeusza Czackiego mszę żałobną utworu Wacława hr. Rzewuskiego i pod jego kierunkiem. Długo poszukiwano daremnie tego muzycznego utworu; teraz otrzymujemy wiadomość, że to Requiem znajduje się w zamożnéj bibliotece sieleckiéj na Wołyniu u Felixa hr. Czackiego.

— Druk zapowiedzianéj Encyklopedyi w typografii S. Orgelbranda postępuje szybko teraz. Podług pewnego w przybliżeniu obliczenia, całe dzieło niezawodnie w 20 najwięcéj tomach ukończone zostanie. Z ciągle nadsyłanych artykułów ze wszystkich stron dawnéj Polski, przekonywamy się jak bogato uposażonym będzie dział encyklopedyi krajowéj. Inne działy, przez specyalnych pracowników obrobione, nadadzą temu dziełu wysoką wartość naukową.

— Nakładem litografii A. Pecq'a wyszły zeszyty 5 i 6 wielce upowszechnionéj publikacyi u nas p. n.: „Królowie polscy“. Wizerunki zebrane i rysowane przez Alex. Lessera, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Obejmują portrety: 1. Władysława Laskonogiego. 2. Bolesława Wstydliwego. 3. Leszka Czarnego. 4. Henryka Probus. 5. Przemysława I. 6. Wacława króla polskiego i czeskiego. Rysunek wyborny, odbicie czyste i staranne. Alex. Lesser zbierał portrety królów polskich z malowideł dawnych olejnych, z dzieł, drzeworytów, monet, medali, pieczęci i t. p. pomników. Nie wszystkich albowiem książąt i królów polskich portrety przeszły w malowidłach aż do naszych czasów, Piastów prawie wcale nie mamy; przyszło więc gromadzić wszelkie po nich pamiątki a nawet wspomnienia w kronikach, aby rysy twarzy składać niejako i odgadywać. Jaką drogą w tak widocznym braku dokładnych pomników szedł nasz artysta, dotąd jest dla nas jeszcze tajemnicą: ale sądzimy, że p. Lesser nie zaniedba w końcu téj pięknéj publikacyi, do któréj z chlubą

przywiązał swe imię, nie zaniedba powtarzamy, złożyć obszerne i szczegółowe sprawozdanie, jakich się trzymał zabytków i pewników, aby wiernie portrety naszych Piastów oddać. Takie sprawozdanie podniesie wartość autentyczności całego wydania co do wizerunków, jak mu dodaje tekst obszerny, zdolnem piórem naszego historyka oddany. Jakkolwiek z późniejszych czasów malowideł jest aż nadto, należy także panu Lesserowi wyjaśnić i wytłumaczyć wybór jaki zrobił i dlaczego ten a nie więcéj znany i upowszechniony nam przedstawia. Znając naukę i sumienność tego artysty, nie powątpiewamy, że odpowie życzeniom ogółu i w oddzielnéj rozprawie złoży nam swe wyjaśnienie i usprawiedliwienie.

— Dobrze zasłużony na niwie literackiéj F. S. Dmochowski ogłosił prospekt na wydawnictwo Biblioteki dla młodzieży, która ma na celu danie ogólnego wyobrażenia umiejętności, nauk i literatury, oraz historyi. Takie dzieła systematycznie do celu zmierzające, wychodzą we wszystkich krajach, a w żadnym nie spuszczono z uwagi ogólnego dążenia, to jest religii, moralności, oświaty i pożytecznéj rozrywki. Podobnym zbiorem zamierza on pomnożyć piśmiennictwo nasze. Całość ma obejmować 36 tomów, każdy z górą 300 obejmujący stronnic i mogący oddzielnie być nabyty. Cenę wydawca kładzie jak najniższą, licząc za tom jeden po złp. 5 w téj nadziei, że rodziny polskie troskliwe o gruntowne wychowanie swéj dziatwy, wesprą jego szlachetne przedsięwzięcie liczną prenumeratą i pomogą do obniżenia cen naszych książek. Za rycinę lub drzeworyt, gdzie wypadnie, dolicza po gr. 10. Całe wydawnictwo pociągnie się lat 3; z końcem roku 1861 zostanie zamknięte. Prenumerata otwartą jest w księgarni G. Gebethnera i Spółki. Prenumeratorowie z prowincyi mogą zapisywać się na poczcie lub franco zgłaszać do pomienionéj księgarni

Dowiadujemy się z *Kroniki* warszawskiéj że ksiądz Polkowski wykrył w Radzyminie oryginał podróży do Ziemi Stéj księcia Radziwiłła Sierotki; podróż ta jak wiadomo, wyszła pierwotnie w przekładzie łacińskim, a dopiero z tego tłómaczoną była na polskie p. X. Wargockiego. Drugi taki oryginał ma się znajdować w bibliotece Świdzińskich. Wartoby porównać oba teksty i ogłosić je drukiem. — Toż pismo donosi o przekładzie poezyi Lermontowa przez Sabowskiego, który również wytłómaczył komedyę Augiera pod tytułem: *Philiberte*.

— Moniuszko kompozytor *Halki*, pracuje obecnie nad *Mildą* która ma być rodzajem kantaty.

— Ogłoszona jest prenumerata na następujące dzieła treści religijnéj: Katecheta na kazalnicy przez księdza Ambrożego Guillois w przekładzie Leona Rogalskiego. — Modlitwy świetych, czyli głos kościoła tryumfującego. — Księdza Guillois. — Nabożeństwo do św. Izydora Oracza.

— *Kronika* pisze że ks. Franciszek Sobalski bernardyn ze Skępego tłómaczy z łacińskiego listy Karnkowskiego: Epistolae illustrium virorum opera reverendissimi Stanislai Carncovii pronunc episcopi Vladislaviensis et Pomeraniae editae Karnkowski był jednym z najdzielniejszych obrońców katolicyzmu za Zygmunta Augusta

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother rządca druk.